

Anna Sznajder

Zielone oczy Mariny

2 II

Miłość to bardzo skomplikowana sprawa. Zanim poznałam Marinę, nie zastanawiałam się nad tym: żyłam w kokonie nieświadomości. Z głową pełną marzeń, jak - to - kiedyś - będzie... I oczywiście jak - pięknie - wtedy - będzie, i jaka - będę - szczęśliwa. Ale dobrze było mi ze sobą i z tą świadomością, że miłość na pewno kiedyś przyjdzie, że dostanę skrzydeł, będę dosłownie fruwała nad ziemią... Pewnie, że były jakieś zauroczenia, ale zupełnie platoniczne, zauroczenia, które powodowały, że zasypiałam i budziłam się z uśmiechem, a kiedy każda z nas odchodziła w swoją stronę, akceptowałam to bez żalu, z naiwną nadzieją na kolejną znajomość.

Teraz ze wszystkich moich wcześniejszych przemyśleń nic nie pozostało, pył, kurz, wielkie nic.

Pozostaje tylko pytanie, dlaczego. I pewnie pozostanie bez odpowiedzi...

Dlaczego nam się nie udało?

Dlaczego się skończyło, skoro kochałyśmy?

Siedzę z kubkiem parującej aromatycznej herbaty, staram się wytworzyć miłą atmosferę, nie wiem tylko dla kogo... Pewnie dla siebie, bo przecież jestem sama jak palec. Błady dymek pary nie produkuje ani miligrama przytulności. Widzę go przez parę sekund, jak unosi się do góry i rozplywa się w ciemności pokoju.

„Dlaczego” nadal tłucze się w mojej głowie.

No cóż. Pozostał mi tylko monolog.

Zresztą i tak nie mam ochoty na rozmowę. Nawet sama ze sobą.

A może tym bardziej sama ze sobą.

Czym jest miłość, skoro nie pozostaje po niej nic?

Czy wszystko sprowadza się tylko do seksu?

Nie wiem ile razy prosiłam Boga, by nam się udało.
Niczego nie pragnęłam bardziej na świecie...

Nie mogłabym tego nazwać modlitwą.

Prośbą?

Żądaniem?

Sama nie wiem.

Może byłam zbyt mało tolerancyjna.

Zbyt mało kochająca?

Jeszcze zbyt mało?

Wiedziałam, że może mnie zranić, bałam się tego każdego dnia. Teraz wiem, że zbyt często podświadomie o tym myślałam. Bałam się, że mnie odepchnie, że nie jestem tak do końca sobą? Odgrywałam rolę zakochanej marionetki, dziewczyny Mariny, ale gdzie tak naprawdę było moje miejsce?

Może było i tak, chociaż... Wydawało mi się, że, po raz pierwszy, przy niej jestem tak naprawdę sobą. A może to też złudzenie...

Przy niej powoli wtapiałabym się w nią, w jej otoczenie, aż w końcu nie zostałoby ze mnie nic.

Ale jaka za to byłabym szczęśliwa...

Czy warto być szczęśliwym nikim? Szczęśliwą nieobecnością?

Czy można być szczęśliwym nieistniejącym człowiekiem?

Nie wiem... Nie do końca jeszcze jestem tego świadoma, nie za bardzo wiem, czy mam się z tego cieszyć, czy nie...

Jeśli kiedykolwiek pokocham inną kobietę, czy będę potrafiła jej zaufać? Powierzyć jej siebie? Moją miłość? Moją duszę? Moje życie? Czy będę potrafiła zaufać sobie, że nie odejdę ze strachu, że ktoś odejdzie pierwszy?

Czy nie będę się bała powiedzieć komuś „kocham”?

Boję się znowu utopić w morzu miłości...

Dlaczego tak ciężko jest kochać?

Dlaczego tak ciężko jest żyć?

Znowu pytania.

Pytania.

Pytania.

Pytania.

Moje dłonie gładzą zimny, gładki kubek. Zapomniałam o herbacie. Atmosfera gdzieś znikła, może znikło tylko wyobrażenie ciepłej atmosfery. Przytulam szkło do policzka. Zamykam oczy. Nie potrafię powiedzieć, czy czuję zimno, czy gorąco... Policzek parzy. Chłód również może parzyć. Teraz to już wiem.

3 II

Boże, jaka za oknem plucha! W taki dzień najchętniej przestałabym istnieć. Chciałabym zniknąć, rozplynać się w powietrzu. Jeszcze parę miesięcy temu po prostu wtuliłabym się w Marinę i nie miałyby znaczenia, czy pada deszcz, śnieg, czy świeci słońce. Moje uśpione jeszcze dłonie trafiają w próżnię po drugiej stronie łóżka. Powoli budzi się i moja świadomość.

Tylko po co?

Po co były mi te wszystkie szczęśliwe chwile, skoro po nich nic już nie zostało?

Poznałyśmy się tak niedawno, zaledwie parę lat temu, a mam wrażenie, że znam ją całe życie. Że moje życie dopiero się zaczęło, kiedy ją poznałam. Od kilku dni byłam w Barcelonie, na kursie językowym. Miasto znam jak własną kieszeń, spacerowałam więc leniwie po parku Guell, chłonąc szeroko otwartymi oczami niesamowite rzeźby Gaudiego, chroniąc się przed wściekle żółtym słońcem. Był upalny letni dzień, na ławce siedziała drobna istotka i przyglądała mi się spod zmrużonych powiek. Nie wiem, czy to słońce ją oślepiło, czy miała już to swoje pytające, lekko ironiczne spojrzenie... Wtedy zatopiła swoje zielone oczy w moje serce, oczy, których wspomnienie po dziś dzień wyrywam po kawałku.

Tamtego dnia ani przez kilka następnych nie rozmawiałyśmy ze sobą, czasem na siebie wpadałyśmy, czasem czułam na plecach jej spojrzenie. Też przyglądałam się jej ukradkiem, ale zawsze z daleka, z bezpiecznej odległości. Nigdy nie miałam problemów ze swoją odmiennością seksualną, wiedziałam, że podobają mi się kobiety i jakoś naturalnie to zaakceptowałam. Nie było w moim przypadku dramatycznych pytań, dlaczego jestem jaka jestem i co to oznacza. Po prostu moim światem były kobiety. I tyle. Problemy miałam raczej z relacjami, z okazywaniem

uczuc, zawsze bylam typem samotnika z wyboru i do tej pory dobrze mi bylo ze soba, ze swoja samotnoscia. Od tamtego goracego popoludnia jednak cos sie zmienilo. Nic juz nie bylo takie jak dawniej. Miłość przez wielkie „M” wkroczyła w moje życie. Drobnymi, nieśmiałymi kroczkami. Miała postać szczupłej, kruchej osobki z jasnymi, krótko przyciętymi włosami, zielonymi oczami i rozkosznymi dołeczkami w policzkach. Od drugiego kwietnia zasypiałam i budziłam się z jej obrazem pod powiekami. Nie znałam jeszcze jej imienia, nie wiedziałam o niej nic, ale już przeczuwałam, że stanie się nieodłączną częścią mojego życia. I byłam gotowa przyjąć ją do niego z otwartymi ramionami, tak jak nowy, budzący się dzień. Bez myśli, co będzie później.

5 II

Może nie pokocham nikogo innego, zanim ponownie nie pokocham siebie? Tego zranionego wewnętrznego dziecka, które zbyt często płacze we mnie. To naiwne, rozpieszczone dziecko jest źródłem wszystkich moich problemów, wszystkich wątpliwości, pytań zadawanych sobie szeptem, odpowiedzi niechcianych, spychanych jak najdalej w głąb świadomości: byle dalej, byle głębiej.

Odpowiedzi...

Odpowiedzi tłamszone, cichy, niemy krzyk protestu, że przecież nie tak miało być, nie tak miało się skończyć. Nie wiem kiedy, nie wiem jak opuściłam bezpieczny świat, w którym żyłam do tej pory, wyszłam poza granice wszystkich moich dotychczasowych przeżyć i doświadczeń, i... poczułam, że na zewnątrz wcale nie jest tak różowo. Miłość boli.

Miłość to wszystko.

Wszystko.

Moja miłość przez wielkie „M”.

Nicość przez wielkie „N”.

Chciałabym znowu tak kochać.

Czy mi się to uda?

Czy to w ogóle jest możliwe?

Przez parę dni żyłam jak w amoku. Ważne było tylko to, że może dzisiaj znowu ją spotkam, zobaczę w oddali smukłą, wyprostowaną sylwetkę. Nie poznawałam samej siebie, wszystko odbierałam w o wiele ostrzejszych barwach, smakach, zapachach... Słońce miało cieplejszy blask, powietrze zdawało się bardziej rześkie, ludzie milsi, z mojej twarzy nie zniknął uśmiech. A wszystko z powodu jednego przelotnego spojrzenia ciemnozielonych oczu. Nie wiedziałam jeszcze, a może nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. To było nieważne, ważne było tu i teraz, obecny dzień i obietnica, którą w sobie niósł. Te kilka tygodni

w Hiszpanii zlewa mi się teraz w jeden długi dzień. Dokładnie pamiętam pierwsze „prawdziwe” spotkanie. Banalna wymiana słów, które jednak więzły mi w gardle. „Skąd jesteś”, „na jak długo”, „gdzie mieszkasz”... Czułam jej zainteresowanie i podobnie ona musiała czuć moje. Spotkania krótkie, kilkunastominutowe, jakby specjalnie odkładane... Co się ze mną dzieje? Przecież za kilkanaście dni obydwie wyjedziemy w przeciwnych kierunkach. Może jednak dać sobie spokój, zdusić w sobie tęsknotę serca, odwrócić oczy...

Nie dam rady.

6 II

Zastanawiam się, dlaczego piszę.

Dlaczego?

Dla kogo?

No właśnie. Może piszę po to, aby ktoś przeczytał? Ludzie najczęściej piszą po to, żeby to potem zostało przeczytane. Nie wierzę w zapewnienia, że ktoś „pisze dla siebie”.

No więc dlaczego?

Wcześniej siłą napędową był smutek i depresja.

Pisanie pomagało mi przeżyć, czułam, że jeszcze żyję. Nadawało mojemu, pozbawionemu tak nagle miłości życiu - trochę sztucznego sensu.

Co jest moją siłą napędową teraz?

To samo?

Trochę zawoalowane, przykryte, niejasne, odepchnięte w podświadomość?

Te same uczucia?

Smutek i tęsknota? Bardzo dobrze ukryte, może nawet pod inną nazwą... Ale to nadal głęboki smutek i towarzysząca mu tęsknota.

Jak długo jeszcze?

Jakoś nie mam ochoty się dowiedzieć.

Może przyjmę po prostu wariant optymistyczny? Może po prostu przyjąć, że lubię pisać? Po prostu lubię.

Point.

Koniec.

Kropka.

Nieprzekonujące?

15 II

Przerwałam wczoraj tok myśli, chciałam jeszcze coś zapisać. Tłoczyły się, przepychały...

Ale jakoś nie miałam ochoty przenieść ich na papier.

Dlaczego?

Och, jak ja uwielbiam te dni, kiedy nic mi się nie chce! Ostatnio jest ich coraz więcej. Więcej i więcej. Coraz więcej rezygnacji, niechęci, odrętwienia, zobojętnienia. Słowa spływają z mojego długopisu powoli, niechętnie. Nawet one są nieprzyjemne.

Jak galareta.

Zimne i nieprzyjemne.

Czuję ich chłód, kiedy piszę. Za dużo tego chłodu we mnie. Idźcie, słowa, na kartki papieru. Opuśćcie moją zmęczoną głowę. Kiedy zobaczę moje myśli zapisane drobnym, pochyłym pismem, może zniknie przejmujące zimno, które obejmuje mnie jak nieodłączny towarzysz życia. Czuję się wewnętrznie krucha jak gliniany kubek do herbaty. Każda negatywna myśl jest w stanie rozbić na kawałki misternie utkaną pajęczynę mojego życia.

Moje życie...

Jakie było?

Cholera jasna, nie jesteś stara, nie jesteś kimś u kresu drogi! Dlaczego używasz czasu przeszłego?

No właśnie: dlaczego?

Jakie jest moje życie? Czy powinnam zapomnieć, kim byłam? Kim chciałam być? Kim jestem? Kim mogłabym być?

...Mogłabyś być?

... A dlaczego nie możesz być?

No właśnie, dlaczego nie mogę być?

Powinnam zapomnieć o tym, co było? Co mogło być? Co miało się stać?

Rozpocząć podróż od nowa?

Czuję, że nie mogę iść dalej, obijam się o zamknięte drzwi... Kto je zamknął? Ja sama? Marina? Nie wiem nawet, po której stronie jestem. Czuję pod palcami metalowe okucia... Nie dam rady otworzyć tych drzwi. Są za ciężkie.

Nie mam klucza.

Czy ktoś usłyszy, jeśli zapukam wystarczająco głośno? Czy ktoś mi otworzy, jeśli zapukam? Moje palce są już poobdzierane do krwi, nie czuję bólu, walę pięściami w te cholerne drzwi, ale niepotrzebnie. Nikt mnie nie słyszy. Nikt nie chce mnie usłyszeć.

Gdzie jest klucz?

GDZIE JEST KLUCZ?!

Gdzie jest ten cholerny klucz?

Nie dziwię się, że go zgubiłam. Już jako małe dziecko potrafiłam zgubić rękawiczki zawieszane na szyi. Cały czas coś gubię: i naprawdę, i w przenośni.

Coraz więcej czasu spędzamy razem, cały czas jednak spotykamy się „przypadkiem”, chociaż obydwie dobrze wiemy, że o przypadku nie ma mowy. Gramy jednak w tę grę przypadków dobrowolnie i świadomie. Zdarza się nam urwać z zajęć, przemykamy ze śmiechem i lekkim poczuciem winy obok sal wykładowych, skąd słyszemy naszego „el professore” wtłaczającego do opornych, rozleniwionych gorącym słońcem głów tajniki gramatyki hiszpańskiej. Na samą myśl o ucieczce z zajęć czujemy leciutki dreszczyk podniecenia. Czy to jego prawdziwa przyczyna? Nie jestem pewna. Ale czy to teraz ważne? Czy cokolwiek innego jest teraz ważniejsze od jej obecności? Słońce rozświetla jej jasne włosy, mruży oczy, rzęsy kładą się cieniem na policzkach. Rozczulają mnie jej rzęsy, długie, delikatne, jaśniejsze na koniuszkach. Od razu widzę, że się nie maluje. Jej twarz jest czysta i jasna jak skórka brzoskwini, miałabym ochotę jej dotknąć, pogładzić palcami, posmakować... Czerwienię się,

kiedy przechwytuje mój wzrok. Dobrze wie, co się ze mną dzieje. Mam wrażenie, że dokładnie wie, o czym myślę. Staram się ukryć zmieszanie i przyspieszam kroku. Uciekamy przed upałem do parku. Delikatna skóra Mariny jest zaróżowiona od słońca. Och, jak gorąco... Rozmowa się nie klei, ale milczenie nie jest skrepowaną ciszą. Jest jak spokój, wyzwolenie, ucieczka od hałasu wielkiego miasta.

Nadal prawie nic o sobie nie wiemy. I wcale nie jest to ważne. Nie ma w nas zachłanności poznawania, nie wiem, czy to z obawy, że dowiemy się o sobie za dużo, czy raczej z ostrożności, żeby nie spłoszyć drugiej osoby.

Wiem tylko, że przyjechała z Armenii, ma dwadzieścia pięć lat, siostrę, rodziców. Tylko tyle. I wiem również, że jest niesamowicie piękna. Skąd te jasne włosy u Ormianki? Podobno spadek po słowiańskich przodkach.

Armenia... Słowo, które przez prawie trzydzieści lat nic mi nie mówiło, teraz zaczyna nabierać sensu, koloru, kształtu. Na razie bardzo niewyraźnego, ale czuję, jak jego kontury obejmują moje serce cienią obręczą. Mimo że mogłybyśmy porozumiewać się po rosyjsku i polsku, przeszliśmy zupełnie naturalnie na hiszpański. To w tym języku myślę o niej. I już zawsze będę myśleć.

28 II

Noc.

Ona jutro tu będzie. Jestem kompletnie roztrzęsiona. Jak ja to wytrzymam?!

Jak mam na nią spojrzeć innymi oczami?! Po co w ogóle zgodziłam się na jej przyjazd? Przecież dobrze wiem, że będziemy jedynie wyjaśniać sobie przyczyny, dla których nie jesteśmy już razem.

Jestem pewna, że nikt do tej pory mnie nie rozumiał tak jak ona. Jestem pewna... Te słowa zaczynają brzmieć nieprzekonująco. Muszę powiedzieć to zdanie na głos. Dziwne. To, o czym zawsze byłam przekonana staje się nierzeczywiste, sztuczne, wymuszone. Może po prostu to wszystko mi się wydawało. Albo bardzo chciałam, żeby tak było. Może tak bardzo chciałam, żeby mnie poznała, że sobie to wmówiłam? Znajomi, koledzy z pracy postrzegają mnie jako osobę zimną i nieprzystępną. Nie mogę im się dziwić: znają tylko mój wysoki mur, którym się otoczyłam, rzadko kto ma ochotę wspiąć się tak wysoko i zajrzeć, kto ukrywa się za nim. Mam wrażenie, że Marina w ogóle go nie zauważyła... Weszła do mojego życia spokojnie, bez żadnego problemu. Przedarła się bez strachu przez kolczaste gałęzie moich myśli i nieprzychylnych spojrzeń, nic sobie z nich nie robiąc.

Podjęła podróż w głąb mnie, nie wiedząc, co czeka ją na końcu drogi. Chciała tego.

Chciała...

Tak mi się przynajmniej wydawało.

Naprawdę tak mi się wydawało.

Chciała przekonać się, kim jest ta osoba z pozoru chłodna i niedostępna, co kryje się za fasadą obojętności, chciała odnaleźć mnie prawdziwą. Taką, jaka jestem. Taką, jaka chciałabym być... Nie pomagałam jej w tym, sama znalazła drogę.

Tylko przy niej nie bałam się być sobą.

Była bardziej mną niż ja sama.

Zamykają mi się już oczy. To dobrze. Może zasnę. Noc szybciej minie.

Co teraz będzie, jak przyjedzie? Jakie padną słowa?

Pozostaniemy przyjaciółkami?

Ale ja nie chcę przyjaciółki. Przyjaźń mi nie wystarczy. Chcę kochanki, chcę jej dotykać, chcę, żeby mnie dotykała, chcę ją kochać, zasypiać i budzić się przy niej.

Czy nie wyjedzie, jeśli ją o to poproszę?

Spędzanie razem wieczorów stało się naszym codziennym rytuałem. Po wszystkich zajęciach spotykamy się w jadalni, oczywiście „przypadkiem”, chociaż powoli, niechętnie przyznajemy się przed sobą nawzajem, że przypadku w tych naszych spotkaniach jest jak na lekarstwo. Czekam na te spotkania już od samego rana, cała jestem jednym wielkim niespokojnym oczekiwaniem. Nigdy się nie umawiamy, w naszej relacji brak jest pewności, stabilności. Pamiętam zapach każdego letniego wieczoru, szmer wiatru, śpiew cykad... Gładką powierzchnię ławki, niespokojne bicie serca, niepewność i ulgę na widok drobnej sylwetki wyłaniającej się z mroku. Siada przy mnie, nie za blisko, ja jednak czuję jej obecność każdym napiętym mięśniem ciała. Często nie mówimy nic, chłoniemy ciemną ciszę, tak przyjazną, tak pełną obietnic... Są wieczory, kiedy rozmawiamy długo, prawie po świt. Nie chce mi się w to wierzyć: ja, małomówna, nieśmiała, opowiadam o sobie rzeczy, których w życiu nikomu nie powiedziałam. Nawet Sabinie, mojej dawnej najlepszej przyjaciółce z lat licealnych i studenckich. Opowiadam o sobie, o swojej rodzinie, o tym, że zawsze czułam się jak piąte koło u wozu i zamiast gorczy czy żalu jest mi lekko, czuję się wolna. Świadomość, że ona przy mnie jest, że słucha mnie, jakby nic ani nikt w tym momencie nie istniał, jest dla mnie

niewiarygodnie podniecająca. Nie mam ochoty ani na sen, ani na nic innego, po prostu chcę być tu i teraz. I nic więcej. Zastanawiam się, kto, co sprawiło, że spotkałyśmy się tego lata w Barcelonie. Kto mógłby przewidzieć, że tego lata zakocham się w fascynującej kobiecie?

10 III

Marina wyjechała parę minut po szóstej. Co ja teraz zrobię? Jak mam żyć? Jak mam dalej oddychać, wstawać rano, rozmawiać z ludźmi, wiedząc, że jej już nie ma?

Mam wrażenie, że wraz z nią wszystko, co ważne, co dobre, co było motorem mojego działania, co mnie cieszyło - nagle znikło, odeszło w przeszłość. Trzymam się kurczowo resztek wspomnień, pragnę zatrzymać pamięć o tym, jak było, jak wtedy się czułam, jaka byłam, ale... Wspomnienia mieszają się, odchodzą, nie potrafię ich zatrzymać.

Nie poprosiłam, żeby została.

Nie poprosiłam.

Niewypowiedziane słowa: „Zostań przy mnie chociaż przez chwilę jeszcze”, „Nie odchodź!” „Nie zostawiaj mnie samej, bez ciebie sobie nie poradzę... Potrzebuję cię!” drapały mnie w gardle, zbiły się w wielką kosmatą kulę dławiącą mnie do granic wytrzymałości.

Opanowała mnie rezygnacja.

Ile razy jej to już mówiłam?

Powiedziałam sobie, że tym razem już nie.

Wystarczy.

Nawet noc nie daje ukojenia. Jest pusta i zimna. Zbyt mocno mam w pamięci nasze wspólne noce. Chcę, żeby przy mnie była, uspokoiła bicie mego serca, całowała łyzy spływające mi po twarzy.

Chcę, żeby tu była.

Ciepła i drżąca.

Niecierpliwa.

Naga.

Dzisiaj nie potrzebuję spokoju i czułości. Nie potrzebuję przytulenia. Chcę płonąć z niecierpliwości, umierać z niezaspokojenia. Chcę sycić się oczekiwaniem.

Chcę poczuć jej palce, jej dłonie, one dobrze wiedzą, jak obudzić moje uśpione pożądanie.

Chcę odnaleźć w ciemności jej piersi, jej usta, słyszeć jej szept. Chcę poczuć, jak wodzi po moim ciele dłońmi, wargami, językiem.

Chcę słyszeć przesuwane się po skórze dłonie.

Chcę zachłysnąć się nią, drzeć z niecierpliwości, jęczeć pod jej dotykiem.

Chcę być w niej.

Chcę zapomnieć, gdzie są nasze granice, gdzie jestem ja, a gdzie Marina, chcę, by pomieszały się nasze zapachy, nasze myśli, słowa pośpieszne, miękkie i wilgotne...

Chcę poczuć jej dłonie.

Na moich piersiach, brzuchu. Wszędzie.

Chcę poczuć jej usta.

Jej język.

Jej oddech.

Jej pocałunki.

Jej zapach.

Gdzie jesteś?

Gdzie jesteś?

Gdzie jesteś?

Gdzie jesteś?

Gdzie jesteś?

Gdzie jesteś?

GDZIE JESTEŚ?!

Wieczór jest taki ciepły, wracamy ze spaceru i nie potrafimy się rozstać. Siedzimy na ławce i nagle Marina proponuje, żebyśmy spały na dworze. Bardzo chciałabym ją zaprosić do pokoju, ale nie mogę. Mieszkam z Amerykanką Karen, bardzo sympatyczną zresztą dziewczyną. Ostatnio jestem rzadkim gościem w naszym pokoju, Karen nie dopytuje się, gdzie przebywam, ale widzę w jej oczach zdziwienie. Cóż,

zawsze mogę powiedzieć, że nie za bardzo ją rozumiem. Mój angielski niestety jest zbyt szkolny, zbyt „brytyjski”, a Karen mówi z akcentem z Minnesoty, z szybkością karabinu maszynowego i połyka końcówki zwyczajem mieszkańców tego stanu. Zaglądam ostrożnie do pokoju: Karen nie ma. Zabieram szybko śpiwór, dwa koce i wychodzę oknem. Całe szczęście, że mieszkam na parterze: wystarczy zrobić porządny krok i już jestem na dole. Nie chcę ryzykować, że na korytarzu spotkam jakieś ciekawskie dziewczęta. Domyślam się zresztą, że i tak plotkują za naszymi plecami, ale jest mi wszystko jedno. Jestem kompletnie zaślepią Mariną. Czekamy, aż się ściemni i rozkładamy śpiwory na trawie. Jesteśmy trochę zmieszane, w końcu po raz pierwszy spędzamy noc razem. Z oddali słychać jeszcze głosy, jednak powoli obóz szykuje się do snu. Tylko świerszcze drą się jeszcze jak oszalałe, ale i one jeden za drugim milkną. Swoją koncert rozpoczynają za to słowiki. Nigdy w życiu nie słyszałam słowików! Znam oczywiście baśń Andersena, ale do tej pory nie wyobrażałam sobie, jak brzmi ich śpiew. Nie wiedziałam też, że to jedyne ptaki, które można usłyszeć nocą. Jest coś magicznego w tym dźwięku. Marina nie potrafi sobie znaleźć miejsca, w końcu mości się w swoim śpiworze i przewraca na wznak. Obydwie patrzymy w tym samym kierunku: na wieczorne, granatowe, upstrzone gwiazdami niebo. Kiedy ostatnie światła gasną, granat nieba staje się jeszcze bardziej aksamitny, a gwiazdy bardziej widoczne. Niektóre są tak blisko, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę... Jest sierpień, miesiąc spadających gwiazd. Rzeczywiście: co jakiś czas niebo przecina nagły, krótki błysk. Zamykam wtedy oczy i myślę sobie życzenie: żeby ta noc nigdy się nie skończyła i żeby Marina już na zawsze była ze mną.

Jestem senna, ale nie chcę zasnąć. Szkoda mi tej nocy, chcę być jej świadoma, chcę poczuć, przeżyć każdą minutę,

każdą sekundę. Słyszę cichy oddech Mariny. Czy nam się to śni? Nie rozmawiamy o tym, co się między nami dzieje, ale jak długo można udawać, że nic się nie dzieje? Dlaczego obydwie tak uparcie nie chcemy o tym myśleć? Przecież tak dobrze nam ze sobą, rozumiemy się bez słów... Może właśnie dlatego. Kurs językowy powoli zbliża się do końca, mamy coraz mniej czasu, a nie znamy się na tyle, żeby mieć względem siebie jakiegokolwiek plany. Czy nasza znajomość tak po prostu się skończy?

Nie wiem. Nie chcę teraz o tym myśleć. Teraz jestem tu. Pod rozgwieżdżonym niebem Barcelony, a obok mnie śpi najbardziej niezwykła osoba, którą spotkałam w moim życiu. Widzę jeszcze jedną spadającą gwiazdę. Powtarzam jak mantrę moje życzenie... Żeby Marina już na zawsze była ze mną.

Jest prawie połowa marca, na dworze jednak daleko do wiosny. Zimno. Nie mam ogrzewania w mieszkaniu, nie potrafię jakoś się do tego zabrać, może w przyszłym roku... Tymczasem siedzę okutana kocem i zastanawiam się, czy mam jeszcze siłę i ochotę na poprawianie klasówek. Może dam sobie jednak spokój. Uczniom i tak jest wszystko jedno, przyniosę za tydzień. Nie potrafię się zmusić do oglądania rzędów cyferek, kątów prostych, procentów... Dlaczego życie nie jest tak proste i logiczne jak matematyka? Jeśli podzielimy dziesięć przez dwa, to z całą pewnością wyjdzie nam pięć. Innej opcji nie ma. A życie? Nieprzewidywalne, nielogiczne...

Idę do kuchni, otwieram szafki. Zjadłabym coś, ale ostatnia chińska zupka już chyba nie nadaje się do spożycia, chociaż... Mimo że termin przydatności do spożycia minął, jest tam przecież więcej konserwantów niż w mumii egipskiej. Może nic mi nie będzie. Nastawiam wodę, wyciągam miseczkę, ale widok suchego, poskręcane makaronu odbiera mi apetyt. Wyłączam wodę, biorę ostatni kawałek czekolady i wracam do pokoju. Pakuję sobie kilka kostek naraz do ust. Dobra, wedlowska. Powoli roztapia się, czuję na języku słodki, aksamitny smak. Jeśli nadal będę się pocieszać w ten sposób, to lato powitam gruba jak wieloryb. Tylko jakie to ma znaczenie?

Brrr, rzeczywiście zimno. Okręcam się z powrotem kocem i zastanawiam, czym mam wypełnić długie godziny wieczoru. Przez jakiś czas po prostu siedzę w ciemności i wsłuchuję się w przejeżdżające samochody. Musiał padać deszcz, bo słyszę, jak koła rozbryzgują kałuże na ulicy. Śliska, wilgotna ciemność...

Chwytam telefon i dzwonię do Sabiny, może w jej towarzystwie wieczorny czas będzie przyjemniejszy. Sabiny jednak nie ma. Ostatnio oddaliłyśmy się od siebie, nie wiem,

czy to naturalna kolej rzeczy, czy to moja wina. Kiedy Marina mieszkała ze mną w Polsce, grono moich znajomych znacznie się zawężyło. Moja wina, nie widziałam nikogo poza nią. Myślałam jednak, że Sabina to rozumie. Spędziłyśmy ze sobą cały czas liceum, byłyśmy jak papużki nierozłączki. Uśmiecham się na wspomnienie tych czasów, jeszcze beztroskich i nieskomplikowanych. Razem wagarowałyśmy i razem za to zbierałyśmy bury. Usprawiedliwienia cierpliwie produkował wujek Sabiny, sprawiedliwie, po jednym dla każdej, nie ośmieliłabym się powiedzieć w domu, że zdarza mi się omijać szkołę szerokim łukiem.

Dużo dałabym, żeby te czasy wróciły. Nie musiałabym się zastanawiać, jak przeżyć kolejny dzień. Nie musiałabym się bać.

Boję się. Cały czas się boję. Uciekam od cierpienia. Uciekam, ale nie potrafię uciec. Boję się, tak strasznie boję się cierpienia. Strach jest fizyczny. Namacalny. Czuję, jak mnie obejmuje żelazną obręczą. Nie potrafię głęboko oddychać.

Strach przeszkadza.

Boli.

Strach boli.

Do tej pory tego nie wiedziałam.

Wewnętrzny niepokój narasta. Nie pomaga zapalone światło. Budzę się z nim rano i zasypiam wieczorem. Strach jest lodowaty. To dlatego stale jest mi zimno. To nie wina braku ogrzewania. Moje myśli są zimne, moje serce jest zimne.

Czuję, że powoli zamarzam, moje ciało, moje serce, myśli pokrywa delikatna warstewka szronu. Mogłabym przysiąc, że czuję go pod palcami.

Zamieniam się w bryłę lodu.

Tak pragnę jej obecności.

Jedynie ona jest w stanie wlać we mnie odrobinę ciepła.

Jedynie ona...

15 III

Dzisiaj środa. Nie cierpię tego dnia. Mam zajęcia do późnego wieczora. Z jednej strony cieszę się z tego, bo mam głowę zajętą, nie muszę myśleć, muszę się skoncentrować na wykładach, na moich uczniach. Czasem dopadają mnie wyrzuty sumienia. Przecież jestem ich nauczycielem, jestem dla nich i powinnam być dla nich, a tak często moje myśli błądzą zupełnie gdzie indziej.

Nie ma rady. Trzeba wstać. Ciężko jest opuścić łóżko, pościel jeszcze ciepła... W łóżku jest bezpiecznie, a na zewnątrz czeka nieprzyjazny, zimny świat. I pytania. Jak zwykle pytania. To pierwsze, co przychodzi mi do głowy, kiedy się budzę.

Dlaczego nam nie wyszło? To pytanie zadawałam sobie tak często, że funkcjonuje już niemal automatycznie w mojej głowie. Może zbyt wierzyliśmy w nas, w powodzenie naszego związku.

Wiem, że to już nie ma sensu, ale tak okropnie mi jej brakuje... Kiedy poświęcała mi swoją uwagę, to poświęcała mi ją bez reszty. Traktowała mnie tak, jakbym była najbardziej interesującą osobą na świecie. Kiedy mnie słuchała, jej oczy zwrócone były tylko na mnie, jej słowa dotykały najgłębszych zakamarków mojej duszy. Czułam się taka wyjątkowa. Do tej pory to pamiętam. To uczucie dodawało mi skrzydeł.

Dlaczego to przeminęło z jej strony? To było prawdziwe, wiem. Ona nie udawała. Jestem tego pewna.

Jeśli tak było... To gdzie to jest?

Zerkam na zegarek, Boże, znowu się zamyśliłam, przemykam do łazienki, byle jak zwiążuję włosy, chwytam wczorajsze ubrania. Jeden rzut oka w lustro. Może być. Łapię klucze i zbiegam po dwa schody na parking, modląc się w duchu, żeby nie było korków. Nie wiem, na co liczę, bo o tej porze korki są zawsze. Jak zwykle wbiegam do pracy na

ostatnią minutę. Z tego też powodu omijają mnie codzienne ploteczki w pokoju nauczycielskim. Wydaje mi się, że koledzy z pracy mają mi to za złe. Może już uważają mnie za odludka i dziwaka, kto wie? Ciekawe, co powiedzieliby na wieść o tym, że ich nowa koleżanka z pracy jest lesbijką? Pewnie natychmiast by mnie odrzucili i przykleili na czoło etykietkę z napisem „Uwaga. Zagrożenie dla społeczeństwa”. Mam to gdzieś. Nie chodzi mi o nich, ale muszę z czegoś żyć, poza tym lubię przecież moich uczniów, zależy mi na tej pracy. Niech żyje więc hipokryzja.

Zazdroszczę Marinie sytuacji w domu. Jej rodzice, siostra, nawet babcia, starsza przecież osoba, zaakceptowali jej homoseksualizm. Kiedy opowiada o tym, jak przebiegał jej „coming out”, zaśmiewa się do łez. Przygotowała sobie całą przemowę, argumenty, przeczytała kilka książek, przygotowała listę nazwisk sławnych „kochających inaczej”, gotowa bronić swojej pozycji jak lwica. A Ursula, jej mama skwitowała wszystko krótkim „wiem od dawna”. Był w jej postawie jakiś bunt, jeszcze kilka lat temu każdej nowej osobie przedstawiała się słowami: „Cześć, jestem Marina i jestem lesbijką”. Teraz twierdzi, że było to trochę głupie. W końcu co kogo to obchodzi? Przecież to jej życie prywatne. Nie musi wszystkim mówić o swojej seksualności.

Jesteśmy w małej knajpce nad morzem. Urwałyśmy się z zajęć, a jakże. Knajpka nazywa się „Wilkołak”. Swoją drogą dziwna nazwa dla restauracji. Jest jeszcze wcześniej, jak na Hiszpanię, oczywiście. Ludzie zjeżdżają się dopiero późnym wieczorem. Na razie jesteśmy jedynymi gośćmi. Zamówiłyśmy pizzę. Tradycyjna paella byłaby bardziej na miejscu, ale tutaj serwują ją z owocami morza, których ja nie jestem w stanie przełknąć. Marina tym bardziej. Jest wegetarianką. Pozostajemy więc przy bezpiecznej pizzy. Moja jest jakaś dziwna. Na samej górze króluje rozbite jajko. Nie

wygląda to zbyt apetycznie, ale i tak w ogóle nie czuję, co jem.' Machinalnie podnoszę widelec do ust, karmię się jednak słowami Mariny, jej uśmiechem, spojrzeniem, gestami. Czujemy się ze sobą tak dobrze, mimo to nie potrafię się pozbyć pewnego skrępowania, kiedy przebywam w jej towarzystwie. Za bardzo mi na niej zależy, chciałabym wydawać się jej bardziej interesująca niż jestem, ładniejsza niż jestem, mądrzejsza niż jestem, lepsza niż jestem. Może dlatego trochę się spinam.

Szum morza działa jednak kojąco na moje trochę napięte nerwy. Powoli się rozluźniam. Powietrze jest słone, pachnie nagrzanym w słońcu piaskiem i rybami.

Do końca pobytu zostały nam dwa tygodnie. Prawie nie chodzimy już na zajęcia. „El professore” zapytał już Marinę, czy zamierza zrezygnować z kursu, na co ona odparła, że skoro zapłaciła, to będzie korzystać w sposób, który najbardziej jej odpowiada: będzie chłonąć atmosferę miasta, rozmawiać z ludźmi... Co prawda rozmawia prawie wyłącznie ze mną, ale po hiszpańsku, więc obydwie rozgrzeszamy się z tego niewinnego kłamstewka.

Kelner widocznie się nudzi i puszcza nam oczka, no tak, dwie blondynki, a jedna bardzo na dodatek ładna. Biedak nie ma pojęcia, że kompletnie nie jesteśmy nim zainteresowane. I nie będziemy. Nawet gdyby do nas mrugał do białego rana.

17 III

Muszę pozbyć się tej miłości. Nadal ją czuję, a teraz nie już nie dostaję w zamian oprócz cierpienia. Nie jestem w stanie nawet zatrzymać tej miłości, którą mi dała. Odbiera mi ją kawałek po kawałku. Wspomnienie po wspomnieniu, z każdym uderzeniem serca, z każdą sekundą jest jej coraz mniej. Dlaczego nie zabierze jej od razu? Jedno zdecydowane cięcie mniej boli niż powolne grzebanie w ropiejącej ranie. Teraz, z perspektywy czasu zastanawiam się, czy wszystkie te wspaniałe chwile naprawdę mi się przydarzyły.

Nie ma szans na to, żebyśmy były razem. Wiem. Może z tą pewnością będzie mi łatwiej?

Dlaczego nie zauważyłam, kiedy wszystko zaczęło się psuć?

Jestem tchórzem, bo nie chciałam tego widzieć. Coraz mniej czułości, coraz więcej łez połykanych po cichu, gdy zasypialiśmy wtulone w siebie, a jednak tak bardzo dalekie.

Kiedy to się zaczęło we mnie? Tak bardzo bałam się, że ją stracę, że nie potrafiłam znieść jej obecności w tym samym pomieszczeniu. Chwytałam kurtkę i wybiegałam z mieszkania, byle dalej od niej, dalej od nas...

Dlaczego?

Dlaczego?!

Przestałam już sobie zadawać to pytanie.

Nie potrafię znaleźć odpowiedzi.

Muszę przestać o to pytać.

Ją przestałam niedawno.

Teraz kolej na mnie.

Potrafię?

Nie wiem.

Dlaczego nie byłam bardziej ostrożna? Dlaczego oddałam jej wszystko? Całe moje życie?

Zimny prysznic przyszedł zbyt późno: dzisiaj już nie potrafię bez niej żyć. Nie chcę. Bez Mariny życie nie ma smaku. Jestem od niej uzależniona tak, jak można być uzależnionym od papierosów, alkoholu, narkotyków.

Zamieniam się w alkoholika.

Jestem alkoholikiem.

Zamieniam się w ćpuna.

Jestem ćpunem.

Zamieniam się w degenerata.

Jestem...

Wracałam dzisiaj z pracy naszą dawną drogą. Przez kilka miesięcy omijałam tę dzielnicę szerokim łukiem. Dzisiaj nogi przyniosły mnie tu same. Miasto zmienia się w okamgnieniu, wszędzie jakieś remonty, nowe placówki, sklepy, banki... A ulica, którą przemierzałyśmy przez ponad rok jak na ironię losu pozostała taka sama. Zatrzymuję się przy furtce, żeby pogłaskać rudego kota, który chyba nigdy nie rusza się z miejsca i nie zdziwiłabym się, gdyby kiedyś tam zapuścił korzenie. Zupełnie bezwiednie przechodzę na drugą stronę chodnika, aby uniknąć ataku małego psiaka, który swoim szczekaniem zawsze alarmował pół ulicy. Odpowiadam na pozdrowienie starszej pani. Tak, tak... Koleżanka niestety wyjechała... Nie, niestety, nie wiem, kiedy wróci. Tak, pewnie przyjedzie latem na wakacje... Niepotrzebnie znowu, na własne życzenie, zupełnie świadomie dałam się złapać w sieć wspomnień.

Po co mi to było?

Tęsknię... Tak bardzo tęsknię... Płaczę całą sobą, mimo że z oczu nie spływa ani jedna łza. Czuję, jak wszystko we mnie się skręca, jakbym zjadła coś nieświeżego, niedobrze mi, słabo... Siadam na krawężniku i staram się uspokoić bijące serce. Starsza pani spogląda na mnie uważnie, ale nic nie mówi, nie zatrzymuje się. Całe szczęście, gdyby tylko coś powiedziała, wybuchnęłabym płaczem.

Jak nosić w sobie taką tęsknotę? Podobno zaczynam się garbić, zawsze zapominam, że mam się wyprostować, wypiąć pierś do przodu i uchodzić za normalną, szczęśliwą kobietę.

Jak nosić w sobie Marinę tak, aby nikt tego nie zauważył? Nie odgadł? Nie odkrył mojej rozpaczki? Coraz trudniej jest mi to ukrywać.

Tęsknota wisi nade mną jak cień, jak gruba warstwa wilgotnej mgły.

Powoli opada na mnie i oblepia chłodem od stóp do głów. Zaczynam drżeć. Przyspieszam kroku, ale to nie pomaga.

Kiedy docieram do domu, jestem kompletnie wykończona. Ubieram się w najgrubszy sweter, jaki znajduję. Przy okazji robię przegląd szafy. Najwyższy czas zrobić zakupy. Na wieszakach wiszą jakieś bezkształtne worki, bez określonego koloru i fasonu. Dlaczego nie zależy mi na tym, żeby wyglądać ładnie i atrakcyjnie? Muszę znowu zacząć żyć. Wygrzebuję duże kartonowe pudło i wrzucam do niego ubrania bez jakiegoś konkretnego porządku. Moja ręka natrafia na niebieską, trykotową bluzeczkę.

Lato...

Barcelona...

Przebierałam się chyba ze cztery razy. Mam randkę!!! Po raz pierwszy Marina i ja umówiliśmy się! Nie czekając na przypadek, na spotkanie gdzieś po drodze, w przelocie. W co mam się ubrać?! Wszystkie moje ubrania są takie... nudne. Przed wyjazdem wrzuciłam parę ciuchów do plecaka, myślałam, że to wystarczy. Teraz niestety nie mam zbyt dużego wyboru. Trudno. Dżinsy i bluzka muszą wystarczyć. W końcu nie idziemy do opery, a na piknik nad brzegiem morza. Dżinsy będą w sam raz. Wrzucam koc do plecaka i pędzę jak na skrzydłach na Ramblę, Marina ma na mnie czekać pod pomnikiem Kolumba. Nie wiem, po co ta maskarada, wszyscy i tak wiedzą, że coś między nami iskrzy. Karen ostatnio rzuciła jakąś aluzję przy obiedzie, zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a ja oczywiście zaczerwieniłam się po czubki uszu. Kazałam Karen pilnować własnego nosa, ale ona nie jest tak dobra w hiszpańskim jak ja, jej hiszpański przypomina mój angielski, więc istnieje szansa, że mnie nie zrozumiała. Zresztą na kursie potworzyły się parki, sympatie i antypatie, najczęściej mieszane, jednak my z Mariną nie jesteśmy wyjątkiem. Są jeszcze Emily i Anne, ale one były już

parą, przyjechały razem, mieszkają razem w Londynie, nie wzbudzają więc większej sensacji.

Pędzę zatłoczoną jak zwykle o tej porze Ramblą. Sami turyści, rdzenni Katalończycy leżą pewnie teraz do góry brzuchami i nie planują ruszyć palcem do końca sjesty. Dziwne, że ja nie uważam się za turystkę. Przecież nią jestem.

Z daleka widzę już pomnik Kolumba. Marinę zauważam, kiedy podchodzę bliżej. Jest taka piękna. Z ulgą stwierdzam, że ubrała się podobnie, z tą różnicą, że dzinsy o wiele lepiej na niej leżą. Nic nie mogę na to poradzić, że mój wzrok sam zatrzymuje się na wysokości jej pośladków. Ja chyba nigdy nie będę taka szczupła, tak proporcjonalnie zbudowana, ale w końcu Marina wybrała mnie, prawda?

Idziemy na plażę. Jest jednak trochę zimno, raczej zimny jest wiatr wiejący od morza. Cofamy się więc pod drewniane molo i tam rozkładamy koc. Marina wyciąga kanapki, owoce. Czeka nas prawdziwa uczta. Tak się cieszę, że tu jestem z nią. Wszystko wydaje się takie odległe, nieważne, nieistotne. Rozkładamy kanapki na plastikowe talerzyki, morskie powietrze zaostriło mi apetyt, chleb jest pyszny, zresztą z rąk Mariny zjadłabym wszystko, nawet pomidor, którego normalnie nie tknę. Plaża jest pusta, po brzegu spaceruje kilka łabędzi. Są ogromne. Ukradkiem spoglądam na Marinę. Nie patrzy na mnie, jej oczy utkwione w morzu są tym razem niebieskozielone. Zastanawiam się, co taka kobieta robi tu ze mną, przecież mogłaby być gdziekolwiek, z kimkolwiek. A jest tu ze mną. Jestem niewiarygodnie szczęśliwa. Przesypuję piasek między palcami, bardzo przyjemne, zmysłowe doznanie. Chciałabym dotknąć Mariny, przytulić się do niej, położyć głowę na jej ramieniu. Wtem Marina wypowiada na głos moje myśli. Ale... Ani ja, ani ona nie potrafimy zrobić pierwszego kroku. Jesteśmy jak sparaliżowane. Marina mówi, że nie potrafiłaby się ode mnie oderwać... Nie rozumiem.

Skoro obydwie tego chcemy, co się z nami dzieje?! Jest między nami niesamowite napięcie. Czuję przepływające między nami fale, ale rozbijają się o dziwną, niezrozumiałą dla mnie taflę. Spoglądamy na siebie, ale nasze ciała nie zbliżają się nawet o centymetr. Marina otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale widzę, że rezygnuje. Słyszę jej westchnienie i mówi mi po prostu, że dobrze wyglądam w niebieskim, że pasuje mi do oczu. Nie jestem pewna, czy dokładnie to chciała powiedzieć.

Zastygam z bluzką w ręce. Nie potrafię zdecydować, gdzie powinna trafić. W końcu jednak ląduje w pudle. Pudło ląduje na szafie. Powinnam od razu wyrzucić całą jego zawartość, ale nie jestem w stanie. Zrobię to kiedy indziej.

20 III

Tęsknię za miłością. Może nawet już nie za Mariną, ale za miłością, którą ona była dla mnie. Kiedy myślę o Marinie, myślę o miłości. Dla mnie była samą miłością.

Nigdy nie czułam się tak kochana.

Myliłam się?

Co zrobię, jeśli wspomnienia o Marinie nie pozwolą mi normalnie żyć?

Co wtedy?

Czasami mam wrażenie, że nie dam rady przeżyć już ani jednej minuty, ani jednej sekundy. I żyję.

Mijają sekundy, minuty, godziny i dni. A ja nadal żyję. I nadal tęsknię. Tak bardzo tęsknię. Czy żyję naprawdę?

21 III

Mariny nie ma już od kilkunastu dni.

Tęsknię.

Chcę się do niej przytulić.

Tylko to.

Nic więcej.

Nic więcej.

Chcę ją zobaczyć.

Krażę wokół telefonu. Może zadzwoni? Próbuję się czymś zająć. Włączam telewizor, na ekranie coś migocze, nie potrafię się skupić. Czekanie jest okrutne, nie jestem w stanie opanować napięcia. Wstaję z kanapy i odkładam specjalnie słuchawkę, teraz już nie będę na nic czekać. Nawet jeśli zadzwoni, to i tak nie usłyszę.

Kogo chcę oszukać? Budzę się w środku nocy i sprawdzam, czy nie było zagranicznych połączeń.

Zwariuję.

24 III

Późny wieczór.

Boję się.

Znowu się boję.

Skąd się bierze ten strach?

Co on oznacza?

Ciężko mi się oddycha. Słyszę bicie mojego serca. Jestem przerażona. Czuję, jak kapryśnie trzepocze się w piersi. Na myśl przychodzi mi tylko wyświechtany frazes: moje serce tłucze się jak ptak. Bum, bum, bum.

Bum

bum

bum

bum bum

BUM

Nie wiem, co się dzieje. Znowu jest mi zimno. Nie chce mi się żyć. Nie chce mi się jutro wstać. Nie mam już nadziei na nic.

28 III

Nie myślę o niej.

Nie myślę.

Kłamię.

Myślę.

Czasami są takie dni, gdy ona jest w każdej godzinie, w każdej minucie, w każdej sekundzie. Wciąż zdarza mi się śnić o niej i myśleć, że wystarczy wyciągnąć rękę, żeby jej dotknąć. We śnie dotykam jej, jest przy mnie, czuję to wyraźnie.

Nie chcę się obudzić.

Wciąż podrywam się na każdy dźwięk telefonu.

Wciąż szukam jej listu i czekam.

Wciąż zamykam oczy, kiedy autobus przejeżdża obok „naszego” osiedla. Kiedyś zapomniałam i miałam wrażenie, że czas się zatrzymał, że po prostu wysiądę na następnym przystanku, pobiegnę do domu, a tam będzie na mnie czekała ona.

Do dzisiaj pamiętam gorzki powrót do rzeczywistości.

Nadal nie potrafię przejść bez emocji „naszą” ulicą, którą setki razy wracałyśmy do domu.

Czy ktoś może mi dać receptę na niepamięć?

Kto pomoże zmienić dekoracje? Te same rekwizyty drażnią jak kolce, ostre i twarde. Tkwią we mnie jak drzazgi. Klub, w którym siedziałyśmy do późnej nocy, sącząc drinki i patrząc na siebie pełnym obietnic spojrzeniem, oferty wycieczek do Barcelony krzyczące czerwienią „last minute” z okien biura podróży, pusta lodówka, w której tkwią na pół zwiędła główka sałaty i pęczek rzodkiewek... Uwielbiała rzodkiewki, a ja uwielbiałam patrzeć, jak łakomie chwyta czerwone kulki i chrupie powoli, zamykając oczy. Nie chcę już nigdy mieć pełnej lodówki. Płatki. W kuchennej szafce została cała ich kolekcja. Ciemny makaron. Dziki ryż. Każda z

tych rzeczy wywołuje ból i przyspieszony oddech. Muszę zamknąć oczy, żeby się uspokoić.

20 IV

Dzisiaj byłam u Sabiny. Dobrze widzieć, że lepiej się czuje.

Czy aby na pewno?

Mam nadzieję, że tak.

Pokazywała mi zdjęcie swojego dzieciątka. To prawdziwy cud, taki berbeć. Niby go jeszcze nie ma... A przecież już jest. Taka miniaturka człowieka. Jeszcze go nie widać, a charakterek pewnie już ma.

Strasznie skomplikowana maszyna, taki człowiek. Nawet taki malutki. Każda kosteczka, każdy mięsień, każdy włoszek jest już na swoim miejscu.

Jaka ona będzie? Mała Julia, Natalia czy Sylwia?

Niech wyrośnie na dobrego człowieka. Niech będzie szczęśliwa.

Oglądając zdjęcia, poczułam smutek. Zazdroszczę Sabinie. To uczucie mnie dziwi. Zazdroszczę jej, że będzie miała rodzinę. Taką prawdziwą. Własną.

Podobnie czułam się na jej ślubie.

Wszystko mi ją przypomina i sprawia, że myślę o Marinie. O jedynej osobie, której powiedziałabym „tak” bez wahania.

Nawet dzisiaj.

Nawet teraz.

W tej sekundzie.

I tylko z nią mogłabym mieć dziecko.

To musi być wspaniałe: taka mała istotka, która sprawia, że ludzie jeszcze bardziej się kochają.

Czy byłabym dobrą matką?

Nie wiem.

Jedyne, co wiem, to że kochałabym to moje dziecko bez zastrzeżeń. Bez oczekiwań. Bez warunków. Boję się tylko, czy taka miłość nie byłaby zła. Za mocna. Wiem, że jak kocham, to kocham za mocno. Nic innego nie istnieje.

Bo i po co miałyby istnieć?

Dzieci przecież kocha się pomimo. Nie za coś.

Kocha je się nie za to, że są miłe, grzeczne, posłuszne, dobrze się uczą... Bo najczęściej tak nie jest.

Kocha je się pomimo tego, że właśnie nie są miłe, grzeczne i wcale dobrze się nie uczą.

I to jest prawdziwa miłość.

Potrafiłabym tak kochać.

Na pewno.

Mojego dziecka nigdy nie poznam. Nigdy nie przyjdzie na świat. To jedna z niewielu rzeczy, których jestem pewna.

Nie chcę z nikim innym mieć dziecka.

Dzieciatko moje, Aniu, Basiu, Krzysiu... Szkoda, że cię nie będzie, że nigdy cię nie poznam, ale tak musi być.

Przepraszam.

Daję ci szansę wzrastania w innej rodzinie. Szczęśliwej. Pełnej. Normalnej.

Nie cierpię tego słowa. Co to znaczy „normalny”?!

Chwila przed północą.

Cholera jasna, dlaczego nie potrafię zasnąć?! Przecież zawsze po przelaniu myśli na papier jest lepiej. Uspokajam się. Teraz tak nie jest. Myśli nadal kłębią się jak szalone.

Za chwilę chyba zwariuję.

Co się dzieje?

Och, dobrze wiesz, co się dzieje.

No, niby tak. Znam się na tyle dobrze, że wiem.

Muszę przeczytać jeszcze raz, co napisałam.

Jest.

Sabina nie daje mi spokoju. Znowu udaję, że niczego nie widzę. „Dobrze wygląda”. Bzdury. Wcale dobrze nie wygląda... Dlaczego ona tak schudła? Wygląda jak ptaszek. Jest taka krucha. Mały ptaszek. Dlaczego jest taka smutna?!

Przecież będąc na jej miejscu, oczekując dziecka z osobą, którą kocham - skakałabym po sufit albo jeszcze wyżej z radości. Nie potrafiłabym jej w sobie pomieścić.

Co jest nie tak?

Chyba wszystko.

Wszystko jest nie tak jak trzeba.

Jak jej pomóc?

Nie potrafię. Nie wiem jak.

Przecież nie potrafię pomóc sama sobie.

Wszystko jest takie jakieś pogmatwane.

Życie jest pogmatwane.

A kim my jesteśmy?

Marionetkami, które żyją, czują, a nie są wolne. Kukiełki na sznurkach, które potrzebują kogoś, by wprowadził je w ruch. Jesteśmy więźniami samych siebie, więźniami sytuacji, innych ludzi, ludzi, którzy trzymają za sznurki nasze nogi i ręce.

Czy naprawdę warto zaczynać każdego dnia na nowo?

Po co?

Dlaczego?

Dla kogo?

Ziemia to nie planeta Małego Księcia, gdzie on znajduje swoją Różę. Jedną jedyną.

A zresztą Mały Książę to też kłamca.

I Róża.

I Lis.

Przesłodzona opowiadka dla niepoprawnych romantyków.

Albo dla głupich naiwniaków.

„Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”.

Bzdura, panie Saint - Exupery! Bzdura!

Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu?

Lep na muchy, na który wszyscy się łapią. Ładnie brzmi, fakt. W szkole dzieciaki powtarzają ten banał, kiedy przerabiają lekturę.

Czego miał się nauczyć Mały Książę? Że musi być odpowiedzialny za to, co oswoił.

Nauczył się tego?

Wątpię.

Nie wiem też, czy tego chciał.

Głupi Lis, głupia Róża i jeszcze głupszy Mały Książę!

Czasami zastanawiam się, do kogo jestem podobna: do Lisa, do Róży, czy do tego małego głupka?

Pewnie zebrałam najgorsze cechy wszystkich trojga. Mam w sobie wszystkie te trzy osoby.

Róża... Mam jej naiwność. Jej zadziorność i zaczepność. Kolce? Chyba więcej niż cztery. Cała jestem kolczasta. Jak kaktus. Nie róża.

Róża była dumna. Ale i głupia. Pozwoliła odejść Małemu Księciu. Nie zatrzymała go. Może nie udałoby się jej to, ale nawet nie próbowała.

Ja próbowałam.

Wiele razy.

Ale czasami trzeba pozwolić komuś odejść. Po prostu trzeba. Tylko dlaczego to tak okropnie boli?!

Może Lis był mądrzejszy? Odszedł, kiedy zaczęło się robić niebezpiecznie. Zwiął. Tak po prostu. I pewnie wcale nie żałował. Kolejny odruch warunkowy, byle chronić swój tyłek.

To mam z Lisa. Ucieczki. Ciągłe ucieczki. Cały czas uciekam. Jedyna Marina sprawiła, że zapragnęłam zostać. Tak naprawdę zostać.

Zostać z nią. Przy niej. Nie na dzień, dwa, miesiąc czy rok, ale na znacznie dłużej. Powinnam była zwać. Tak jak Lis. Podwinąć ogon i zwać gdzie pieprz rośnie. Wtedy, kiedy jeszcze mogłam. Później z każdym dniem było coraz trudniej. Wreszcie niemożliwe.

Dlaczego nie zrobiłam tego, co robię zawsze? Odchodzę, zanim ktoś odejdzie ode mnie. Odchodzę pierwsza, wtedy tak mocno nie boli. Wtedy nikt tak mocno mnie nie zrani.

Doświadczenie z Mariną pokazuje mi, że mam rację. Nie warto. Każdy prędzej czy później może mnie zranić. Kiedy poczuję, że znowu mogłoby być tak - znowu ucieknę. Na pewno. Nie chcę znowu cierpieć. Nie powinnam była dać się jej oswoić. Oswojone zwierzę nie potrafi żyć w swoim naturalnym środowisku.

Tęskni.

Tęsknię.

Sama sobie jestem winna. Sama tego chciałam.

Zresztą...

23 IV

Jestem wykończona. Nareszcie koniec zajęć.

Dlaczego ten cholerny autobus tak się trzęsie?

Nie szkodzi. I tak to przepiszę. Albo i nie. Nie wiem.

Jak mam wytrzymać do wakacji? Zero energii. Nie mogę już patrzeć na moich uczniów. Tacy weseli, beztroscy, pełni energii, planów...

To boli.

Boli, bo pokazuje jeszcze wyraźniej mój obecny stan. Zero radości. Zero energii. Zero planów. Same zera.

Po co właściwie czekam na wakacje? Przecież po kilku dniach będę się modliła, żeby już się skończyły.

Co robi Marina? To już drugie wakacje bez niej. Drugie i kolejne z kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu(?!!) następnych.

Nie chcę wakacji. Nie wiem, czego chcę. Czegoś stałego. Znajomi mówią mi, że nie ma nic stałego. Może mają rację. Ale ja tak rozpaczliwie potrzebuję czegoś stałego. Czegoś pewnego. Pewności, że będzie dobrze. Pewności, że osoba, którą poznam i pokocham - zostanie. Że ja zostanę.

Czy mogę ręczyć za siebie?

24 IV

Gdzie jest to cholerne słońce?! Siedzę tu obładowana truskawkami, książkami, kartkami... Gotowa na powolne podsmażanie mojej biednej skóry. A tu nic.

Obok mnie rośnie pełno stokrotek. Usadawiłam się w samym środku. Nie zauważyłam. Muszę się przenieść, bo inaczej wszystkie zgniotę.

Nie chce mi się.

Po stokrotce idzie sobie zuczek. Mały akrobata. Pękaty, czarny, błyszczący. Ciekawe, gdzie idzie. Dochodzi do końca łądyżki. Stokrotka przechyla się pod jego ciężarem. Pac! Leży na grzbiecie i przebiera nóżkami. Trzeba ratować. Podsuwam łądyżkę.

Pnie się z powrotem w górę. Biedak chyba nie ma pojęcia, gdzie idzie.

I po co.

Tak jak ja.

Śmieszne, ile mamy ze sobą wspólnego: takie małe coś i pani magister ucząca matematyki. Kto by pomyślał?

Pac znowu.

Ciekawe, co teraz zrobi. Znowu idzie. Wytrzymał jest. Męczy się biedak. Wie, że znowu spadnie?

Taki Syzyf w wydaniu zuczkiwym.

Syzyf przynajmniej miał nadzieję. Poza tym pewnie udałoby mu się wtoczyć głaz na kamień, gdyby nie złośliwi bogowie.

Za co to było? Jacy bogowie? Nie pamiętam.

Wiedza ogólna - mitologia grecka: jedynka.

Syzyf nie miał szans. Jego przeznaczenie było już z góry określone. A idiota się męczył.

A jak jest ze mną?

W sumie taka interpretacja mi odpowiada. Po co się wysilać. Przecież wszystko i tak jest zapisane gdzieś tam.

A jak nie?

A co to zmieni?

Zgubił mi się mój mały kolega. Gdzie jesteś, ciaptaku?
Pewno znowu leżysz nóżkami do góry.

A, nie. Pnie się po kolejnej łądyżce.

Dotarł do końca.

No i co? Pewnie teraz spadniesz. Przysięgłabym, że łypnął
na mnie złośliwie błyszczącym okiem. (Ma toto oczy?)

Rozpościera skrzydełka i odlatuje. Ciężko mu to idzie,
buczy, skrzydełka chyba za słabe na taką kulę. Ale leci.

Morał?

Wymyślę jakiś wzniosły, ale jutro.

25 IV

Nie chce mi się dzisiaj pisać. Aha, miał być morał?
SZKODA, ŻE NIE JESTEM ROBAKIEM.

26 IV

Za dużo czasu spędzam w internecie. Nie oszukuję się, że te kontakty coś mi dadzą. Wiem, że są jedynie namiastką prawdziwego kontaktu. Wiem, że nie zagłuszą mojej samotności. To tylko chwilowy zabijacz czasu. Tak naprawdę to kontakty bardziej z samą sobą niż z innymi ludźmi. Tworzę sobie wizje osoby, z którą w danym momencie piszę, albo której ogłoszenie właśnie czytam, na podstawie tego, co o sobie napisze, a tak naprawdę na podstawie moich pragnień, moich oczekiwań... A potem, jak przychodzi do spotkania naprawdę... Katastrofa. I ja, i tamta przychodzimy na spotkanie z obrazem tej drugiej wytworzonym w wyobraźni... Osoba, z którą pisałam i myślałam, że ją znam, nagle staje się obca.

I jest obca.

Przecież tak naprawdę poznajemy się w sytuacjach życiowych, codziennych, a nie na kilkudniowych wyjazdach, nie na gadu - gadu, w mailach czy przez esemesy, gdzie można napisać tak naprawdę wszystko.

I uwierzyć we wszystko.

Dobrze wiem, że takie kontakty są sztuczne. Nawet z osobą, którą poznałam. Pewnie, gdy się długo kogoś nie widzi, telefon czy internet dużo daje, ale to nie jest prawdziwe życie. To nie jest kontakt z człowiekiem takim, jaki jest on naprawdę. Poznanie może dać tylko zwyczajna sytuacja, wspólne posiłki, zakupy, sprzątanie, praca.

W końcu to jest życie. A nie internet czy esemesy.

No i co?

Gównno jak zwykle.

Zastanawiam się, czy dziewczyny czytające moje ogłoszenie myślą o mnie to, co ja myślę o nich. Tak często wydają mi się nieszczerze, puste, jak licealne podfruwajki...

Czy ja jestem szczerą? Sama nie wiem. Na pewno nie wiem, czego chcę. A dziewczyny są różne. W nich widzę jak w lustrze swoje życie. To jestem ja. Miotana sprzecznymi uczuciami i emocjami, uzależniona od zdania innych, od ich akceptacji lub jej braku.

27 IV

Bogu dzięki, że jest już niedziela. Nigdy więcej weekendów. Przeraza mnie to, że kiedy się budzę, od razu ogarnia mnie pustka i poczucie beznadziejności.

Jutro mam spotkanie z Anitą. Jeszcze dwa dni temu się cieszyłam, że jakoś może jej pomogę, dzisiaj nawet mi się nie chce. Znowu maski, znowu udawanie, że jestem szczęśliwą, zadowoloną z życia kobietą.

Obie z Anitą doszliśmy do wniosku, że lesbijki i geje w Polsce nie mają przyszłości. Nie wierzę w to, że coś się zmieni, nawet za 20 lat. Nigdy.

Noc.

Chcę się do kogoś przytulić. Nie mogę myśleć o Marinie. Zabroniłam sobie tego. Nie pozwalam nawet na najmniejszą myśl o niej. Działa to raczej kiepsko.

Do kogo mam się przytulić?

Kurwa! Najchętniej otworzyłabym okno i krzyknęła coś niecenzuralnego. Mam dać ogłoszenie, że szukam kogoś do przytulania?!

Ciekawe, czy ktoś by odpowiedział.

Tak nie chcę być sama...

Nieprawda, że przytuliłabym się obojętnie do kogo. Ale do tych osób, do których chciałabym, nie mogę. Ciężko mi się przytulić do wyobrażenia o kimś. To jest takie nierealne. Ja potrzebuję konkretnej osoby.

Chcę zasnąć i już się nie obudzić. Nie mam siły na kolejne takie dni. Nie mam siły na takie życie.

Na nic już nie mam siły.

Co mam zrobić?

Obiecałam sobie, że przecież nie będę pisała w weekendy, bo wtedy mam najgorszą chandrę, czuję się najbardziej sama. Ale to byłoby odpychanie od siebie problemu, który i tak nie zniknie.

Nic nie zniknie.

Już nie mogę.

Prawie trzecia.

Muszę iść spać. Muszę, bo jutro nie będę funkcjonować.

A nawet jak zasnę, to czy będę w stanie?

Cholera.

Nie potrafię tak żyć. Nie chcę.

28 IV

Chwile takie jak te napełniają mnie niesmakiem. Czy ja te dziewczyny oceniam zbyt ostro? Albo ich nie rozumiem?

Mam wrażenie, że to są idiotki. Głupie podfruwajki, które nie wiedzą, czego chcą. Albo hipokrytki, które oprócz stałego partnera chcą mieć jeszcze kogoś na boku. Dla zabawy, dla podbudowania swojego ego, dla... sama już nie wiem po co. Ale ja nie chcę być na boku.

No to po co się tam pcham? Żeby tylko nie wyszła na tym jak Zabłocki na mydle.

A zresztą, czy to pierwszy raz?

Za bardzo chcę, żeby coś z tego wyszło. Za dużo mam w sobie miłości, z którą nie wiem, co zrobić i komu dać. A chyba nie potrafię tak dać komuś po prostu.

Sama nie wiem, czy tego chcę. To już drugie podejście. Dokładnie rok temu miałam fazę spotykania się z dziewczynami z internetu. I wtedy powiedziałam sobie, że już nigdy więcej.

Ale mam zbyt pełne serce.

Co to znaczy? Że cały czas żyję nadzieją. Niespełnioną nadzieją. Taszczę ją cały czas ze sobą jak zbyt ciężką walizkę. Śmieszne. Gdzieś przeczytałam, że ludzie gdziekolwiek się ruszą, zabierają ze sobą swoje problemy. Ja zabieram nadzieję.

Nie mogę nikogo obarczyć moim bagażem. A nie mogę go tak po prostu zostawić.

Może to byłoby wyjście?

Zostawić gdzieś miłość, nadzieję, cierpienie, ból i strach, i stanąć przed kimś zupełnie czysta. Niezapisana. Nowa.

Pusta.

Dlaczego mam wrażenie, że te emocje i uczucia znalazłyby drogę powrotną do mnie jak po nitce?

Żeby przetrwać, muszę nauczyć się żyć sama. Bez Mariny. Przecież żyję...

Żyję.

Chcę się zakochać, ale wydaje mi się to niemożliwe.

Nadal żyję...

Żyję.

Mimo wszystko.

Chcę wierzyć, że jeszcze będę szczęśliwa.

Na pewno nie z Anitą czy jakąkolwiek inną kobietą.

Tego jestem pewna.

Dzisiaj udało nam się pożyczyć rowery. Co prawda są one dosyć wiekowe i mam pewne obawy, że mogą się rozsypać po drodze, ale chęć wyrwania się w towarzystwie Mariny z dusznej, upalnej i tłocznej Barcelony jest o wiele silniejsza. Czekam na nią na plaży, ciągniemy naszą mistyfikację w obozie i rzadko spotykamy się wśród naszych wakacyjnych znajomych. Widzę ją z daleka. Podoba mi się jej sylwetka, zawsze jest taka wyprostowana. Ja niestety mam tendencję do garbienia się. Decydujemy się pojechać do Tossa de Mar, to ponad dwadzieścia kilometrów od Barcelony. Ruch na ścieżce rowerowej dosyć duży, więc jadę za Mariną. Ładnie wygląda... Po raz pierwszy widzę ją w krótkich spodenkach i na pewno wygląda w nich o wiele lepiej niż ja. Po raz kolejny łapię się na myśli, że chciałabym jej dotknąć, nie podoba mi się to, że moje myśli o niej nie są już tak niewinne. Pragnę jej. Pragnę jej dotyku, chcę poczuć pod palcami jej delikatną skórę. Zastanawiam się, jaki smak mają jej usta. Na pewno są miękkie... Słodkie... Wstydzę się tych myśli. Ale czy to coś złego? Marina zatrzymuje się i czeka na mnie. Mało rozmawiamy. Zdajemy sobie sprawę, że może to być nasz ostatni wyjazd. Kurs kończy się za kilka dni. Marina pewnie wróci do Armenii, a ja do Polski.

Co potem?

Czy w ogóle będzie jakieś „potem”?

Dwie godziny spędzone w internecie. Nic ciekawego. Odezwała się Ania, z którą się już spotkałam. Nie wiem, czy mnie poznała i czy mnie kojarzy. Zresztą, czy to ważne? Nie zależy mi na tym ani trochę.

Chyba już wiem, czego szukam. Chcę, żeby ktoś mną potrząsnął, obudził do życia.

Dziewczyna z internetu?

Przecież tego nie chcę.

A może jednak?

Dlaczego mam wrażenie, że ją zdradzam? Muszę pozbyć się tego uczucia, bo inaczej nie ruszę się z miejsca. Wiem, że na pewno chciałaby tego. Chciałaby, żebym ułożyła sobie życie z kimś innym.

I to mnie boli najbardziej.

Chcesz tego, prawda? Wiem, że o mnie myślisz i chcesz, żebym była szczęśliwa. Chcesz, żeby ktoś mnie podniósł, przytulił i na nowo nauczył kochać.

Pomóż mi. Odejdź z moich myśli. Odejdź z mojego serca. Daj mi znowu szansę być tak pełnym i prawdziwym człowiekiem, jakim byłam przy tobie.

Wierzysz we mnie, prawda?

Wiem, że potrafię.

Tylko daj mi szansę.

Odejdź.

Proszę...

29 IV

Wypadły mi dzisiaj ostatnie lekcje. Powinnam się cieszyć, ale jest mi wszystko jedno. Nie chce mi się wracać do domu. Może przespaceruję się do rodziców? Już dawno do nich nie zaglądałam. Nasze relacje niby są poprawne, ale jest w nich coś wymuszonego, sztucznego. Mama widziałyby mnie najchętniej w otoczeniu męża i dzieci, a siebie z gromadką wnucząt. O mnie i o Marinie w domu się po prostu nie mówi. To temat tabu. Im mniej rozmów na ten temat, tym lepiej.

Smutno mi dzisiaj. Nie wiem, czy jestem w pełni świadoma dlaczego. Może po prostu nie mam siły „się trzymać”. Czasami jest to za trudne.

Kobieta, od której wynajmuję mieszkanie powiedziała, że dzwoniła Marina. Musiało coś się stać, bo obiecała, że nie będzie się ze mną kontaktować. Może coś z babcią, ostatnio trochę chorowała. Mam nadzieję, że nie. Nie chcę z nią rozmawiać. Nie mam na to siły. Naprawdę. Jestem zdziwiona, że nie chcę. Naprawdę nie chcę. Po prostu się boję i chyba po raz pierwszy rozsądek wziął górę nad sercem. Wcześniej było ono głuche i ślepe na wszelkie argumenty.

Serce i rozum to wrogowie, którzy rzadko godzą się na kompromis, zawsze któreś przeważa i katastrofa gotowa.

W jaki sposób zachować w miłości właściwe proporcje, aby przetrwała?

Jezu, znowu zbiera mi się na jakieś mdłe gadki, zaczynam filozofować, dzielić włos na czworo i zastanawiać się Bóg wie nad czym. A prawda jest taka, że ona po prostu mnie nie chciała i tyle w tym filozofii.

Koniec.

Nie pamiętam, co chciałam napisać. W każdym razie powinnam przestać. Wciąż zadaję sobie te cholerne pytania o miłość. Sama już nie jestem pewna, czym jest.

Czy między nami była miłość? Prawdziwa miłość?

Czy miłość może być nieprawdziwa?
Czy chodzi tylko o to, aby się z kimś dobrze czuć?
Cieszyć z czyjegoś towarzystwa?
Czy jest to poczucie troski?
Nigdy tego nie zrozumieć.

30 IV

Środek tygodnia. Nareszcie. Dlaczego „nareszcie”?

Na co czekam? Gdzie mi się spieszy? Nigdzie. I tak zero planów na weekend czy jakikolwiek inny dzień. Zauważam, że znowu wpadam w pułapkę internetu. Nie wiem już, czy to jest nadzieja na coś, czy sposób na to, żeby się coś działo.

I znowu nie żyję terażniejszością, tylko tym, co będzie bądź może być. Kiedy ostatni raz tak naprawdę byłam tu i teraz? Bez rozpamiętywania przeszłości? Bez wyrzucania sobie, co zrobiłam nie tak jak trzeba, co mogłam zrobić inaczej, lepiej. Bez zastanawiania się nad przyszłością, bo dopiero wtedy „będzie wspaniale”?

Przecież ja albo żałuję czegoś, co już nie wróci, co mi się nie udało, albo czekam na coś, co dopiero nadejdzie. Nawet nie wiadomo, czy nadejdzie. Jestem zawieszona w próżni. Wiszę sobie na cieniutkiej nitce między jednym a drugim. Czasem gdy zawieje wiatr, objam się raz o przeszłość, raz o przyszłość, raz słabiej, raz mocniej... Nie potrafię jednak postawić stopy na terażniejszości.

Gdzie jest most?

Czy gdzieś istnieje? Czy po prostu ja go nie widzę? .

Co może być tym mostem?

Przydałyby mi się skrzydła. Latać jeszcze nie umiem.

Kiedyś już prawie umiałam.

Łapię się na tym, że szukam Mariny na zajęciach. Strasznie chcę, żeby usiadła przy mnie, ale często tylko przechodzi obok i siada w zasięgu mojego wzroku, jednak niezbyt blisko. Potrafię już szóstym zmysłem wyczuć, kiedy jest za mną, mimo że jej nie widzę. Uwielbiam te momenty, niepewność znika, powoli się uspokajam, liczy się tylko to, że ona jest. Nie muszę dodawać, że w tym przypadku z lekcji nie wynoszę dosłownie nic. Nawet nie potrafię sobie przypomnieć, jaki problem gramatyczny przerabialiśmy, jakie

słówka poznaliśmy. Zastanawiam się, czy ona też to tak odbiera. Właściwie nie ma sensu przychodzić na zajęcia, ale za często już je opuszczamy, uzgodniłyśmy więc, że będziemy się pokazywać od czasu do czasu. Myślę jednak, że wszyscy już wiedzą, co się święci. Gerda, nasza koleżanka z Litwy zapytała mnie ostatnio, co zamierzamy zrobić po kursie. Nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekiwała, że wyjedziemy razem? Zamieszkamy razem?

Te pytania nie dają mi spokoju. Czy nasza znajomość skończy się z ostatnim dniem pobytu w Hiszpanii? Czego oczekuję? Czego oczekuje Marina? Czego chcemy od siebie? Czy w ogóle czegoś chcemy?

Czy mamy szansę na jakąkolwiek wspólną przyszłość?

Nie wiem.

Musimy porozmawiać. Proszę Marinę, żeby wieczorem przyszła do mnie. Jestem sama w pokoju, Karen dzisiaj po południu wyjechała. Uprzedzam ją, że będzie musiała wejść przez okno, jeśli chce uniknąć natarczywych spojrzeń i niewygodnych pytań. Nie przychodzi mi do głowy, że jeśli ktoś zobaczy Marinę wchodzącą po ciemku przez okno do mojego pokoju, to pytania dopiero się zaczną. Marina przytakuje. Jest raczej nieobecna, wydaje się niespokojna. Widocznie też ją nurtują podobne pytania i wątpliwości. Boję się tej rozmowy, boję się obaw wypowiedzianych na głos, że to wszystko nie ma sensu, że przeżyliśmy po prostu zauroczenie i nic więcej.

Dzień ciągnie się jak guma do żucia, co dziwne, ani Marina, ani ja nie szukamy swojego towarzystwa, powiedziałabym wręcz, że omijamy się szerokim łukiem. Nie potrafię się na niczym skupić, wyciągam Gerdę na spacer, zaznaczając jednak, że nie mam ochoty rozmawiać o mnie i Marinie. Gerda zgadza się niechętnie, lubi wszelkiego rodzaju ploteczki, nie mam nic przeciwko, żeby plotkować o kim

innym, ale mnie proszę zostawić w spokoju. Idziemy brzegiem morza, nie chcę myśleć o niczym, Gerda plecie co jej ślina na język przyniesie, jednym uchem słucham jej, czasem przytakuję, zresztą ona i tak nie zwraca uwagi na to, że myślami jestem zupełnie gdzie indziej. Chciałabym teraz popływać w morzu, chciałabym, żeby woda zmyła ze mnie cały ten niepokój i napięcie, którego nie potrafię wytłumaczyć. Coś jest nie tak.

Moja głowa pokazuje mi, że nie napisałam wszystkiego, co chciałam. Pęka. Myśli pukają i domagają się uwolnienia.

Jestem zmęczona. Nie chce mi się pisać. Trzymanie długopisu - to wymaga zbyt dużo wysiłku.

Leń?

Leń.

Słowo tylko o Monice i niech znika z mojej głowy.

Chcesz się z nią spotykać?

Nie.

Kasujemy numer?

Kasujemy.

Zadowolona, że spróbowałaś?

Nawet nie. Z czego tu być zadowoloną? Odbębniłam pańszczyznę, sama dla siebie chyba, i na tym koniec. Nawet nie wiem, czy jej wpadłam w oko.

I jakoś nie mam ochoty się dowiedzieć.

Pani M. już dziękujemy. Jak podejmiemy decyzję, to zadzwonimy.

Ups, za późno. Numer telefonu gdzieś mi się zapodział.

Co za szkoda!

4 V

Znowu mi smutno. Znowu boli. Nie wiem co, ale boli. Chciałabym, żeby to wszystko już się wreszcie skończyło. Nie wiem jak. Nie wiem dlaczego. Nie wiem kiedy. Ale żeby już się skończyło.

Ten smutek.

I strach.

Sama nie wiem już, co czuję, choć czasami wydaje mi się, że wiem. Że znam siebie. Świat. I wtedy dopiero przychodzi smutek. Jak to jest, że pewnego dnia zaczynam rozumieć, że nie mam miłości? Nie mam przyjaciela. Takiego prawdziwego. Gdzie jest moja Sabina? Gdzie to poczucie pewności, że nie jestem sama? Że ktoś o mnie myśli?

Cholerna, idiotyczna pustka.

Dziura.

Otchłań.

Jestem sama.

Wtedy odczuwam ten dziwny niepokój.

Dlaczego wszystko obraca się przeciwko mnie?

Coraz mniej dobrych słów, dobrych spojrzeń, ciepłego zainteresowania.

Sama jestem przeciwko sobie.

Sama się niszczę.

Systematycznie.

Dlaczego się zabijam? Przecież pragnę żyć.

???

Dlaczego tak rzadko wracam do rzeczywistości? Czym ona jest bez Mariny? Szarą, zimną przestrzenią. Stworzyłam sobie mój własny świat, do którego wracam. Wygodny, ale i pusty. Otoczyłam się długim, grubym murem. Marina go zburzyła. Wkrótce nie zostało nic. Mur zniknął.

I ona też.

Zostałam sama, bez muru, bez ochrony. Zacisnęłam zęby i
zabrałam się do odbudowy. Siedzę sobie w mojej twierdzy,
jestem bezpieczna...

Jestem wolna.

Zawsze marzyłam o wolności.

Tylko dlaczego mnie to nie cieszy?

Tego wieczora Marina nie przyszła. Czekałam na nią
prawie do rana.

6 V

Znowu nie umiem spać. Znowu się boję. Od kilku dni nocuje u mnie Iza. Lubię ją. Znamy się bardzo długo, zawsze przy mnie była, gdy jej potrzebowałam. Bez niej nie dałabym sobie rady, jest moim aniołem stróżem, odwraca moje myśli od Mariny, pilnuje, żebym jadła, spała, nie zapomniała oddychać. Nie wiem, co zrobiłabym bez niej. Teraz śpi. Ja nadal nie potrafię zasnąć.

Chciałam ją obudzić. Ale co jej powiem? Że nie potrafię spać? Że się boję? Że nie wiem, czego się boję? Przecież sama nie rozumiem.

Boję się, że po takiej próbie będę się czuła jeszcze bardziej sama. Bo niezrozumiana. Gdy jestem sama i boję się - w porządku. Boli najbardziej, jak nie jestem sama, a jednak jestem sama mimo to. Czuję się sama.

Dlaczego chwyta mnie lęk?

Iza mówi, że łazikuję. Nie rozumie, dlaczego po prostu się nie położę i nie zasnę. Jak jej mam wytłumaczyć coś, czego sama nie rozumiem?

Kiedy czuję zimne macki strachu, wszystko jest lepsze od beczynnego leżenia w łóżku, bo wtedy wydaje mi się, że umrę, albo w najlepszym wypadku zwariuję, jeśli czegoś nie zrobię. A i tak czuję się jak w klatce.

Rzeczywistość, jutro, codzienne życie jest daleko. Jest jak bańka mydlana, która w każdej chwili może pęknąć. Prawdziwą rzeczywistością jest strach.

I noc jest prawdziwa. Namacalna. Mogę dotknąć jej aksamitnej czerni. Jest terazniejszością.

Jak przetrwać noc, chociażby kilka jej minut, kiedy wszystko inne, całe moje życie wydaje się nierzeczywiste?

Spałam bardzo niespokojnie, nie zamknęłam okna, jeszcze miałam nadzieję, że Marina przyjdzie.

Nie przyszła.

Budzą mnie promienie wschodzącego słońca. Czuję, jak łąskoczą moje policzki. Nie chcę jeszcze wstawać, w półśnie odwracam się do ściany, chowam twarz, ale niepokój nie daje mi zasnąć. Wraca niepewność, która wieczorem objęła mnie chłodnymi, śliskimi ramionami. Co się stało? Dlaczego nie przyszła? Przecież miałyśmy porozmawiać.

Nie wiem, co o tym myśleć. Mam dosyć tej okropnej niepewności, muszę się z nią zobaczyć. Teraz, natychmiast! Wkładam sukienkę, którą mam pod ręką i wychodzę. Kieruję się natychmiast pod drzwi Mariny. Pukam. Nikt nie otwiera. Wiem, że jest w środku. Czuję to.

Pukam jeszcze raz. Tym razem głośniej. Nadal żadnej reakcji. Jestem chyba zbyt dumna na rozmowę pod drzwiami. Zresztą co mogłabym powiedzieć? W myślach zaklinam drzwi, żeby się otworzyły, one jednak nie ulegają moim zaklęciom i ani drgną. Z sekundy na sekundę czuję się coraz bardziej głupio. Niewidzialna siła trzyma mnie jednak mocno i nie pozwala ruszyć z miejsca.

Bzdury.

Odrywam jedną nogę, potem drugą. I okazuje się, że wcale nie jest to niemożliwe. Odwracam się i odchodzę. Mam nadzieję, że nikt mnie nie widział. Nagle za plecami słyszę brzęk przekręcanego klucza i skrzypnięcie otwieranych drzwi. Serce podskakuje niespokojnie jak gumowa piłeczka i jednocześnie czuję, jak kosmaty strach ściska tę piłeczkę raz za razem. Powoli się odwracam. Marina daje mi znak, że zaraz wyjdzie.

Słońce jak zwykle piecze niemiłosiernie, jednak zaczynam mieć dreszcze. Zimno mi, znowu ten strach. Marina staje przy mnie, idziemy przed siebie. Mijamy uniwersytet, sale wykładowe, kierujemy się do parku. Jest coraz ciszej. Ludzie, którzy nas mijają rozmawiają przyciszonymi głosami, jest tak... spokojnie. Zwyczajny, leniwy, upalny ranek. Życie toczy się

normalnym torem, tak po prostu... Tym mocniej czuję kontrast między tym zwykłym, spokojnym życiem a stanem, w jakim się znajduję. Czuję niepokój, nie wiem dlaczego. Niby nic się nie stało, ale podskórnie czuję coś, co sprawia, że nic już nie jest tak jak dawniej. Cisza, która kiedyś była przecież nieodłączną towarzyszką naszych spotkań, milczącą nicią porozumienia, ta sama cisza staje się nieznośna, ciężka. Spoglądam na Marinę. Napotykam jej wzrok. Smutny, poważny. Ma podpuchnięte i czerwone oczy, widocznie płakała. Boże, niech w końcu coś powie.

Co się dzieje?

Świat nagle poszarzał. Taki sam dzień jak wiele innych, jasny, czysty, słoneczny. Gdzie te kontrasty, żywe kolory, których jeszcze wczoraj był pełen? Niesamowite, jak wydarzenia, ludzie, słowa powiedziane i niewypowiedziane, domysły i niepewność mogą wpłynąć na odbiór rzeczywistości. Siadamy nad brzegiem małego stawu. Cisza między nami aż brzęczy, wibruje, drga. Nagle Marina, nadal nie patrząc na mnie, zaczyna mówić. Mówi szybko, chaotycznie, jak gdyby chciała jak najszybciej wyrzucić z siebie słowa. Nic z tego nie rozumiem. Boi się tego, co się między nami dzieje, nie znamy się prawie wcale, przeżywamy coś niezrozumiałego, przynajmniej dla niej. Marina nigdy nie spędzała z żadną kobietą tyle czasu, nie uznaje wyłączności i zaborczości, a pragnie spędzać ze mną jeszcze więcej czasu. I tylko ze mną. Jest zaskoczona intensywnością tego pragnienia...

Marina przerywa. A ja? Kiedy mówi, mój strach po prostu ulatnia się, rozwiewa w przestrzeni. Mogłabym przysiąc, że widzę delikatną mgiełkę unoszącą się do góry. Mój strach... Już go nie pamiętam. Kolory wracają, kontury przedmiotów znowu stają się wyraźne. Wraca zwykły, normalny dzień. Czuję tak ogromną ulgę, że robi mi się słabo. Na razie nie ma

we mnie miejsca na żadne inne uczucie. Czuję ją, jak rozplywa się we mnie, wypełnia mnie po brzegi.

Spoglądam na Marinę. Wydaje się zmieszana i wzburzona swoim wyznaniem. Ma rumieńce na policzkach i czerwone uszy. Mówiła mi kiedyś, że jak się peszy, to czuje swoje uszy. Zawsze robią się czerwone. Nienawidzi tego, bo ją zdradzają. Uważam, że wygląda uroczo. Nawet z purpurowymi uszami. Uśmiecham się do niej, nie wiem, co powiedzieć. Oczy Mariny są teraz ciemne, tęczęwki ma tak wielkie, że nie ma już prawie miejsca na zielony kolor. Siedzimy tak blisko siebie, że widzę kontury swojej twarzy w jej oczach. Trochę zniekształcone, ale to bez wątpienia moja twarz. Moja miniaturka w Marinie. Tak bardzo chciałabym ją objąć, poczuć jej twarz w moich dłoniach. Wiem, że nie zrobię pierwszego kroku, mam przeczucie, że coś bym zepsuła, a może po prostu się boję...

Nie wiem.

Mija nas starsza para z pieskiem. Zwierzak jest rozkoszny, mały, biały, o długiej sierści, z czarnym guziczkiem mokrego nosa. Zatrzymuje się przy nas, merda ogonem i przysięgłabym, że się śmieje. Wiem, że biedak po prostu dyszy z powodu upału, ale w tym momencie wydaje mi się, że wszystko i wszyscy się do mnie uśmiechają. Marina chce go pogłaskać, zwierzak odskakuje do tyłu, ale po chwili wraca, obwąchuje jej dłoń i pozwala się pogłaskać. Marina ma piękne dłonie o długich, smukłych palcach, mówi, że taki właśnie jej się podoba. Zawsze już widząc psa takiej rasy, będę sobie przypominać ten poranek. Uczucie wielkiej niepewności, ulgę, a w końcu serce, już nie ściśnięte ze strachu jak gumowa piłeczka, ale jak piłeczka podskakujące z radości: Marinie na mnie zależy! Jestem dla niej kimś ważnym! Tylko to się liczy. Tylko to i nic więcej.

10 V

Byłam dzisiaj na spacerze. Musiałam wyrwać się z domu chociaż na moment. Spacer przeciągnął się do późnego wieczora. Po co miałam wracać? Do kogo? Do pustego mieszkania? Miałam posprzątać, wiem. Ale teraz jest ciemno i nie widzę okien, którym już z miesiąc temu przydałoby się porządne mycie... Widzę przez nie szary świat, ale to nie wina okien. Taka sama szarość otacza mnie, kiedy wyjdę na zewnątrz, mimo że świeci słońce. Więc cóż to za różnica?

Biorę długopis i siadam do biurka. Mam głowę pełną myśli, ale nie mam ochoty pisać. Nie jestem zmęczona. Po prostu nie chce mi się. Jeśli nawet pisać mi się nie chce, to niedobrze. Dotąd cieszyłam się na te wieczorne godziny.

Coraz mniej odczuwam.

Coraz mniej mi się chce.

Teraz, z perspektywy czasu widzę, że okres, w którym płakałam właściwie bez przerwy, był lepszy od teraźniejszości.

Teraz nawet płakać mi się nie chce.

Wczoraj płakałam znowu, po raz pierwszy od wielu dni. Takie łzy nie przynoszą ukojenia. Są jeszcze gorsze, bo nie wiem, skąd się biorą.

Smutek?

To chyba nie dlatego.

Czuję, że nic nie ma sensu. Po co wstaję rano z łóżka? Po co chodzę do pracy? Po co piszę? Po co staram się dzień po dniu odbudować moje życie? Po co spotykam się z Izą? Nawet to nie ma sensu.

Coraz trudniej jest mi porozumieć się z ludźmi. Nawet sama ze sobą nie umiem się porozumieć. Próbuję jeszcze coś zrobić: czytać, pisać, planować wakacje i cieszyć się z tego, czasem się nawet udaje, ale przychodzi mi to coraz trudniej.

Czuję ssanie w żołądku. Powinnam coś zjeść. Wędruję do kuchni. Zupełnie niepotrzebnie, i tak nic jadalnego tam nie znajdę. Zakupów nie robię, lodówkę już dawno wyłączyłam. Otwieram ją bez większego przekonania. Tkwi tam jedynie samotna, do połowy opróżniona butelka „Sobieskiej” Zresztą nie wiem już, czy przypadkiem nie wypiałam jej do końca i dla niepoznaki nie uzupełniłam do połowy zwykłą kranówką. W zamrażalniku widzę ćwierć paczki zupełnie rozmrożonych frytek, które porosły czymś kosmatym i zielonym. Wyglądają, jak gdyby za chwilę miały dostać nóg i czmychnąć, korzystając z otwartych drzwiczek. Całości dopełnia całkiem wysuszona cytryna, zmniejszona do rozmiarów sporego orzecha włoskiego. Nawet kolor ma podobny. Ostrożnie, wstrzymując oddech, biorę frytki, cytrynę w dwa palce i wrzucam do plastikowej torebki.

Zresztą i tak odechciało mi się jeść.

Powinnam posprzątać kuchnię. Umyć zlew, pozmywać naczynia, pozamiatać. Może wtedy byłaby bardziej przytulna, bardziej zamieszkała, bardziej moja.

Jutro...

Krzątam się po moim malutkim pokoiku. Właściwie to nawet nie sprzątam, ale chodzę chaotycznie z kąta w kąt. Większość ubrań zostawię tutaj, może komuś się przydadzą, nie będę zabierała ich do Polski, niektóre, wypłowiałe od hiszpańskiego słońca, będę musiała po prostu wyrzucić. Część rzeczy mam już w walizce, ale wyjazd dopiero za parę dni, więc wszędzie jeszcze tkwią bluzki, majtki, książki, kosmetyki. Próbuję to wszystko ogarnąć, poukładać, tym razem Marina przyjdzie na pewno. Zastanawiam się, czy nie przesadzam, ale biorę szczotkę, proszek i zabieram się za szorowanie starej umywalki. Nie wiem, czy to pomoże, bo pewnie pamięta czasy Kolumba i już zupełnie pożółkła ze starości, ale rozsadza mnie niespokojna energia i muszę coś

robić. Nie chcę przed sobą przyznać, że bardzo zależy mi na tym, żeby Marinie spodobał się mój pokój, moje rzeczy, żeby pomyślała o mnie jako o kimś mającym swój styl, pełnym fantazji... Przesuwam bez przerwy bibeloty na jedynym, małym stoliczku. W prawo, w lewo, ze stoliczka na parapet, z parapetu na półkę, z półki na łóżko, a z łóżka... Część rzeczy ładuje w koszu, a resztę upycham pod ubrania. Fredek, mały zajęczkowatopodobny stworek łypie na mnie oskarżająco z walizki. Kupiony nad brzegiem morza w La Napoule, towarzyszy mi zawsze w podróżach i nigdy jeszcze nie został schowany. Nie chcę jednak, by Marina uznała mnie za kogoś niedojrzałego, dziecinnego, kto śpi z pluszakiem. Szepczę „przepraszam” prosto w długie uszko Fredka i upycham go jeszcze głębiej między skarpetki i majtki. W samą porę. Pomarańczowa zasłona na moim oknie lekko się poruszyła. Zza zasłony wychyla się głowa Mariny. Pyta szeptem, czy może wejść.

Jest coś nierealnego dla mnie w tej sytuacji. Czuję się niepewnie. Cieszę się, że Marina jest, że przyszła, a jednocześnie strasznie dziwnie jest ją zobaczyć w moim pokoju. Powierzchnia kilkunastu metrów kwadratowych zmniejsza się do przestrzeni kilkudziesięciu centymetrów dzielących mnie i Marinę. Wchodzi i siada na moim łóżku. Cieszę się, że nie wybrała kulawego krzesła, zresztą jedyne w tym pokoju, stojącego przy stoliku do wszystkiego. Siadam na pustym łóżku Karen i po prostu cieszę się obecnością Mariny. Widzę, że jest trochę spięta. Cóż, pewnie nie zdarza się jej codziennie wchodzić przez okno do czyjegoś pokoju. Zastanawiam się, jaką minę zrobią moi znajomi, jeśli przyjdzie im na myśl odwiedzić mnie akurat dzisiaj, lub jeśli po prostu wpadnie ktoś zapytać o coś, pożyczyć coś, porozmawiać przed wyjazdem. Pewnie cały kampus będzie następnego dnia mówił, jak to Marina odwiedziła mnie w

pokoju. Po drodze plotka pewnie obrośnie niemiłosiernie informacjami wyssanymi z palca, jak to zawsze z plotką bywa, i nie będę zdziwiona, jeśli się dowiem, że całowałyśmy się, czy biegałyśmy nago po pokoju. Już widzę te spojrzenia i szepty po kątach, nie miałabym nic przeciwko nim, gdyby dotyczyły sytuacji, która miała naprawdę miejsce. A my przecież do tej pory nawet się nie dotknęłyśmy. Istnieje między nami dziwna bariera dotyku, której nie potrafimy przełamać. Marzę o tym, nawet nie wiem, jaki jest dotyk jej smukłych dłoni, delikatny czy zdecydowany? Niecierpliwy czy pełen czułości? Marina ma piękne dłonie, o długich palcach, dłonie artystki, palce stworzone, by przebiegać po białych klawiszach fortepianu lub ujmować smyczek skrzypiec. Bardzo chciałabym poczuć te dłonie na policzku, to przecież taki niewinny gest, ale nawet na taki nie potrafimy się zdobyć. Cisza między nami gęstnieje od niewypowiedzianych słów, pragnień, od niedopowiedzeń... Patrzymy na siebie, w mdłym świetle lampy oczy Mariny wydają się ogromne, rzęsy rzucają cień na połowę twarzy. Jeśli w świetle dziennym Marina wygląda na bardzo młodą kobietę, to teraz przypomina mi wystraszoną dziewczynkę. Obydwie czujemy, że musimy coś postanowić, nie możemy przecież pojechać każda w swoją stronę, jakby nic się nie zdarzyło, a jednak podświadomie boję się, że właśnie tak będzie. Żadna jednak nie chce pierwsza wypowiedzieć na głos swoich obaw. Nie wiem, co mam myśleć, jak mam się zachować. Pytam się Mariny, kiedy wyjeżdża, chociaż dobrze wiem, że w następny poniedziałek, to głupie pytanie pozwala mi jednak zyskać na czasie, przełamać niezręczną ciszę, odwlec co nieuniknione. Rozmawiamy przez parę minut o Karen, o znajomych z kursu, o tym, że Barcelona jest piękna, że na pewno tu wrócimy... W końcu Marina bierze mnie delikatnie za rękę i mówi, że nie wie, co ma robić, że jestem jej tak bliska, a zarazem tak

daleka, przecież w ogóle mnie nie zna, boi się tego uczucia, ma wrażenie, że wtapia się we mnie, w moją osobę, moje myśli, moje lęki, nie potrafi już być sobą beze mnie. To okropne uczucie, takie powolne, dobrowolne zatracanie siebie. Czuje, jakby żyły w niej dwie osoby, z których ani jedna nie jest nią - Mariną. To wszystko jest jednak złudzeniem, mówi. Nie rozumiem jej słów, nie rozumiem, o co jej chodzi. Powtarzam jak mantrę, że wszystko będzie dobrze. Nie mam pojęcia, co się kryje za tymi słowami, ale na pewno będzie dobrze. Porozmawiamy jutro. Zastanowimy się, co zrobić.

Proszę Marinę, żeby została na noc. Mamy już tak niewiele czasu. Prośba, która zazwyczaj ma podtekst erotyczny, jest niewinna i pozbawiona jakiegokolwiek podtekstu w moich ustach, obydwie dobrze o tym wiemy. Marina zdejmuje bluzę i dżinsy. Jej koszulka ledwie zasłania jej uda, już drugi raz tego wieczoru uderza mnie myśl, jak dziecinnie wygląda. Gdyby nie ponętne zarysowane pośladki, zaokrąglone biodra i drobne piersi rysujące się pod koszulką, można by pomyśleć, że to kilkunastoletnia dziewczyna. Zauważam, że nie nosi stanika, zresztą po co? Piersi ma małe, sterczące, takie, jakie podobają mi się najbardziej. Głos Mariny sprowadza mnie na ziemię. Pyta, czy może umyć zęby. ,

Zęby.

No tak.

Okruch codzienności.

11 V

Przeraża mnie moje myślenie. Za dużo myślę, i niepotrzebnie. Przecież kiedy zaczynam myśleć, to się rozklejam. Wszystko wydaje mi się absurdem. Wszystko. Gdzie jesteś? Gdzie jesteś?! Skąd ten fizyczny ból? Dlaczego?!

Byłam dzisiaj na spacerze. Rozmawiam sama ze sobą. Powinnam wiec psa, kota, królika... Opowiadałabym im, co mnie boli.

Iza nieustannie pyta, co myślę.

Dlaczego wtedy tak trudno pozbierać myśli? Wtedy czuję pustkę.

Chciałabym być teraz na samotnej dzikiej plaży. Zjednoczyć moje myśli z szumem fal. Poczuc pod stopami ciepły piasek.

Dlaczego coraz częściej czuję się, jakbym nagle znalazła się na ziemi zupełnie przypadkowo? Jakbym przybyła z innej planety?

Pełnej baobabów?

Lisów?

Róż?

Kim jestem?

Czuję się jak zamek z piasku. Na zewnątrz wielka, imponująca budowla otoczona murem obronnym i fosą, mury udekorowane małymi, gładkimi muszelkami, ręka małego budowniczego zadbała nawet o otoczenie: wokół zamku tkwią małe, zielone, nieco zwiędłe od upału gałązki - drzewa. Zamek wygląda pewnie i bezpiecznie... Ale tylko z daleka. Wystarczy nieostrożny ruch ręką, kopnięcie stopą zniecierpliwionego dziecka, jedna większa fala i cała misternie zbudowana konstrukcja rozsypie się w pył.

Myśli wypełniają mi głowę. Każda myśl - ziarenko piasku - cudem utrzymuje się w piaskowej budowli, skoro jednak ta

runie - ziarenka rozsypią się po całej głowie. Jest pełna suchych, sypkich myśli. Mam wrażenie, że wystarczy potrząsnąć głową, a usłyszę szelest. Jak w dojrzałej makówce pełnej ziarenek maku.

Moja własna osoba staje się nie do wytrzymania. Moje własne ja rozdziera mnie od środka. Sama się niszczy. Wiem o tym.

Ja to strach.

Ja to moje myśli.

Ja to samotność.

Ja to pustka.

Ja to miłość. Bezsensowna. Niepotrzebna.

Czuję się osaczona. Sobą. Moim własnym ja i moimi myślami.

Moje myśli to też ja.

Dlaczego nie mogę sobie otworzyć czaszki i wyrzucić wszystkich niepotrzebnych myśli? Wysypać ziarenko po ziarenku, aż nie zostanie po nich w mojej głowie najmniejszy ślad...

Dzisiaj jest już lepiej. Chyba powinnam się przyzwycząić do ciągłych zmian nastroju. Raz na górze, raz na dole. Jak sinusoida. Matematyczna dokładność w moim życiu. Dlatego też wybrałam ten kierunek na studiach, żebym mogła w końcu coś przewidzieć, coś kontrolować, czegoś być pewna. Tylko wtedy sobie tego nie uświadamiałam, natomiast teraz widzę to bardzo wyraźnie.

Nie umiem przebić się przez mur nieporozumień, niedopowiedzeń ze sobą, z innymi, szczególnie z mamą. W ogóle się nie rozumiemy, nie potrafimy rozmawiać. Nic o sobie nie wiemy. Nie wiem, co lubi, co ją cieszy, czego pragnie. Słowa, które wymieniamy codziennie są puste, nie tworzą żadnej więzi, nie niosą żadnego ładunku emocjonalnego, oprócz informacji, co zjem, o której jadę do pracy... Czy tak powinna wyglądać relacja matka - córka? Tyle chciałabym jej powiedzieć o sobie, czasem wyżalić się, opowiedzieć o moich obawach, radościach... Nie potrafię. Słowa zatrzymują się w gardle, drapią, łaskoczą. I zamiast miłych słów wychodzą słowa twarde, suche, zgrzytające. Nie skończę ich wypowiadać i już żałuję, bo wiem, że nie da się niczego cofnąć. Nienawidzę siebie takiej. Przecież ją kocham, to moja mama... A czasem mam wrażenie, że to zupełnie obca osoba. I nie mam pojęcia, jak to zmienić.

Potrzebuję małego światełka w tunelu. Delikatnej poświaty wskazującej kierunek. Potrzebuję czegoś, kogoś, kto mnie poprowadzi. Czasem trzymając delikatnie za rękę, od czasu do czasu popychając, jeśli będę się ociągała, a czasem po prostu dając mocnego kopniaka w tyłek. Nie szkodzi, że zaboli. Powinno boleć.

A tymczasem muszę iść po omacku. Sama. Przechodzę przez każdy dzień, rozgarniając rękami czarną, gęstą mgłę. Nic nie widzę. Zwalniam. Aksamitna czerń za moimi plecami

jest zbyt przerażająca, aby zawrócić, więc powoli, krok po kroku posuwam się do przodu.

Nie wiem nawet, czy idę dobrą drogą.

Jak ją znaleźć?

Jak mam sobie przypomnieć, odnaleźć tę osobę, którą byłam przedtem? Jeszcze kilka lat temu? Przed poznaniem Mariny? Nie pamiętam mojego życia, zawężało się do tych wspólnie przeżytych miesięcy.

Czy to możliwe?

Przy niej moje ja nabrało formy i treści. Stałam się sobą. Marina mnie uformowała, powołała do życia.

Polubiłam siebie. Podobałam się sobie. W każdym lustrze, witrynie sklepowej widziałam uśmiechniętą twarz, błyszczące niebieskie oczy... Okaz zdrowia i wewnętrznej równowagi.

Co się z nim stało?

Czuję się jak astmatyczna staruszka, powoli raczkuję do przodu, niepewnie stawiam krok za krokiem.

Budzi mnie łoskot przejeżdżającego pociągu. Jest jeszcze bardzo wczesnie, słońce jeszcze smacznie śpi i ani myśli o wstawaniu, szaro jest na dworze, noc jeszcze nie do końca odeszła. Nie wiem, o której zasnęłam. Rozmawiałyśmy jeszcze trochę szeptem, bo kampus spał już od pewnego czasu i panowała niczym niezmacona cisza. Czułam się spokojna, Marina była ze mną. Leżałyśmy każda w swoim łóżku i do dzisiaj nie potrafię zrozumieć, jak mogło nam to wystarczyć.

Patrzę na śpiącą Marinę, jest skulona i zasłonięta kocem po czubek nosa. Domyślam się, raczej słyszę niż widzę, że oddycha równomiernie, spokojnie, półotwartą buzią. Jest w niej coś rozczulającego, niewinnego. Dużo dałabym, żeby móc tak ją oglądać codziennie. Nie zastanawiam się, czy to możliwe ani jaki opór napotkałabym ze strony znajomych i rodziny, ale chciałabym, żeby Marina wróciła ze mną do Polski. Uśmiecham się na tę myśl. Nie mam przecież jeszcze

własnego mieszkania ani oszczędności, mieszkam z rodzicami w małym miasteczku w Świętokrzyskiem. Ale byłaby sensacja... Córka państwa Kowalskich spod siódemki przyjechała z koleżanką i mieszkają razem. Ciekawe, czy obrzuciliby nasz dom jajkami, pomidorami, czy kamieniami. Tak, kamienie są najbardziej prawdopodobne. Jajek i pomidorów szkoda. Nasze społeczeństwo jednak jeszcze nie dorosło do tolerancji jakiegokolwiek odmienności, nie tylko seksualnej, ale i religijnej czy rasowej. W dużych miastach ludzie są anonimowi, nawet sąsiedzi nie zawsze się rozpoznają. Para gejów trzymająca się za ręce czy Afrykańczyk, który nieopatrznie zapuścił się w polskie strony, wtapiają się w tłum, należą do różnorodności miasta i nie budzą już niezdrowej sensacji. Za to małomiasteczkowa ciekawość podszyta nieufnością, a potem wrogością budzi we mnie sprzeciw i strach. Przecież to takie niesprawiedliwe. Dlaczego ktoś mnie ocenia, nie znając mnie w ogóle? Czy idąc ulicą za rękę z kobietą, robię komuś krzywdę?! Czy przez to, że w domu czeka na mnie kobieta - mojego - życia, a nie mężczyzna - mojego - życia robi ze mnie człowieka gorszego gatunku?! Kiedy nasza polska mentalność się zmieni?

Przestałam już mieć nadzieję, że kiedykolwiek to nastąpi.

Marina odwraca się do ściany, jej oddech staje się cięższy. Uspioną jeszcze ręką przeciera sobie oczy, leży jeszcze przez parę minut bez ruchu, ale wiem, że już nie śpi, w końcu, nadal z zamkniętymi oczami, mruczy „cześć”, brzmi to dosyć śmiesznie, uparła się nauczyć trochę polskich słówek, a „cześć” spodobało jej się najbardziej. Będzie musiała trochę poćwiczyć, bo w jej wydaniu brzmi to nieco szeleszcząco - sepleniąco. Marina mówiąca po polsku jest mi trochę obca, naszym językiem jest hiszpański i w nim rozmawia mi się z nią najlepiej. W angielskim mam trudności z wyrażeniem tego, co czuję, ale tylko ze względu na moje dosyć

ograniczone możliwości, po polsku o uczuciach nie potrafię rozmawiać w ogóle, mam blokady nie do przejścia... A po hiszpańsku potrafię się swobodnie porozumiewać, nie czuję żadnego skrepowania, tak jakby wypowiedane słowa nie należały do mnie, tak jakbym mówiąc po hiszpańsku, zamieniała się w inną osobę. Dziwne jest to uczucie, ale podoba mi się. Kiedy mam już dosyć swoich ograniczeń, nieśmiałości, rezerwy, zawsze mogę uciec do innej siebie.

Marina przeciąga się i siada na łóżku. Zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie widziałam „porannej” Mariny. Patrzy na mnie zaspanymi, lekko podpuchniętymi oczami, krótkie włosy sterczą jej na wszystkie strony. Podoba mi się jej artystyczny nieład na głowie. Niewiarygodne, jak ta kobieta jest mi bliska. Nie wiem, na czym to polega, widzę ją codziennie w moich myślach, widzę ją w snach i nie potrafię uwierzyć, że siedzi teraz naprzeciwko mnie, w moim pokoju. Jest. Po prostu jest.

Bez większych problemów uzgadniamy, że na zajęcia nie pójdziemy. Marzę o tym, żeby zjeść z Mariną śniadanie. Zwyczajna, codzienna, prozaiczna sprawa. Tak jak mycie zębów. A jednak może już niedługo nieosiągalna i dla niej, i dla mnie. Szybki podział obowiązków: Marina biegnie do piekarni po pieczywo, ja organizuję herbatę i coś do pieczywa. Mogłybyśmy iść na śniadanie wydawane w kampusie co rano dla wszystkich kursantów, ale chcemy raz mieć własne śniadanie, tylko dla nas dwóch. Marina wychyla się przez okno i rozgląda na wszystkie strony. Jest jeszcze pusto, chociaż słońce powoli wstaje. Normalne, że wszyscy jeszcze śpią, od kilku dni w kampusie trwają pożegnalne imprezy, wieczorki, rozmowy do późnej nocy. Zwierzenia, zapewnienia, że „na pewno się spotkamy”, „nie zapomnę”, „będę pisać”, „będę dzwonić”... Jakimi słowami my się pożegnamy?

Marina wychodzi przez okno i biegnie w kierunku miasta. Patrę przez chwilę na jej oddalającą się sylwetkę, na twarzy czuję rześki jeszcze wiatr. Zamykam oczy i wciągam powietrze pachnące nocnym morzem i piaskiem. Ssanie w żołądku przypomina mi, że powinnam się ruszyć, jeśli chcę zdążyć, zanim Marina wróci ze sklepu. Stołówka o tej porze jest jeszcze pusta, więc bez przeszkód mogę trochę pomyszkować. Masło. Ser. Pomidory. Zastygam z czerwoną kulą w ręce. Czy Marina lubi pomidory? Przecież nie mam pojęcia, czy lubi. Nie wiem, co lubi. Czy woli żółty ser, czy twarożek? Jajecznice czy jajko na miękko? Kawę czy herbatę? A może nie pije ani jednego, ani drugiego? Dla pewności biorę i kawę, i herbatę. Otwieram szafkę i szukam kakao. Nie ma w szafce nad zlewem ani na stole. Trudno. Wyciągam spod stołu spore kartonowe pudełko i pakuję to, co udało mi się znaleźć. Dużo tego, ale jest szansa, że Marina znajdzie coś dla siebie. Trzymając pudło przed sobą, toruję sobie drogę powrotną. Mam nadzieję, że nikt mnie teraz nie zauważy. Kierownictwo, mimo że nie żałuje nam pożywienia, niezbyt przychylnym okiem patrzy na wynoszenie jedzenia do pokoi. Ustalono zasadę, że posiłki będą spożywane w stołówce. Rozgrzeszam się jednak myślą, że dotąd tego przestrzegałam. Z ulgą otwieram drzwi pokoju. Marina już jest, ustawia na stoliku kubki i talerze, a na łóżku leży olbrzymia torba bułek, rogalików i chleba. Trochę zażenowana tłumaczy mi, że nie miała pojęcia, co lubię, więc kupiła wszystkiego po trochu. Wykłada przy tym bułki, jasny chleb, ciemny chleb, rogaliki z rodzynekami, drożdżówki z czekoladą i chleb tostowy. Spoglądam na pudło, które trzymam w rękach, Marina podąża za moim spojrzeniem, patrzymy na siebie i... wybuchamy śmiechem. Mogłybyśmy przyrządzić śniadanie dla całego pułku wojska. Nie zjemy nawet połowy z przyniesionych zapasów. Stolik jest za mały, przenosimy więc ucztę na

podłogę. Układamy wszystko na kocu i siadamy obok. Rogaliki są wyborne, kruche, delikatne, w smaku przypominają croissanty. Zjadamy wszystkie. Moje pierwsze śniadanie z Mariną.

Pewnie ostatnie.

Za dwa dni wyjeżdżam.

Marina wyjeżdża dzień po mnie.

Siedzę w kuchni, wspominając tamto letnie śniadanie z Mariną. Nie pamiętam, czy od tamtej pory kiedykolwiek zjadłam z kimś śniadanie. Podejrzewam, że nie. Nie jadam regularnie. Jakiś batonik w biegu czy kanapka w szkole załatwiają sprawę do południa, a potem moim jedynym zadaniem jest sprawdzenie, czy w kuchennej szafce jest zapas chińskich zupek. W duchu błogosławię tego, kto miał pomysł, aby to coś wyprodukować i wypuścić na rynek. Nieprzeciętne święństwo, zero wartości odżywczych i jeszcze mniej smakowych, ale są moimi nieodłącznymi towarzyszami. Nie wymagają wysiłku przy przyrządzaniu i oszukuję się, że zawsze coś gorącego w żołądku jest. Obiecuję sobie co kilka dni, że skończę z tym i zacznę się odżywiać normalnie, ale już sama sobie nie wierzę.

Nie widzę powodu, żeby celebrować posiłki, kiedy jestem sama w domu, siedzę na kanapie i gapię się w telewizor. I tak nie wiem, co jem, wszystkie potrawy mają ten sam papierowy smak. Wczoraj zaszalałam i kupiłam sobie zdrowe płatki śniadaniowe z dodatkiem ziaren. Taki mały ochłap rzucony na rozszarpanie wyrzutom sumienia. Dobre, zdrowe, ale smakują jak trociny. Może powinnam zadbać o estetykę posiłku. Jedzone z miseczki z dodatkiem mleka może smakowałyby lepiej niż prosto z paczki? Nie jestem jednak tego pewna. Wrzucam płatki do szafki, zgarniam okruchy do kosza i zastanawiam się, co dalej. Zajęcia zaczynam dopiero po południu, przede mną parę godzin szamotania się po pustym mieszkaniu. Pewnie znowu zacznę sprzątać (i nie dokończę), wrzucę brudne ubrania do pralki (której nie włączę), będę oglądać jakiś program w telewizji (w ogóle nie będę wiedziała, co oglądam)...

Może po prostu coś napiszę.

Ile razy zadaję sobie to pytanie, dlaczego piszę?

Pomaga mi to przeżyć na co dzień. Jest to jedna z niewielu rzeczy, które jeszcze mnie cieszą. Czuję, jak długopis chrzęści po papierze. Lepiej byłoby pewnie pisać piórem, ale nie potrafię. Gdy tylko nauczyciele w szkole podstawowej przestali wymagać używania pióra do prowadzenia zeszytów, bez smutku się z nim pożegnałam. Litery wychodziły mi koślawe, kartki były pstrokate od kleksów, podobnie ręce. Pióro nie jest narzędziem dla nieudolnych marzycieli, trzeba umieć się z nim obchodzić. Piszę długopisem, bo lubię. Widzę, jak myśli, które do niedawna były tylko abstrakcją w mojej głowie, zamieniają się w znaki na papierze. Z każdym napisanym słowem odnajduję siebie na nowo, poznaję siebie litera po literze, chociaż przeczuwam, że tak do końca to nigdy nie uda mi się siebie poznać. Jednak to jest mój świat i czuję się tu bezpiecznie. Normalnie... Cokolwiek to znaczy.

Wolę siebie z zapisanych kartek. A przecież ja siedząca przed kartką papieru i ja w słowach, które napisałam, to jedna i ta sama osoba. Przynajmniej tak powinno być.

A może jednak nie. Czuję moją dwoistość, męczy mnie ona. Już nie wiem, kim tak naprawdę jestem.

Nie potrafię sobie znaleźć miejsca. Krzątam się po kuchni, ale sprzątanie szybko mnie nudzi, zbieram jedynie porozrzucane części garderoby i wkładam do pralki. Wypiorę wieczorem albo jutro. Robię sobie aromatyczną herbatę i z kubkiem parującego płynu zasiadam przed telewizorem. Kolejny wieczór do odpajkowania. Przeżyłam kolejny dzień, który za kilka, kilkanaście godzin będzie niewyraźnym, mglistym wspomnieniem. Czy na tym polega życie?

Patrzę na okruchy po rogalikach, na nietknięte słodkie bułeczki z czekoladą, chleb, pomidory. Trzeba to będzie wszystko posprzątać, chociaż to ostatnia czynność, na którą w tej chwili mam ochotę. Siedzę z podwiniętymi nogami na łóżku i patrzę tępo na resztki naszego śniadania. Dałabym

wszystko, żeby cofnąć czas o kilka godzin. Cofnąć i zatrzymać. Chciałabym bez końca patrzeć na Marinę smarującą rogalik masłem, na Marinę pijącą herbatę, na Marinę uśmiechającą się, poważną, wesołą, zamyśloną. Nie jestem jednak czarodziejką. Czasu nie potrafię ani cofnąć, ani zatrzymać. Przeciwnie, mam wrażenie, że od paru dni gna do przodu szybciej i szybciej. Godziny spędzone z Mariną mijają w mgnieniu oka. Za szybko to wszystko się toczy, jestem otumaniona sobą, Mariną, tym, co się między nami dzieje. Godziny, minuty, zatrzymajcie się na chwilę! Zabieracie ze sobą ułamki chwil, słów wypowiedzianych i zatrzymanych, zabieracie najwspanialsze chwile mojego życia. Nie mogę na to pozwolić, nie chcę! Ukrywam twarz w dłoniach, zamykam oczy, usiłuję przywołać obraz Mariny w moim pokoju, na moim łóżku. Obrazy pod powiekami przesuwają się w zatrważającym tempie, nie potrafię już rozróżnić rzeczywistości od moich marzeń. Obca osoba we mnie wstaje, podchodzi do Mariny i kładzie ręce na jej piersiach. Czuję, jak przez ciało dziewczyny przebiega delikatny, ledwo zauważalny dreszcz. Jej piersi momentalnie twardnieją, czuję przez palce sutki jak małe, okrągłe guziczki. Całuję ją lekko w kark. Marina drży leciutko, nie wykonuje jednak żadnego ruchu. Pieszczę nadal jedną ręką jej piersi, drugą ręką przesuwam po brzuchu. Wkładam palce za gumkę jej majteczek, przesuwam je nieco w bok, by mieć więcej swobody, i zatapiam się w jej gorącym wnętrzu. Marina jest wilgotna, aksamitna, pieszczę ją delikatnie i czuję, że wygina się w łuk, jednak obraca się do mnie i bierze moją twarz w obie ręce. Tak jak myślałam, jej dłonie są ciepłe, suche, zdecydowane. Zamykam oczy i czuję jej usta na moich wargach, z początku delikatne, później coraz bardziej gwałtowne, jej język wdziera się do moich ust, szuka mojego i rozpoczyna szaleńczy taniec. Jej ręce zdzierają ze mnie

bluzkę, spódnicę, uwalniają włosy. Ocieramy się o siebie i właściwie obydwie już jesteśmy gotowe. Odrywam wargi od jej ust i klękam przed nią. Całuję ją po brzuchu, po pępku, schodzę w dół, króciutkie, szorstkie włoski kłują mi policzki. Wsuwam w nią język i rytmicznie nim poruszam, czuję, jak Marina pęcznieje, jest napięta do granic możliwości. Rękami pieszczę jej pośladki. Dziewczyna zaciska ręce na moich ramionach i wykrzykuje moje imię. Poruszam się coraz gwałtowniej, chcę ją jeszcze słyszeć, chcę słyszeć moje imię w jej ustach. Przykładam policzek do jej brzucha i czuję, jak jej wewnątrz ogarniają rytmiczne, gwałtowne skurcze. Marina osuwa się na kolana i obejmuje mnie. Nie wiem, jak długo tak leżymy. Sekundy, minuty, godziny. Nie wiem, jak długo ja leżę. Czuję się jeszcze bardziej samotna. Intensywność mojego marzenia powoduje, że rzeczywistość wyłania się zimna i nieprzyjazna. Chciałabym wrócić do stanu błogiej półświadomości, zatopić się myślach, na chwilę chociaż, na parę sekund. Znaleźć się jeszcze raz sam na sam z Mariną.

17 V

Ile razy zadaję sobie to pytanie, dlaczego piszę?

Pozwala mi to przeżyć siebie na co dzień. Jest to jedna z niewielu rzeczy, które jeszcze mnie mobilizują. Siadam i... nic nie istnieje. Wyłączam się wtedy, przenoszę gdzieś za siebie. W głąb siebie. Obok siebie, ale i blisko siebie. Dziwne. Wtedy udaje mi się o niej zapomnieć, nawet jeśli o niej piszę.

Kiedy przerywam, czuję, że znikam. Jestem tylko na kartkach papieru. Bez nich nie istnieję.

Czy to możliwe, że bez pisania mnie nie ma?

Ja taka, którą znam tylko ja sama, nikt inny - nie istnieje. Jestem ukryta w zapisanych słowach.

Która ja jest prawdziwa?

Pisząc, odczuwam dziwne napięcie, niepokój... Nie powinno chyba tak być. Chcę zdążyć, nie chcę o niczym zapomnieć. A jednak nie potrafię wszystkiego opowiedzieć.

Chciałabym poznać się przez to moje pisanie. Rozpoznać od nowa. To się chyba nigdy nie uda. Nie można odkryć się do końca. Im więcej wiem, tym więcej nie wiem.

Jest to możliwe?

Po co mi to wszystko?

Szarpanie się z ludźmi, ze światem i z samą sobą.

Nie potrafię rozmawiać z ludźmi, nie potrafię opowiedzieć im o moim świecie. Towarzystwo koleżanek, które mówią tylko o własnych przeżyciach miłosnych, prawdziwych lub wyimaginowanych, o ciuchach, o dzieciach, kupkach, kolkach, mnie nudzi. Nie potrafię i nie chcę mówić o niczym. A przecież często tak robię, byle nie mówić o tym, co naprawdę jest ważne. Męczę się tym.

Jestem tak daleko od codziennych spraw.

Jestem daleko od codzienności. Nie chcę jej.

Tylko z nią mogłabym być i żyć. Ona mnie oswoiła.

Jestem sobą tylko na kartkach.

Chowam się tam, bo jest bezpieczniej. Coraz trudniej mi się odnaleźć w morzu codziennych spraw. Wynurzam się i za chwilę sama topię we własnych myślach i wątpliwościach.

Marina puka w moje okno, dzisiaj jest nasz ostatni dzień pobytu. Nie chcemy go spędzić w kampusie, nie chcemy dzielić się sobą z nikim, nawet gdyby to miała być tylko przelotna rozmowa czy spotkanie przy kawie. Dzisiaj chcę mieć Marinę tylko dla siebie. Wiem, że ona czuje podobnie. Ta myśl dodaje mi skrzydeł i jest niesamowicie podniecająca: ktoś chce ze mną i tylko ze mną spędzić czas. Czuję się wyjątkowa. Nie zastanawiam się, jak długo to uczucie będzie trwało, cieszę się tym, że jest.

Nie zostaniemy w mieście. Barcelona jest piękna, ale potrzebujemy szerszej perspektywy, nieskrępowanego oddechu, niczym nieograniczonego horyzontu. Tego Barcelona nie może nam zaoferować. Pojedziemy za miasto. Kilka dni temu Marina opracowała plan wycieczki: wsiądziemy do podmiejskiego autobusu i po prostu pojedziemy przed siebie. Wsiądziemy na ostatnim przystanku i pospacerujemy. Cieszę się perspektywą spędzenia całego dnia z Mariną. Jest mi wszystko jedno, gdzie się znajdziemy. Chciałabym wyglądać jak najładniej, ale na upiększenie już nie ma czasu: z lustra spogląda na mnie miła, opalona twarz o niebieskich oczach. Sympatyczna, nie zaprzeczę, ale taka jakaś... zwykła, banalna. Pocieszam się, że Marina widzi mnie innymi oczami i sama się dziwi tej myśli. Nie wiem, skąd u mnie taka pewność siebie. Zawsze byłam pełna kompleksów i tak przekonana o własnej nieatrakcyjności, że nie myślałam nawet, że ktoś mógłby na mnie zwrócić uwagę. Nikt, tym bardziej ktoś tak niesamowity jak ta dziewczyna, która właśnie na mnie czeka po drugiej stronie okna i niecierpliwie bębni palcami po parapecie. Dobrze, dobrze, już idę. Zabieram ze sobą tylko mały plecak,

trochę gotówki na wszelki wypadek, zamykam drzwi od środka, klucz zostawiam w zamku. Może nikomu nie przyjdzie na myśl, żeby mnie odwiedzić, ale nigdy nic nie wiadomo. Po kolacji kierownictwo kursu zaproponowało pożegnalny wieczorek, brrrr, coś okropnego, może będą nas szukać, mnie i Mariny. Tym razem już na pewno domyślą się, że zniknęłyśmy gdzieś razem. Wcześniej korciło mnie, żeby powiedzieć o tym Karen, ale po namyśle zrezygnowałam. Co miałabym jej powiedzieć? Sama nie wiem, co mam myśleć o mnie i o Marinie, o tym, co się dzieje. Niech to na razie pozostanie niewypowiedziane, niezdefiniowane. Tak jest bezpieczniej, wszystko jest nierealne... Tylko czy przez to mniej prawdziwe?

Podaję Marinie plecak i siadam okrakiem na parapecie. Kampus jest pogrążony w ciszy, ale wiem, że za pół godziny, najdalej godzinę zacznie się codzienna krzątanina. Wolałabym tego uniknąć. Zeskakuję na ziemię, poprawiam firankę i biegnę za Mariną. Dzisiaj rano wydaje się bardzo niecierpliwa, odeszła już kilkanaście kroków. Miasto też jest uśpione, ale jeszcze trochę i turyści wylegną rozkrzyczaną masą na ulice, upodabniając Barcelonę do kolorowego ptaka. Ci z mieszkańców, którzy mogą, pewnie też smacznie śpią, podczas gdy powoli rozkładają swoje kramiki uliczni sprzedawcy, brzęczą klucze, skrzypią otwierane drzwi sklepów. Za kilka chwil miasto stanie się tętniącym życiem stworem, pochłaniającym kolejne fale spieszących się gdzieś ludzi. Idziemy pustą Ramblą w kierunku Placa Catalunya. Mijamy siedzącego na ławce mężczyznę, który trzymając przy twarzy lustro, pracowicie się pudruje. Na razie połowę jego twarzy pokrywa biały proszek, druga zaś, ogorzała od słońca i morskiego wiatru, odcina się od nienaturalnej bieli. Za kilka chwil dokończy charakteryzację, owinie się w białe prześcieradło, którego rąbek wystaje z torby, stanie na jakimś

pudle, krześle czy innym podwyższeniu i zastygnie w bezruchu. Jedyne brzęczący dźwięk monety wyzwoli go z pozornego marazmu, ku uciechu licznie zgromadzonej dzieciarni i rodziców pracowicie starających się uchwycić potomstwo na pamiątkowym zdjęciu: oto Marcinek podający rękę, Lucie składająca ostrożny całus na policzku klauna, Christoph wrzucający parę centów do sfatygowanej czapki leżącej u jego stóp. Później zdjęcia trafią do albumów, zostaną powieszane na ścianach dziecięcych pokoi i będą roztaczać delikatny zapach Barcelony, aż wspomnienia wyblakną zupełnie i nikt już nie będzie pamiętał, kiedy i z jakiej okazji zdjęcie zostało zrobione. Jestem pełna podziwu dla ulicznych artystów, naprawdę potrafią tkwić w bezruchu długie godziny, w południowym skwarze, bez najmniejszego drgnienia powieki. Nie wyobrażam sobie Rambli bez nich, straciłaby swoją atmosferę, a przecież przechodząc obok nich, rzadko zaszczycam ich uwagą, są dla mnie nieodłącznym elementem miasta. Czy to znaczy, że nie jestem już turystką? Chyba tak. Jestem dumna z tego, że nie zaliczam się do chmary biegających, obwieszonych aparatami, wpatrzonych w plan miasta, zaczytanych w przewodnikach turystów, a z drugiej strony... zazdroszczę im świeżości spojrzenia, pierwszego zachwytu. Spoglądam na Barcelonę zupełnie innymi oczami, a od kiedy poznałam Marinę, moje postrzeganie miasta uległo zmianie. Nie wiem, na czym dokładnie to będzie polegać, ale jestem tego pewna.

Na Placa Catalunya wsiadamy w pierwszy autobus, który ma za zadanie wywieźć nas na przedmieścia. Mam nadzieję, że szofer zrozumiał, o co nam chodzi. Pasażerów jest niewiele, siadamy na pierwszych wolnych miejscach i zaciągamy zasłonki: słońce już zaczyna się dawać we znaki. Autobus jedzie szybko przez puste ulice, sklepy, ludzie, wszystko zostaje w tyle. Kierowca gwizdże jakąś skoczną

melodię, uśmiecha się do nas w lusterku. Tego zazdroszczę Hiszpanom: są tak pozytywnie nastawieni do życia! Spoglądam na Marinę, mogłabym tak na nią patrzeć godzinami. W końcu przechwytyje moje spojrzenie i kładzie swoją dłoń na mojej. Przeszywa mnie dreszcz, czuję, jak moja ręka robi się wilgotna, to pewnie ze zdenerwowania... Jej palce gładzą wnętrze mojej dłoni, nie wiem, co znaczy ta pieśczoła, nie jestem w stanie sobie wyobrazić, czy jest zapowiedzią czegoś więcej, i czego, jeśli jest. Czy to możliwe, że zwykły dotyk ręki pozwala człowiekowi nie pragnąć niczego więcej? Mogłabym jechać tym zakurzonym autobusem na koniec świata, albo i jeszcze dalej, pod warunkiem, że moja dłoń będzie bezpiecznie zamknięta w jej dłoni. Tyle i tylko tyle.

Czy to za dużo?

Czy za dużo chciałabym od życia?

Komu stałaby się krzywda, gdybym była szczęśliwa z Mariną? Kto jest tak zazdrosny o moje dobre myśli, samopoczucie, o chwilę szczęścia? Łapię się na tym, że robię się zgryźliwa, niedługo robi się ze mnie zasuszona stara jędza. Smutek powoli zamienia się w złość, a życie w niechęć do siebie, innych, wszystkich i wszystkiego.

Nie lubię wieczorów. Chciałabym je wszystkie wymazać. Wtedy najbardziej tęsknię.

Czuję, jak przemijają sekundy. Przepływają mi przez palce, przeciskam się przez nie, ale nie wiem, w jakim kierunku mam iść. Miotam się we wszystkie strony, tracę czas i energię na mało ważne gesty, słowa niewypowiedziane, albo wykrzywane zupełnie niepotrzebnie.

Za często zwracam się ku przeszłości, albo ku przyszłości. Wspomnienia tego, co było, marzenia o tym, co będzie wymazują mi teraźniejszość.

Przeszłość i przyszłość mieszają się ze sobą. Przyszłość i przeszłość. Plany i wspomnienia. Dwie przeciwstawne rzeczy, które tworzą całość: moją sztuczną rzeczywistość.

Mój własny świat, który jest złudzeniem.

Dlaczego moje serce tak bije?

To tęsknota.

Zostaw mnie już w końcu!

Nie potrafię uwierzyć, że to powiedziałam. Jeszcze nie tak dawno temu te słowa byłyby dla mnie czystą abstrakcją skąpaną w niedowierzaniu. Przysięgłabym, że to było wczoraj, kiedy trzymając w dłoni małą, ciepłą dłoń Mariny, bezgłośnie szeptałam: „nie zostawiaj mnie nigdy, przenigdy, cokolwiek by się działo”.

Kierowca daje nam znak, że to nasz przystanek. Niechętnie odrywam się od Mariny. Przepuszczamy trzy rozgadane i roześmiane nastolatki z torbami pełnymi chipsów i coli. Ostatnia taszczy zielony koc w kratkę. Widać szykuje się piknik na plaży. Będą się smażyć w słońcu, zjedzą chipsy do ostatniego okruszka, popiją litrami coli i nadal pozostaną chude jak szczapy. niesprawiedliwość losu. Mnie niestety poskąpił idealnej przemiany materii, muszę uważać na to, co jem. Najmniejszy nawet batonik czy kęs pizzy odkłada się momentalnie na moich biodrach. Permanentnie się odchudzam, a właściwie tylko o tym myślę, bo apetytu natura mi nie poskąpiła. Ostatnio jem mniej, bo myśli wypełnione Mariną nie potrzebują żadnego innego pożywienia. Zawsze zazdroszczę szczupłym kobietom, które mogą się opychać bez opamiętania wszystkim, czego tylko zapragną, ale dzisiaj patrzę na roześmiane dziewczęta z uśmiechem pobłażania. Dzisiaj mnie to w ogóle nie obchodzi. Niech jedzą na zdrowie. A ja zamierzam spędzić niezapomniany dzień z wyjątkową kobietą.

Bierzemy nasze rzeczy, wysiadamy z autobusu. Kierowca uśmiecha się do nas, podnosi rękę w geście pożegnania i odjeżdża. Za chwilę, jak i niebieski autobus, jest już tylko wspomnieniem. Rozglądamy się po pustym placu: nazwa przystanku nam nic nie mówi, strasznie dużo tam „r” i „j” ale nigdy o takim miejscu nie słyszałam. Na ławce w cieniu ogromnych platanów siedzą dwie staruszki i rozmawiają z ożywieniem, popierając każde słowo odpowiednią gestykulacją. Ich ochryple, zdarte głosy wyraźnie wwiercają się w ciszę tego spokojnego przedpołudnia. Wyglądają, jakby się kłóciły, ale wiem, że to tylko pozory: Hiszpanie chyba nie potrafią mówić bez pomocy rąk. Gestykują przy każdej okazji, zawsze z podobną werwą. Kobiety na moment przerywają, spoglądają na nas, ale widocznie nie znajdują nic ciekawego w naszych sylwetkach, bo za chwilę podejmują dyskusję z jeszcze większą energią. Szukamy jakiejś tablicy, planu miejscowości, który pomógłby nam się zorientować, gdzie jesteśmy, ale niestety, w promieniu kilkudziesięciu metrów niczego takiego. Nie szkodzi. Pójdziemy po prostu przed siebie. Nigdzie nam się nie spieszy. Przechodzimy przez małe ryneczek, nigdzie żywego ducha, nie mam pojęcia dlaczego, sjeśta przecież jeszcze się nie zaczęła, ulice wyludniają się dopiero w porze obiadu, który jest nie tylko posiłkiem, ale i spotkaniem w gronie rodziny i przyjaciół. Podoba mi się tutaj: małe kamienne domki, w oknach obowiązkowo okiennice, teraz w większości zamknięte. Ponieważ upał daje się już powoli we znaki, kto pamiętał o przymknięciu okiennic, na pewno będzie miał w domu przyjemny chłodek. Mijamy małą, przytulną kawiarenkę. Marina ciągnie mnie za rękaw, mówi, że chciałaby zajrzeć do środka. Wchodzimy: małe drewniane stoliki, nieliczne krzesła, przy barze wyglądający na zadomowionego klient, pije espresso, w niedbałej pozie, zatopiony w lekturze lokalnej

gazety. Poza nim nikogo. Miło tu i przytulnie, dosyć mroczno, mimo że przez okna sączą się promienie słońca. W strudze jasności wirują drobne cząsteczki kurzu. W powietrzu unosi się ledwo wyczuwalny zapach drewna. Marina staje, zamyka oczy i z lubością wciąga powietrze, w tym momencie wygląda jak zadowolony kotek. Powstrzymuję się, żeby jej nie pogłaskać po krótkich, nastroszonych włosach, chciałabym poczuć ich szorstkość, pozwolić, by przesypały się między palcami. Jestem zdziwiona tą tęsknotą za dotykiem, nie znam siebie takiej, czuję się bezradna i obozwładniona uczuciem, którego nie rozumiem. Pragnę jej obecności, jej dotyku, zainteresowania, znaku, że mnie widzi, zauważa, że istnieję dla niej nie tylko jako koleżanka, ale... No właśnie. Tutaj nawet moja nieco wybujała wyobraźnia mnie zawodzi. Niepokój zaczyna krążyć nad moją głową jak kruk. Nie, nie dam się temu czarnemu, posępnemu ptaszysku, uciekaj, chcę mieć nad głową niebo czyste i błękitne, bez żadnej chmurki. Marina podeszła już do kontuaru i słyszę, że wdała się w konwersację ze starszym mężczyzną, który pełni funkcję kelnera, barmana, a może i kucharza, o ile w tej knajpce można coś zjeść. Zazdroszczę jej nie tyle kompetencji językowych, mówię po hiszpańsku równie dobrze jak ona, ale łatwości w nawiązywaniu kontaktów. W tym Marina bije mnie na głowę. Dobrałyśmy się chyba na zasadzie kontrastu: ona — wygadana, rozluźniona, zamieniająca z każdym jakieś słowo, uśmiech, i ja — trzymająca się na dystans, małomówna, nieszukająca kontaktu wzrokowego. Może przez to jestem odbierana jako wyniosła, dumna, zadzierająca nosa.

Czy taka jestem?

Marina wraca z dwiema szklaneczkami wody mineralnej i sadowi się przy najbliższym stoliku. Siadam na wprost i zapada niezręczna cisza. Upijam łyk niezbyt zimnej wody, żeby zebrać myśli i zyskać na czasie. Powinnyśmy

porozmawiać o nas, ale nie wiem, od czego zacząć. Chyba od pytania, czy „my” w ogóle istniejemy. Nie potrafię się przełamać, boję się samego pytania i odpowiedzi na nie: tak dużo od niej zależy. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym Marinę stracić z oczu, a jednak... Cisza gęstnieje i kładzie się cieniem na jasnym, pogodnym dniu. Marina wierci się na krześle, poprawia serwetkę na stoliku, w końcu odstawia szklankę i, nie patrząc na mnie, mówi, że to ostatni dzień, który możemy spędzić razem. W miarę jak mówi, czuję ucisk w żołądku. Nieprzyjemna, śliska gula zadomowiła się w moim gardle. Każde jej słowo uprzytamnia mi to, co już doskonale wiem, ale słowa wypowiedziane nabierają realnych kształtów. Tego wiedzieć nie chcę. Myśli spychane dzień po dniu w podświadomość dopiero teraz zostają uwolnione.

Jak będzie wyglądało nasze życie?

Czy znajomość przetrwa rozłąkę?

Telefony, esemesy, listy... To nie wystarczy. Jestem tego pewna. Potrzebuję namacalnej obecności Mariny, nie namiastki, nie jej słów zaklętych w nieruchome litery, zniekształconych w słuchawce telefonu. Nie wiem nawet, czy będziemy mogły się odwiedzać, nie mam pojęcia, czy kursują autobusy do Armenii. To nie Berlin, Paryż czy Praga, gdzie sieć komunikacyjna jest dobrze rozwinięta... Zdaję sobie sprawę, że Marina nadal coś mówi, o coś pyta. Muszę wrócić z niebezpiecznego terenu posępnych myśli. One w niczym mi nie pomogą. Marina chce wiedzieć, o której godzinie wyjeżdżam jutro z Barcelony, tego nie pamiętam, chyba około drugiej. Ona dopiero wieczorem, już wiemy więc, kto kogo będzie odprowadzał.

Kelner podchodzi do nas i częstuje maleńkimi migdałowymi ciasteczkami, na koszt firmy, jak dodaje. Są pyszne, pachnące, zarumienione, nasączone syropem pomarańczowym. Marina unosi jedno do ust, odgryza

kawałek i jej twarz rozpromienia się w uśmiechu. Tego też jej zazdroszczę: zdolności do błyskawicznej zmiany nastroju. Wyraz jej twarzy czy oczu potrafi się zmienić w ciągu sekundy, zasnuć cieniem smutku lub rozjaśnić zadowoleniem. Ja tak nie umiem, szorstka gula niepokoju nadal mnie uciska. Marina kończy ciastko, zlizuje okruszki z warg i zdecydowanie wstaje, mówiąc, że idziemy. Szkoda dnia na zmartwienia, musimy przecież zapamiętać go na długo. Skinieniem głowy dziękuje kelnerowi za poczęstunek, ten odprowadza ją zachwyconym spojrzeniem. Wcale mu się nie dziwię: Marina roztacza wokół siebie nieodparty urok, jest piękna w jakiś łobuzerski sposób, porusza się z gracją, cicho i zręcznie jak pantera. Nie potrafiłabym wyobrazić jej sobie w szpilkach i makijażu. Uroku dodaje jej też niezachwiana pewność siebie wyrażona w wyprostowanej, dumnej postawie, prawie niezauważalnym błysku zielonych oczu. Ścigamy ją obydwój, kelner i ja, spojrzeniem pełnym uwielbienia. Jestem pewna, że gdyby zaczytany w swojej gazecie klient na moment oderwał się od lektury, nieprędko wróciłby do niej.

Wychodzimy na zalaną słońcem ulicę, powietrze uderza w nas gorącą falą. Już jest upał, a do południa jeszcze daleko. Kupujemy w pobliskim sklepiku parę butelek wody mineralnej i kierujemy się w stronę morza. Miasteczko jest niewielkie, ale urocze. W wąskich uliczkach unosi się spokój. Nie spotykamy ani jednego turysty: wszyscy zapewne, co do jednego, zostali w Barcelonie. Po kilku minutach marszu zostawiamy za sobą ostatnie domy i wychodzimy na płaski, pusty teren. Ani to łąka, ani pole. Po prostu sucha, spieczona, kamienista ziemia. Niezbyt przyjazne otoczenie, z oddali jednak widzimy już błyszczącą, spokojną taflę morza. Słońce grzeje niemiłosiernie, skóra na twarzy Mariny pokrywa się drobniutkimi kropelkami potu, policzki ma zaczerwienione, nie wiem, czy od upału, czy już zdążyło ją opalić

śródziemnomorskie słońce. Ma bardzo jasną skórę, zbyt długie przebywanie na słońcu jej nie służy. Raczej nie opali się na brąz. Śmieje się, że będzie przypominała dojrzały pomidor. Moim zdaniem już niewiele do tego brakuje, ale dla mnie i tak jest piękna. Nawet w odcieniu nieco bardziej zaróżowionym niż normalnie. Próbuje nieco zaradzić nadmiernej opaleniznie, mam w plecaku krem z filtrem, ale Marina chyba potrzebuje totalnego blokera. Trudno, będzie się musiała zadowolić moim. Nie pomyślałyśmy o tym przed przyjazdem tutaj. Marina wyciska trochę kremu na dłoń, podnosi do nosa i marszczy czoło z niezadowoleniem: nie odpowiada jej mdły, kokosowy zapach kosmetyku. Niestety, nie mamy nic innego, więc albo się posmaruje, albo wieczorem będzie jej schodzić skóra z nosa. Marina nanosi kilka małych punkcików na twarz i ostrożnie, opuszkami palców rozsmarowuje na skórze, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie. Prędzej kaktus mi na ręce wyrośnie, niż jej to pomoże, ale to już nie moja sprawa. Kończymy nieplanowaną przerwę w spacerze, zbieramy nasze rzeczy i ostrożnie stawiając stopy na kamienistej ścieżce, posuwamy się powoli do przodu. Morze przyzywa nas delikatną, świeżą bryzą, prawie niewyczuwalną w gorącym powietrzu. Jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków, kilkanaście, kilka... Twarda, nieprzyjazna ziemia niepostrzeżenie zamienia się pod naszymi stopami w miękki, gorący piasek. Z ulgą zsuwam sandały i oddaję moje stopy w pieszczotę plaży. Marina nieufnym wzrokiem bada podłoże, ale na zdjęcie butów się nie decyduje. Szkoda, jeszcze nie widziałam jej nagich stóp z bliska, pewnie są subtelne i smukłe, tak jak dłonie. Jakie jednak są naprawdę, pozostanie to w sferze moich domysłów.

Plaża jest pusta, szeroka. Fale delikatnie liżą jej brzeg, wyrzucając drobne kamyki, patyczki, muszelki. Czuję się trochę dziwnie: nieczęsto zdarza mi się być sam na sam z

Mariną w miejscu zupełnie odludnym. Marina wyciąga kocyk, rozkłada go na piasku i szerokim gestem zaprasza do zajęcia miejsca. Siedzimy tak przez chwilę w milczeniu. Czuję, jak czarne kruki złych myśli znowu zaczynają krążyć nad moją głową. Powinnam cieszyć się, że jestem z Mariną, ale widmo naszego jutrzejszego rozstania nie daje mi spokoju. Marina widocznie zdecydowała się przyjąć postawę wesoło - obojętną. Mam jej to za złe, sprawia wrażenie, jakby nic jej nie obchodziło, podczas gdy mną targają fale niepewności, żalu, strachu, co będzie potem. Spoglądam na nieruchomą figurkę dziewczyny, leży sobie spokojnie z leciutkim uśmiechem na ustach, nie wiem, czy patrzy na mnie, czy na horyzont, półprzymknięte, ciężkie powieki ukrwiają przede mną jej oczy. Nie chcę, żeby zauważyła, że na nią patrzę, nie potrafię jednak się powstrzymać i moje spojrzenie wędruje w jej kierunku raz za razem.

Jestem na siebie zła, jestem zła na Marinę, jakoś inaczej wyobrażałam sobie ten dzień. A tymczasem nie odzywamy się do siebie, minuty płyną, przesypują się jak piasek przez palce i coraz bardziej przybliżają czas bez Mariny, jej nieobecność, moją tęsknotę. Patrzę na nią, jakbym chciała zachować ten obraz na zawsze pod powiekami. Wiem, że to nie ma sensu: wspomnienia płowieją, rozplývają się w czasie, mimo że bardzo tego nie chcemy. Czy twarz Mariny, teraz tak realna i wyraźna, za parę dni, tygodni stanie się nieostrą, rozmytą plamą?

Wypowiadam cicho jej imię. Nie reaguje. Powtarzam je głośniejsz - nadal żadnej reakcji. Marina... po prostu zasnęła. Nie mogę w to uwierzyć. Delikatnie kładę się obok niej. Myśli krążą jak oszalałe. Potrzebuję trochę dystansu do siebie, do niej, do całej tej sytuacji. Nie wiem, czego chcę od Mariny, znam ją przecież od niedawna. Od kilku tygodni, dni, minut. Czy to ważne? Chyba nie. Nie czasoprzestrzeń jest ważna.

Ważne jest to, że bez przerwy o niej myślę, że jej sylwetka pobudza moje motyle w brzuchu... Trzepoczą się jak oszalałe. Ich ruch odczuwam w dole brzucha, podniecenie jest delikatne, ale wyraźne, namacalne. Towarzyszy mi na każdym kroku. Wstydzę się tego, trochę boję. Świadomość, że Marina przy mnie jest, że nic ani nikt w tym momencie nie istnieje dla mnie, jest niewiarygodnie podniecająca. Nie mam ochoty ani na sen, ani na nic innego, po prostu chcę być tu i teraz. I nic więcej.

Nieprawda.

Pragnę jej dotyku bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Słyszę jej cichy oddech. Myślę, jak wspaniale byłoby poczuć go na szyi, na samą myśl robi mi się gorąco. Zbliżam swoje palce do jej dłoni, jest ciepła, bezwładna. Powoli się uspokajam. Zamykam oczy. Czuję, jak jej palce delikatnie gładzą moją skórę. Moje ciało przeszywają dreszcze. Niewarygodne, taki niewinny w swojej prostocie dotyk drażni każdy mój zmysł, pobudza tak mocno jak jeszcze żaden inny dotyk nie był w stanie mnie pobudzić.

Nie wiem, co się ze mną dzieje...

18 V

Dlaczego ciągle zaczynam pisać od nowa? Nie potrafię przestać. Nachodzi mnie jakaś dziwna ochota na podsumowania, wnioski i postanowienia.

Przecież to środek lata, nie Nowy Rok.

Kim ja w ogóle jestem? Co mam? Od razu przypomina mi się Dziennik Bridget Jones. Miała chyba jednak więcej dystansu do siebie i przeżywanych sytuacji. I było to przynajmniej trochę śmieszne. Ja jakoś nie mam ochoty pisać o kaloriach czy wypalonych papierosach.

Kalorii zresztą było za dużo. I wszystkie puste: chipsy plus cola.

Pięknie.

Papierosów w ogóle nie było.

Dziennik kupiłam Marinie na płytach CD, żeby mogła sobie słuchać po polsku. Rozumiała już dużo, czasem pytała o jakieś słowo, sens zdania. Słuchałyśmy go razem w ostatni wieczór przed jej wyjazdem z Polski.

Dlaczego znowu o niej piszę?!

Przecież w ogóle nie zamierzałam.

Zamiast tego podsumujmy stan posiadania Anny Kowalskiej:

1. Mam mieszkanie, którego nie chcę.
2. Mam dwa marne kwiatki doniczkowe.
3. Mam rodziców, których kocham, ale nie potrafię się z nimi porozumieć. Są tak daleko...
4. Mam 29 lat i zero planów na przyszłość.
5. Jedyne, co mam pewnego, to strach.
6. Mam głowę pełną wspomnień.
7. Mam kilka zdjęć, których też nie chcę, a jeszcze nie potrafię wyrzucić.
8. Mam akcje i trochę funduszy inwestycyjnych, których wartość spada z tygodnia na tydzień.

9. Mam samotność i dzisiejszą bezsenność.

10. Mam kilka kilo nadwagi - tutaj zgadzam się z BJ, coraz więcej zmarszczek wokół oczu i tonę niemodnych ubrań w szafie.

11. Mam głupią nadzieję, że może jeszcze warto pożyć, że może jeszcze coś się zdarzy.

Boże, jakie głupoty przychodzą mi dzisiaj do głowy. Pisanie bez ładu i składu. Mam dosyć. Chcę już zasnąć, a nie potrafię. Myśli... Myśli. Dlaczego ludzie się nie rozumieją? Dlaczego mnie nie rozumieją?

Budzi mnie dudnienie w głębi mojej głowy. Otwieram oczy i natychmiast je mrużę przed ostrym światłem poranka: dudnienie staje się coraz silniejsze. Oczy pieką, prawie czuję, jak powieki ocierają się o gałki oczne, szur, szur, szurrrrr. Nie spałam wiele tej nocy. Wróciłyśmy z Mariną ostatnim autobusem, a kiedy w końcu położyłam się do łóżka, noc powoli ustępowała przed bladym świtem. Budziłam się co kilka, kilkanaście minut i znowu zapadałam w męczący półsen, pełen niepokoju, myśli, obrazów przesuwających się jeden za drugim. Więc to dzisiaj... Wracam do domu. Za chwilę zobaczę po raz ostatni Marinę, a potem... Potem to jedna wielka niewiadoma. Przez cały pobyt uciekałyśmy od wszelkich deklaracji, nie wiemy, co będzie po naszym wyjeździe. Czuję, jak łyzy napływają mi do oczu: czyżbyśmy istniały tylko tu i teraz? Chcę to już mieć za sobą. Wrócić do domu i o niczym nie myśleć, nie czuć ciężaru, który przygniata mnie niczym worek kartofli. Nie potrafię się zmusić, by wstać z łóżka. Zsuwam jedną nogę, zwisa ona na moment w próżni, w końcu bosa stopa dotyka szorstkich, ciepłych desek podłogi. Zastygam tak na moment, staram się zebrać wszystkie moje siły, żeby druga noga dołączyła do pierwszej. Po chwili, która mnie samej wydaje się wiecznością, moje ciało przyjmuje pozycję pionową. Kręci mi

się w głowie, zamykam oczy i opieram się o ścianę. Najchętniej zastygłabym tak na bliżej nieokreślony czas. Muszę jednak się wziąć w garść, dokończyć pakowanie, posprzątać, chcę jeszcze porozmawiać z Mariną... Ściągam piżamę i zatrzymuję na chwilę wzrok na postaci odbitej w lustrze. Patrzy na mnie zombie. Opalona twarz, to prawda, niebieskie oczy wydają się jaśniejsze, ale cała twarz ma dziwny, pusty wyraz. Przesuwam się parę kroków do tyłu i ogarniam krytycznym wzrokiem całą sylwetkę: mogłabym trochę schudnąć, piersi mogłyby być większe. Ciekawe, czy podobają się Marinie, czy chciałyby ich dotknąć, tak jak ja pragnęłabym poczuć jej drobne, jędrne piersi w moich dłoniach. Zauważyłam, że nie nosi stanika. Na pewno są mlecznobiałe i kontrastują z opaloną, zaróżowioną skórą. I pewnie... Boże, o czym ja teraz myślę. Pewnie i tak nigdy ich nie zobaczę. Odkręcam kran i przez kilkanaście sekund patrzę bezmyślnie na cienki strumyczek, w końcu opryskuję twarz przeraźliwie zimną wodą, niedbale związuję włosy w koński ogon i zabieram się do sprzątanania: podłoga, łóżko, kurze... Jeszcze tylko parę ubrań ładuje w walizce i właściwie jestem gotowa. Gotowa. Tylko do czego? Zabiorę ze sobą walizkę i tych parę tygodni spędzonych w Barcelonie. Zamykam kolejny rozdział w moim życiu. Jak to banalnie brzmi. Pusty, wyświechtany frazes, ale tylko taki przychodzi mi do głowy. Zdaję sobie sprawę, że nie mam ani jednego zdjęcia Mariny. Mam kilkoro moich znajomych uwiecznionych w uśmiechniętych pozach przed budynkiem uniwersytetu, dosyć dużo zdjęć pejzaży, zachodów słońca, ptaszków, kwiatków. Mało mam zdjęć osób, to prawda, wolę krajobrazy. Ludzi, których prawdopodobnie już nigdy nie spotkam nie chcę widzieć na małych, płaskich karteczkach papieru. Ale Marina... Ją muszę mieć, tak bardzo się boję, że zapomnę, jak wygląda. Każdego ranka budziłam się przecież i

zastanawiałam, jakie ma rysy, z każdym spotkaniem odkrywałam jej twarz na nowo. Boję się, że z dala od niej pozostanie mi w pamięci tylko kolor jej oczu. Chryste... Zwariuję za chwilę. Rzucam okiem na budzik: na śniadanie już nie zdążę, cholera, na ostatnie, pożegnalne spotkanie z grupą też nie, już trwa od dobrych paru minut. Wsuwam nogi w sandały, narzucam sukienkę i biegnę do auli. Nagle zatrzymuję się w pół kroku: może Marina też nie poszła na spotkanie, może jest w pokoju, czeka na mnie... Uskrzydłona myślą, że może mi się uda wykraść kilka dodatkowych minut sam na sam z Mariną, odwracam się na pięcie i pędzę w przeciwnym kierunku, pokonuję kilka schodów dwoma susami i już jestem przed drzwiami jej pokoju, są uchylone, serce zaczyna mi bić jak oszalałe. Czeka na mnie... Uśmiecham się i pukam delikatnie. Cisza. Pukam głośniej, popycham drzwi, które otwierają się niechętnie na oścież z nieprzyjemnym zgrzytnięciem. Nie wiem, jak długo tak stoję, kiedy dociera do mnie, że pokój jest pusty. Zniknęły wszystkie rzeczy Mariny, łóżko jest porządnie zaścielone, zasłony zasunięte. Typowy pokój w akademiku gotowy na przyjęcie nowego lokatora. Marina wyjechała, ta myśl powoli do mnie dociera i rozlewa się zimną falą po moim ciele. To nie może być prawda, jak ona mogła?! Może to pomyłka, może wzięła swoje bagaże i czeka na mnie w głównej auli? Na pewno tak! Odwracam się i już mam wyjść z pokoju, kiedy mój wzrok przykuwa mała niebieska kartka położona na poduszce. Nie mogę opanować drżenia rąk, kiedy po nią sięgam. Nim moje palce dotkną szorstkiego papieru, wiem już, co przeczytam. Przez chwilę trzymam ją, obracam bezmyślnie w rękę, w końcu biorę głęboki oddech i spoglądam na małe, okrągłe pismo Mariny. Jest tam tylko jedno słowo. „Przepraszam”.

22 V

Siedzę na ziemi ze słuchawką w ręku. Przed chwilą rozmawiałam z Mariną. Cała się trzęsę. Kiedy wreszcie na dźwięk jej głosu serce nie będzie mi bić jak oszalałe? Jestem chyba nienormalna. Dlaczego nie potrafię jej wyrzucić z serca i z myśli?

Dlaczego?

Tym razem to koniec.

Nasz „brak kontaktu na próbę” dobiegł końca. Dzisiaj miałyśmy zdecydować, co dalej.

A dalej... nic.

Marina stwierdziła, że lepiej będzie, jak nie będziemy się ze sobą kontaktować. Byłoby to nieuczciwe wobec mnie, ponieważ ona naprawdę nie widzi naszej wspólnej przyszłości. Jest jej przykro, a jakże, jestem i pozostanę dla niej jedną z najważniejszych osób w życiu, pewnie. Mam głęboko gdzieś, czy będę ważna w jej życiu, czy nie, skoro nie mogę z nią być. Marina jest daleko ode mnie. Dzielą nas nie tylko kilometry, ale i poczucie obcości, która delikatnie wciska się w zakamarki mojej duszy. Obraz kobiety, którą tak kocham powoli zamazuje się w mojej pamięci. Pajęczyna naszego osobnego życia będzie coraz większa i większa, aż w końcu nie znajdziemy ze sobą żadnego punktu wspólnego. Będziemy mieć tylko wspólną przeszłość. Nasza terażniejszość rozmywa się dzień po dniu. Przyszłości nigdy nie będziemy mieć.

Czy żałuję decyzji, że pozwoliłam jej odejść? Czy jeszcze będę jej żałować?

Na razie uczę się bez niej żyć.

Nie jest łatwo.

Tęsknię za rozmową z nią. Od kiedy powiedziała mi, że nie chce być ze mną - nie potrafię już z nią rozmawiać. Zamknęłam się w sobie. A przecież potrafiłyśmy przegadać

całe noce. Ja, która rzadko kiedy coś mówię - paplałam przy niej jak papuga. Wciąż mi było mało i mało. Rozmowa z nią dawała mi tyle radości! Świadomość jej zasłuchania, jej absolutnej uwagi była dla mnie tak samo ważna jak czułość, namiętność i seks. Albo może nawet ważniejsza.

Gdzie jest teraz ta jedność myśli, jedność słów i jedność milczenia?

Nie chcę się nad tym zastanawiać. Nie mogę.

Inaczej zwariuję.

Zimno mi. Nie wiem, jak długo już siedzę w przedpokoju na zimnej podłodze, ściskając w ręce słuchawkę telefonu, w której już dawno ucichły słowa Mariny. Dudnią mi teraz w uszach: „przepraszam”, „tak będzie lepiej”, „zrozum”.

Mam gdzieś twoje przeprosiny, słyszysz?! Wcale nie będzie lepiej! Nic nie rozumiem i nie zamierzam zrozumieć. Podobnie jak wtedy.

Nie rozumiem. Niczego nie rozumiem. Nie wiem, jak długo siedzę w pustym pokoju Mariny. Przecież nie tak miało się to skończyć, przecież chciałam jej jeszcze tyle powiedzieć, przecież... Sama nie wiem, czego oczekiwałam po tym ostatnim dniu. Nie wiem. Może myślałam, że wszystko rozwiąże się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, że zniknie niepewność, strach, bezradność. Nadziejo... Nie na darmo nazywają cię matką głupich. Oto stoi przed tobą jeden z modelowych przykładów: głupia i naiwna w jednym. Myśli się cisną, jeszcze pełne niedowierzania, przecież nie mogła mi tego zrobić, tak mnie zostawić, odejść bez słowa wyjaśnienia. Nie mogła.

Jeszcze w to nie wierzę, ale zimne szpilki pewności kłują coraz bardziej. Zimno mi przez te krótkie przebliski świadomości aż po czubki palców, mimo że na zewnątrz słońce już od dawna rozpanoszyło się na błękitnym niebie. Czuję nieprzyjemne dreszcze, nie potrafię złapać powietrza.

Siadam na łóżku, nie wiem, jak długo tak siedzę, czas przestaje istnieć, minuty, sekundy mieszają się ze sobą. Czy upłynęła godzina, czy dopiero kilka minut - nie mam pojęcia, nie obchodzi mnie to. Zawieszona między czasem przeszłym a teraźniejszym uparcie odmawiam przyjęcia istnienia czasu przyszłego. Nie chcę się zastanawiać, co będzie jutro, nie mogę myśleć o tym, co jest teraz, nie mam siły wspominać tego, co było. Po prostu wyjdę z tego pokoju jakby nigdy nic, zamknę za sobą drzwi i... nigdy więcej już ich nie otworzę.

Dzisiaj znowu odwracałam oczy od zakochanych par. Zakochani młodzi, starsi, osoby w całkiem już podeszłym wieku, jedyne, co ich łączy, to nieuchwytny blask w spojrzeniu. To tak strasznie boli. Jestem zazdrosna, że są szczęśliwi, tęsknię za Mariną, a jednocześnie czuję, że robię się cyniczna, myślę sobie: „I tak im się nie uda. Ciekawe, który/która to z kolei, on na pewno ją zdradzi, ona odejdzie z innym”. Chciałabym, żeby tak było, dlaczego oni mają być szczęśliwi? Przecież to niesprawiedliwe.

Nie lubię siebie takiej. Zaczynam się bać tej obcej osoby, która we mnie zamieszkała. A przecież wystarczyłoby tak niewiele, żeby wróciła dawna Anna.

Brakuje mi Mariny niemożliwie. Jej i tego, czym dla mnie była: poczuciem, że życie może być piękne, że można zasypiać z uśmiechem i budzić się z niecierpliwym oczekiwaniem na to, co przyniesie nowy dzień. Brakuje mi wspólnego bycia razem. Wspólnego czasu, wspólnych podróży, wygłupów, wspólnych rzeczy, znajomych i ubrań.

Wspólnych dni.

Co mi z nich zostało?

Jakieś strzępki, urywki wspomnień upchane w podświadomości. Niby są, a udaję, że ich nie ma. Przypominają jednak o swoim istnieniu tępym bólem w jak najmniej spodziewanym momencie, wyskakują jak złośliwy klaun na sprężynie z urodzinowego pudełka. Tyle tylko, że jego uśmiech przypomina grymas.

Może w końcu czas ukreć mu głowę? Poczuć ją w dłoniach, zgnieść, zetrzeć jego triumfujący uśmieszek.

Chciałam, żeby Marina była dla mnie wszystkim. Ja też miałam być dla niej wszystkim, całym życiem.

Dlaczego dla niej to było za dużo?

Może powinnam zmienić swoje nastawienie?

Może w następnym związku też to nie wypali?

Nie potrafię inaczej kochać.

Albo wszystko, albo nic.

Dlatego pozwoliłam ci odejść, wiesz?

Wiesz o tym. Jestem pewna.

Nie chciałam być w twoim życiu tylko marginesem. Dodatkiem. Dla osoby, którą kocham muszę być najważniejsza. Nic na to nie poradzę.

Nie chcę już i nie mam siły walczyć o ciebie, słyszysz?!

Nie wolno mi chcieć ciebie zatrzymać.

Już nigdy więcej.

Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

Bzdury, chcę, żebyś cierpiała tak, jak ja cierpię teraz. Czuję, że znowu zbiera mi się na płacz. Nie mogę pozwolić sobie na rozklejanie się. Mam przed sobą sterty testów do poprawienia. Już dzisiaj uczniowie pytali, na kiedy je przyniosę. Moi uczniowie... Są dla mnie niejasną masą, nie potrafię się przełamać i spojrzeć na nich tak, żebym w końcu zobaczyła ich twarze. Może powinnam spróbować, może praca stałaby się odskocznią od mojego życia prywatnego, a raczej jego braku. Chodzę do pracy jak automat, wykonuję polecenia dyrektora, uśmiecham się do kolegów z pracy, rozmawiam o wszystkim i o niczym - gdyby wiedzieli, jak mało obchodzą mnie domowe historyjki o pierwszych kupkach, ząbkach ich dzieci! Prowadzę lekcje, zadaję zadania domowe, przepytuję przy tablicy... W ogóle mnie tam nie ma, moje obowiązki wykonuje doskonale zaprogramowana maszyna, bez jakichkolwiek uczuć. Sprawdzając kolejny test, zastanawiam się, jak młodzież jest w stanie wynieść cokolwiek z moich lekcji. Nieźle, stawiam czwórkę z minusem na górze testu obok czyjegoś imienia i nazwiska i sięgam po następny. Lubię te czynności, zadania znam prawie na pamięć, nie wymaga to ode mnie dużej koncentracji, a

jednocześnie uwalnia od myślenia o Marinie. Siedzę już tak prawie dwie godziny, bolą mnie plecy. Odkładam długopis i przeciągam zdrętwiałe członki. Zerkam na komórkę, migają jakieś wiadomości. Nie chce mi się ich czytać, jestem pewna, że wszystkie są od Nikoli. Poznałam ją przez internet, byliśmy może ze dwa razy na kawie, ale już po pierwszym spotkaniu zdałam sobie sprawę, że to nie ma sensu. Starłam się ze wszystkich sił odsunąć od siebie obraz Mariny. Nikola była urocza, rozmawialiśmy o wszystkim, śmiałyśmy się... Coś jednak było nie tak. Chciałam po prostu stamtąd uciec. Nie mogłam jednak tego zrobić, dziewczyna przejechała pół Polski, spędziła kilka godzin w pociągu, mogę przynajmniej udawać, że dobrze się bawię. Musiałam być w tym przekonująca, bo w oczach Nikoli zobaczyłam zainteresowanie. Dziewczyna widocznie się zaangażowała, bo teraz nie daje mi spokoju i wysuwa coraz to nowe propozycje spotkania. Powinnam być wobec niej szczerą i powiedzieć, że miała być dla mnie znieczuleniem, że chcę po prostu zapomnieć. Nie wiem, czy to nie ten środek, czy nieodpowiednia dawka, w każdym razie znieczulenie nie działa. Wieczorem napiszę do niej maila, nie mogę tak po prostu bawić się czyimiś uczuciami czy nadziejami. Dziewczyna jest bardzo atrakcyjna, sympatyczna, inteligentna, ma jednak jedną wadę: nie jest Mariną.

Nie pamiętam, jak dotarłam do swojego pokoju, jak spakowałam walizkę. Pożegnania z innymi uczestnikami kursu rozplynęły się w gęstej nieświadomości, z której pamiętam jedynie pytania wbijające się jak sztylety w moje ciało: „Gdzie jest Marina?”, „Kto ją widział?”.

Nie pamiętam nic z podróży do Polski, jakby w ogóle nie miała miejsca. Przywitanie z rodzicami, telefony od dawno niewidzianych przyjaciół i ja, zagryzająca wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem, żeby nikt się nie zorientował, co tak

naprawdę czuję za uprzejmą maską uśmiechu. Rozdział „Hiszpania” musi zostać zamknięty, wymazany z pamięci. Nie wiem, jak to zrobię, pomyślę o tym jutro, wzorem Scarlett O'Hary z Przemięło z wiatrem. Może to dobra taktyka. Dzisiaj jestem potwornie zmęczona, chcę się znaleźć w objęciach snu, w niebycie, w nieświadomości. Może kiedy się obudzę, zniknie strach, że nic już nie będzie takie samo. Widzę Marinę, biegnie do mnie, coś mówi, patrzę, jak jej usta poruszają się, ale żaden dźwięk nie dochodzi do moich uszu. Przeszkadza mi szum morza, wiatr, fale biegną ku nam i spienione cofają się z głośnym pluskiem. Chcę wziąć Marinę za rękę i odejść stąd. Chwytam jej dłoń, unoszę do góry, ale nie czuję jej ciężaru w swojej. Marina kręci głową, staram się odczytać słowa z jej ust, ale poruszają się za szybko. Zbiera mi się na płacz z bezradności, wiem, że płyną mi łzy, ale nie czuję ich na policzkach. Dotykam palcami twarzy i podnoszę je do ust: wilgoć nie jest słona, to deszcz. Podnoszę wzrok i widzę, że morze skrywa się powoli za szarą kotarą kropel. Dlaczego tak pada? Nadal nie słyszę Mariny, znika mi za strugami deszczu. Przecieram oczy, staram się nie stracić jej z widoku. Jej dłoń wysuwa się z mojej, sylwetka kobiety przybiera kształt szarobiałej mewy, która z głośnym piskiem zrywa się do lotu. Podążam za nią wzrokiem. Dlaczego ja nie mogę wzbić się w powietrze? Mogłabym do niej dołączyć. Myśl ta jeszcze niedokończona, a już czuję na policzkach pęd powietrza: domy widziane z tej perspektywy zdają się domkami dla lalek, drzewa, samochody - zabawkami porzuconymi przez nieuważne, bawiące się dzieci. Nie wiem, co się dzieje, nie wiem, kim jestem, ale nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia: muszę znaleźć Marinę, ona pomoże mi odnaleźć siebie.

Jest cicho, spokojnie, zniknęło morze, po deszczu pozostało jedynie ciepłe, przesycone wilgocią powietrze.

Oddycham głęboko, czuję, jak dociera do płuc, zaciągam się nim jak dymem z papierosa. Skąd tu się wziął ten dym? Niedobrze mi, nie potrafię złapać tchu, czuję, jak zaciska mi się gardło, duszę się. W uszach mi szumi, w głowie narasta tępy ból, coraz głośniejszy dźwięk wwierca się w moją czaszkę, chcę krzyknąć, ale ze ściśniętej krtani nie wydobywa się żaden odgłos. Coś huczy, wibruje, widzę przed sobą białą tafłę, zbliżam się do niej... Znam ten odcień bieli: lekko kremowy, przełamany delikatnym fioletem. Przypomina mi miejsce, w którym zawsze czułam się bezpiecznie.

Przypomina mi...

Odwracam głowę, na parapecie sterczy zwiędnięty fiołek, powinnam była go podlać, jak przyjechałam.

Zrobię to jutro. Albo kiedyś tam.

Zamykam oczy, otulam się szczelniej kocem i odwracam do ściany. Jak przez mgłę słyszę jeszcze natarczywy dźwięk telefonu. Zaklinam go w myślach, żeby już przestał.

Jutro odbiorę. Albo kiedyś tam.

25 VI

Maila nie napisałam. Gardzę sobą za tę słabość. Wstyd mi przyznać, że nie chcę kończyć znajomości z Nikołą, a jednocześnie czuję, że ją wykorzystuję. Przecież nic od niej nie chcę, lubię z nią rozmawiać, ale w ogóle nie myślę o nowym związku. Boję się. Po prostu się boję samotności. Szukam czegoś, kogoś, kto pomoże mi wypełnić pustkę. Czegokolwiek, kogokolwiek.

Chciałabym porozmawiać z Mariną. Jej jedynej nie muszę niczego tłumaczyć, ona jedna wie wszystko. Rano wysłałam jej esemesa z pytaniem, czy mogę zadzwonić. Nie odpowiedziała. I pewnie nie odpowie. Oto kim się stałam: żebrakiem czekającym na okrucieństwo uwagi i czułości.

Nie potrafię zaakceptować faktu, że osoba najbliższa mi na świecie po prostu mnie ignoruje.

Dlaczego ludzie są tacy?

Marina odbudowała moje zaufanie do ludzi. Teraz ono znowu znika. Ludzie nie są szczerzy. Kłamią. Mówią, co chcesz usłyszeć. Mówią, co chcą, aby dostać, co chcą.

Jak poznać, czy i kiedy ich intencje są szczerze?

Boję się. Wiem, że jestem naiwna i pomimo tego, że ogłaszam wszem wobec, że nie ufam ludziom, to znowu komuś zaufam, bo chcę zaufać. I znowu będę cierpieć.

Dlaczego ludzie mają podwójne twarze?

Dlaczego mają podwójne twarze?

Dlaczego mnie to tak często spotyka?

Czy źle wybieram ludzi?

Czy dlatego, że tak rozpaczliwie potrzebuję bliskości i ciepła, że pójdę za każdym ciepłym słowem, gestem czy oznaką zainteresowania?

Nawet jeśli to kłamstwo?

Nawet jeśli wiem, że to kłamstwo?

Nawet jeśli wiem, że oszukuję sama siebie?

I to jest najgorsze.

Sama siebie oszukuję, sama siebie ranię. Kto mnie uratuje przed samą sobą?

Dlaczego Marina weszła w moje życie? Czy zrobiła to na oślep, czy z pełną świadomością? Chodzi teraz po ulicach Armenii, może nawet nie wie, że jestem tam z nią. Zostawiłam jej mój zapach, delikatne muśnięcia karku, moje spojrzenia. Zabrała to ze sobą. Ciekawe, czy czuje ten ciężar, czy przemyka po mieście lekko i z wdziękiem.

Dziwne, ale chciałabym, żeby wiedziała, jak mnie zraniła, jak teraz cierpię. Wiem, że nic by to nie dało, sztuczne wzbudzanie litości, na siłę. Czyżby moja godność zmniejszyła się do rozmiarów orzecha laskowego?

Jest jeszcze ciemno. Może już ciemno? Nie pamiętam. Zasnąłam po południu. Czy to wieczór, czy zaraz zacznie świtać? Wyciągam rękę i po omacku szukam zegarka. Nie wiem nawet, czy zostawiłam go na nocnym stoliku. Nie mam ochoty się ruszyć, zamykam oczy, pod powiekami przemykają obrazy: ostatni dzień w Barcelonie, pusty, nieprzyjazny pokój Mariny, słowo „przepraszam” na białej kartce, podróż, powrót do domu, pustka... Wspomnienia tłoczą się i zalegają ciężką masą na piersiach. Nie chcę ich, pozwólcie mi zasnąć! Sen jednak nie przychodzi, mimo że zaciskam mocno powieki. Jak szybko życie może się zmienić! Wystarczy ułamek sekundy i świat traci kolory, staje się bezkształtną szarą masą, w której poruszam się po omacku. Jeszcze parę dni temu byłam pełna energii i dobrego humoru, przyszłość rysowała się w jasnych barwach, niezbyt precyzyjnie co prawda, ale miała w sobie dużo światła, optymizmu, nadziei... Byłam taka zakochana! Nadal jestem zakochana, ale miłość ta ciąży mi jak nadprogramowy bagaż: nie mam pojęcia, co z nią zrobić. To będzie moje zadanie na najbliższe dni: pozbyć się tego uczucia, wykreślić z pamięci, wmawiać sobie, że przecież nic

takiego się nie stało. Czy jeśli będę to sobie powtarzać
wystarczająco często, to uda mi się w to uwierzyć?

3 VII

Kolejny dzień wakacji mogłabym wykreślić z kalendarza. Dopiero ich początek, Chryste Panie, jak ja wytrzymam do końca? Moje koleżanki nie - nauczycielki pewnie rozerwałyby mnie na strzępy, słysząc, że narzekam. Przy każdym spotkaniu wypominają mi, jak dużo mam wolnego czasu, że jeszcze mi za to płacą. Proszę bardzo, może któraś ze szczęśliwych żon i matek się ze mną zamieni? Wejdzie na chwilę w moje życie, poczuje ciężar strachu przed kolejnym dniem, zazna bezkresnej pustki samotnych wieczorów?

Proszę bardzo, jestem gotowa oddać moją tożsamość, moje imię i nazwisko, moją cielesną powłokę, przestanę istnieć i nic już mnie nie będzie obchodzić.

Z jednej strony chciałabym już iść do pracy, bo czuję, że zaczynam wariować. Nie wiem, jak zabić ten czas, a przecież tyle rzeczy mogłabym zrobić! Wściekła jestem na siebie, że nic mi się nie chce, a z drugiej strony... Wcale nie jestem gotowa spotkać się z moimi uczniami: to mądre dzieci, ale i bardzo wymagające, chcą się uczyć, są ciekawe świata, otwarte na nowe doświadczenia. Myślę, że zaakceptowałyby moją orientację seksualną bez większych oporów, gorzej z ich rodzicami. Jestem pewna, że zlinczowałiby mnie jak w średniowieczu, ciskając kamieniami, albo paląc na stosie. Straciłam już nadzieję, że Polacy staną się narodem tolerancyjnym: potępiają każdą odmienność, boją się jej, nie starają zrozumieć. Zdaję sobie sprawę, że kiedyś będę musiała stąd wyjechać, jeśli znajdę kobietę, którą pokocham. Nie będzie mi łatwo, bo kocham mój kraj, uwielbiam polskie morze, góry, zapach polskiej wsi, zboża wyłoczonego przez słońce, i jeśli wyobrażam sobie starość, to właśnie tutaj.

Zdaje się, że wybiegam myślami zbyt daleko w przyszłość, nie sądzę, żeby w najbliższym czasie zaszły jakieś zmiany w moim życiu prywatnym.

W chwili obecnej jestem zawieszona w próżni. Czuję się jak balon, który wzleciał parę metrów w górę: nie może spaść, ale i nie jest w stanie polecieć wyżej. Pamiętam, jak byłam dzieckiem, z każdego odpustu przynosiłam ze sobą mały kolorowy balonik, który unosił się pod sufitem w moim pokoju. Po kilku dniach gaz się ulatniał, balonik kurczył, marszczył, opadał, a ja płakałam, bo chciałam, żeby jak wcześniej wznosił się w powietrze. Nie pomagały tłumaczenia taty, że kupimy następny za jakiś czas: podrzucałam nieszczęsny flaczek z nadzieją, że może jakimś cudem dostanie skrzydeł i uniesie się w górę.

Co powinnam zrobić, żeby zmienić mój obecny stan?

Jeśli nie jestem w stanie wzlecieć wyżej, to może powinnam poszukać szpilki i przekłuć gumową powłokę? Do góry nie polecę, ale przynajmniej opadnę. Zostaną ze mnie strzępy, ale to przynajmniej będzie coś określonego.

Dosyć mam tej bylejakości i beznadziejności. Nie lubię być byle jaka i beznadziejna. Wolę już być okropna.

Z jednej skrajności w drugą.

Warczę na siebie i na innych, a potem czuję się jeszcze gorzej. Ludzie nie mają pojęcia, że to wcale nie jest takie łatwe. Niby nic takiego, ale ciężko się uśmiechać, kiedy w środku wszystko płacze, albo mówić spokojnie, kiedy wszystko we mnie krzyczy. Ciężko jest żyć cały czas z maską. Sama już nie wiem, czy potrafiłabym ją zdjąć.

Jak próbuję, to boli.

Nie warto.

Najgorsza jest samotność. Usiłuję z nią walczyć, ale ona ciągle powraca. Zawsze czai się po kątach, aby mnie dopaść w najmniej oczekiwanym momencie. Nie pozwala mi o sobie zapomnieć. Gdy już prawie mi się udaje, leciutkim ukłuciem daje o sobie znać, że jest, że trwa.

Mam wrażenie, że życie biegnie dalej utartym szlakiem i nie zwraca na mnie uwagi.

Potrzebuję, by inni mnie zauważali, dostrzegali...

Dlaczego więc jestem dla innych niedostępna? Żyję swoją przeszłością, swoją miłością. Żyję Mariną.

Dlaczego ten cholerny telefon tak dzwoni? Nie rozumiem ludzi, którzy uparcie starają się z kimś połączyć raz za razem. Skoro nikt nie podnosi słuchawki za pierwszym bądź drugim razem, to do jasnej cholery znaczy, że albo tego kogoś nie ma w domu, albo po prostu nie chce z nikim rozmawiać. Czy to tak trudno zrozumieć?! Ktoś jest jednak wyjątkowo uparty, bo aparat terkocze dobrych parę minut.

Spuszczam jedną nogę na dół, za nią resztę ciała i wlokę się do salonu. Mam nadzieję, że to coś ważnego, bo ostatnie o czym marzę to pogaduszki ze znajomymi. Najchętniej zwinęłabym się w kłębek na łóżku. Podnoszę słuchawkę, zdaję sobie sprawę, że moje „halo” nie brzmi zbyt zachęcająco, ale nie chcę się nad tym zastanawiać. W słuchawce cisza, jedynie jakieś zgrzyty i trzaski, dopiero po chwili z oddali słyszę niepewne, prawie niedosłyszalne „hola”. Serce zaczyna mi bić jak oszalałe, nie potrafię wykrztusić z siebie słowa, stoję na zimnej posadzce ze słuchawką w ręku, wpatrując się jak urzeczona w aparat telefoniczny. Głos w słuchawce jest zniekształcony przez odległość, matowy, ale poznałabym go o każdej porze dnia i nocy. Marina. Nie dziwi mnie, skąd ma mój domowy numer, nie przypominam sobie, żebym go jej dała, nie zastanawiam się, że dzwoni bladym świtem, normalni ludzie o tej porze jeszcze smacznie śpią, przez parę sekund nie myślę o niczym, mam zupełną pustkę w głowie, jakby ktoś wymazał z niej wszystkie myśli, które jeszcze przed chwilą kotłowały się jak oszalałe. Gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, pewnie pomyślałby, że nie wyglądam zbyt mądrze. Jedyne, na co się zdobyłam, to rzucone, a raczej

wyszeptane do słuchawki „si?”. Nie potrzebuję jednak nic mówić, do moich uszu dochodzi potok słów, nie rozumiem wszystkiego, co Marina mówi, wyrzuca z siebie słowa jak z katapulty, rozróżniam pojedyncze „przepraszam”, „przyjadę”, „kocham”. Zaraz, zaraz, proszę ją, żeby powtórzyła, nie jestem pewna, czy dobrze słyszę... Marina potwierdza, tak, przyjedzie, już kupiła bilet. Za trzy dni będzie w Polsce. Zadzwoń jeszcze wieczorem, żeby podać mi więcej szczegółów. Rozłącza się.

Zastygam ze słuchawką w ręce, rozmowa, którą odbyłam przed kilkoma minutami wydaje się tak nierzeczywista jak myśl, że za parę dni spotkam się z Mariną. Spoglądam na salon, który przecież znam od dzieciństwa: ile razy bawiłam się tu z tatą w chowanego, kryjąc się pod tapczanem, wciskając się za szafę... Nie poznaję go, czuję się obco, kontury mebli są niewyraźne, czuję się, jakbym była nie na miejscu. Jeden telefon Mariny przewrócił ponownie mój świat do góry nogami. Nie jestem tylko pewna, czy wrócił na swoje miejsce. Nie odczuwam radości, tylko zdziwienie, nie ma euforii, zastanawiam się raczej nad kwestiami praktycznymi. Co powiem rodzicom? Gdzie będzie spała? Jak zorganizować jej pobyt tutaj? Nie mam pojęcia, jak długo zostanie, chciałabym, żeby to było jak najdłużej. Mam tyle pytań, ale muszę poczekać z nimi do wieczora, teraz muszę znaleźć mamę i powiadomić ją o niespodziewanej wizycie. Nie wiem, jak przedstawić Marinę. Jako koleżankę? Potencjalną partnerkę? Znajomą z Hiszpanii?

Odczuwam lekki niepokój, rodzice nie należą do zbyt towarzyskich i tak było zawsze, odkąd sięgam pamięcią. Oprócz obowiązkowych spotkań w gronie rodziny przy wszelkiego rodzaju okazjach, takich jak urodziny, imieniny, pogrzeby i śluby, ani mama, ani tata nie utrzymywali kontaktów z kolegami z pracy, z sąsiadami. Odwiedziny,

nawet zapowiedziane, jakiegoś dalekiego kuzyna taty czy szkolnej koleżanki mamy zawsze wiązały się z gruntownym sprzątniem całego mieszkania, nerwową atmosferą wśród domowników i uczuciem ulgi, kiedy gość już sobie poszedł. Dorastałam w przekonaniu, że przyjmowanie kogokolwiek w domu jest kłopotliwym i niechcianym rytuałem. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek gościła u siebie koleżanki ze szkoły podstawowej, najczęściej to ja byłam gościem w ich domach, pamiętam uczucie żalu, że moja rodzina nie jest tak otwarta. Kiedy poszłam do liceum, problem przestał istnieć: byłam wystarczająco dorosła, żeby umawiać się ze znajomymi na mieście, w kawiarni, w kinie.

Reakcja mamy zaskoczyła mnie: zgodziła się obojętnie na pobyt Mariny w domu, nie zadawała nawet zbyt dużo pytań. Tak więc jedno mam z głowy, teraz muszę doprowadzić mieszkanie do jako takiego ładu. Zaczynam odczuwać lekkie, przyjemne podniecenie: nie lubię sprzątać, ale jeśli mam sprzątać dla Mariny, to zaczyna mi się to podobać. Na pierwszy ogień idzie mój pokój, podejrzewam, że doprowadzenie go do jako takiego stanu zajmie mi czas do wieczora: wyjeżdżając do Hiszpanii, zostawiłam go w lekkim, delikatnie mówiąc, nieładzie. Obejmuję krytycznym spojrzeniem wąską klitkę. Ciekawe, czy spodoba się Marinie. Jeśli będzie chciała, to może spać u mnie, ja zajmę pokój siostry. Przemyka mi przez myśl, że mogłybyśmy spać we dwójkę na moim łóżku: jest wystarczająco duże, żeby pomieścić dwie osoby. Jak cudownie byłoby mieć Marinę obok siebie, zasypiając! Dopiero teraz dociera do mnie, że kobieta, którą kocham będzie na wyciągnięcie ręki. Ta myśl mnie poraża i obezwładnia tak, że siadam na krześle ze szmatą w rękę. Boże, mam nadzieję, że to dzieje się naprawdę.

4 VII

Depresji ciąg dalszy. Kurwa mać, mam tego dosyć! Siedzę w domu - ryczę. Idę na spacer - ryczę. Spotykam się ze znajomymi - ledwo powstrzymuję łzy.

Coś mnie przygniata.

Coś mnie trzyma.

Ciągnie ku dołowi. Jakiś ciężar. Nie wiem co.

Złe, niedobre myśli obsiadają mnie jak komary latem.

Gryzą.

Ukłucie nawet nie boli, nawet nie wiem, kiedy to się dzieje, ale ślad pozostaje. Swędzi, boli, przeszkadza. Nie pozwala zapomnieć. Mam ochotę rozgnieść te komary, ale wiem, że one istnieją tylko w mojej głowie. Są we mnie.

Jak je zniszczyć, nie niszcząc siebie?

Ciekawe, ile krwi mi wypięły.

Kiedy znowu będę sobą? Kiedy będę taka jak kiedyś?

Czy chcę być taka jak kiedyś?

Dzisiaj bałabym się zaryzykować.

Nie wiem, jak smakuje moje szczęście.

Czy kiedykolwiek się tego dowiem?

Na razie czuję w ustach tylko gorzki smak.

I alkohol.

Co się ze mną dzieje?

Przestań!

Mam mózg jak gąbka. Wszystko mi jedno.

Dlaczego tak źle się czuję?

Chciałabym, żeby już było jutro.

Tylko po co?

Jak wytrzymać noc?

W kuchni potykam się o butelki zostawione na podłodze. Przestałam już je liczyć.

6 VII

Leżę z otwartymi oczami już od dłuższego czasu, obserwuję muchę na suficie: urządza sobie spacer po przekątnej. Jak się zmusić, żeby wyjść z łóżka? Spałam, z przerwami, prawie piętnaście godzin. Od pewnego czasu uciekam w sen, życie przynajmniej mija mi szybciej.

Dzisiaj spotkam się z Nikołą. Dziewczyna dopięła swego, od tygodnia prosiła mnie o spotkanie, bombardowała telefonami, esemesami, nie miałam już siły wymyślać wiarygodnych wytłumaczeń, że dzisiaj nie, jutro nie, w piątek też nie... Muszę się wziąć w garść, bo jak zobaczy takiego smutasa, to ucieknie.

Zastanawiam się, czy miałabym coś przeciwko temu.

Mam wyrzuty sumienia, powinnam być wdzięczna Nikoli, że udało jej się mnie wyciągnąć z domu. Od kilku dni nie wychodzę, leżę w łóżku, oglądam jakieś durne programy, z których nic nie rozumiem.

Pisać też mi się nie chce. Rzadko mi się to zdarza, ale nawet na to nie mam ochoty. Nie lubię w sobie tego uczucia zubożenia. Nic mnie nie obchodzi: ani moje sprawy, ani sprawy innych. Spływa wszystko po mnie jak po kaczce. Mój umysł zamienia się w tafelę szkła, o którą rozbija się moje życie, chęci, pragnienia.

Martwię się jednak. Pisanie wyraża to, co mam w sercu. Powstrzymuje od mówienia. Jestem zbyt spięta, za bardzo boję się okazywać moje uczucia. Słabość, która powoli niszczy mnie i moje życie. Moje relacje z ludźmi.

Jakie relacje?!

Sama siebie oszukuję, moje relacje z ludźmi nie istnieją! Nie umiem powstrzymać się przed zamykaniem, chronieniem siebie.

Kiedy piszę - jest inaczej, to moja jedyna droga ucieczki.
Może wydaje mi się tylko, że jest inaczej?

Bo przecież komunikuję się z kartką papieru.

Sama ze sobą.

Spoglądam na zegarek, jest już późno. Nikola przyjeżdża pociągiem o 15.25, umówiliśmy się, że wyjdę po nią na dworzec. Potem pójdziemy do mnie, zobaczymy jakiś film. Po drodze jeszcze kupię kawę, coś do kawy, może jakieś lody. W domu nie mam dosłownie nic. Kilka dni po tym, jak Marina wyjechała opróżniłam szafki kuchenne ze wszystkich produktów, które mogłyby mi ją przypominać, wyłączyłam lodówkę...

I tak jest do tej pory. Nikola mówiła wprawdzie, że upiecze jakieś ciasto i przywiezie butelkę wina, ale wypadałoby, żebym też coś przygotowała. Nie zamierzam jednak pić, ani nie pozwolę na to Nikoli. Muszę pilnować, żeby zdążyła na ostatni pociąg, tuż przed północą, bo nie wyobrażam sobie, żeby miała tu nocować. Nie chcę tego.

Robię w myślach przegląd szafy, nie wiem, co mam wybrać, jakie to typowe! Ale kompletnie się tym nie przejmuję - to już jest chyba mniej typowe. Włożę po prostu dżinsy i bluzkę. Staram się myśleć o tym spotkaniu jak o randce i włożyć w przygotowania więcej wysiłku, ale przerasta mnie to. Wypełzam z łóżka, spryskuję twarz zimną wodą, wciągam dżinsy, wkładam rękę do szafy i wyciągam pierwszą lepszą bluzkę. Szybki rzut oka w lustro, staram się uśmiechnąć do mojego odbicia, ale twarz po drugiej stronie krzywi się, jakby bolały ją zęby. Nie wiem, jak mogę się podobać Nikoli, czy komukolwiek innemu. Szukam kluczy, znowu gdzieś je położyłam i pewnie tkwią pod stertą papierzysk... To jedna z moich najbardziej uciążliwych (dla mnie samej i dla innych) wad. Przedmioty codziennego użytku, dokumenty, portfel mają zadziwiającą właściwość znikania z moich oczu przynajmniej kilka razy dziennie. I nieodmiennie jestem tym zaskoczona. Tym razem klucze

spokojnie leżą w kieszeni spodni, ale nie przyszło mi wcześniej do głowy, żeby to sprawdzić. Wybiegam z mieszkania, bo pociąg przyjeżdża za kwadrans, nie chcę, żeby Nikola czekała. Do dworca mam parę minut, jeśli pójde szybko, to zdążę. Jak tylko otwieram drzwi, gorącą falą uderza we mnie powietrze lata: ciężkie, duszne, ale niosące w sobie obietnicę wieczoru. Dlatego lubię lipcowe popołudnia, mają w sobie spokój i błogie lenistwo, a także delikatny zapach dzieciństwa. Wtedy wszystko było takie proste, liczyło się to, że są wakacje, że można leżeć bez końca na łące i wdychać aromat świeżo skoszonej trawy. Chciałabym znowu stać się małą dziewczynką z jasnymi warkoczykami i piegami na okrągłej buzi. Niestety, w witrynie sklepowej odbija się o wiele większa postać, spogląda na mnie twarz okrągła co prawda, ale bez śladu piegów, włosy też nie dałyby się zapleść w najkrótsze nawet warkoczyki. Tamta dziewczynka zniknęła, zastąpiła ją obca, poważna kobieta o smutnym wzroku. Nie lubię jej, nie lubię na siebie patrzeć, unikam też spoglądania na mijających mnie ludzi, dlatego idąc, najczęściej patrzę pod nogi, czasem zabawiam się liczeniem kroków, do dworca pozostało mi około pięćdziesięciu. Zwalniam, boję się tego spotkania, bo wiem, że potem będę jeszcze bardziej smutna i rozgoryczona. Czterdzieści. Jeszcze mogę zawrócić, zadzwonię do Nikoli, wymyślę coś. Nagły wyjazd, chorobę. Trzydzieści. Nie powinnam jej tak traktować, to nie fair, dzisiaj jej powiem, że nie widzę żadnej szansy dla nas, nie interesuje mnie jako kobieta. Dwadzieścia. Czy każdą kobietę będę traktowała jak zagrożenie i oddalenie od mojej miłości do Mariny? Może nie powinnam się z nikim spotykać? Dziesięć. Skończę jako zgorzkniała, zaszuszonej stara singielka o drwiąco - ironicznym spojrzeniu. Czy tego właśnie chcę?

Nie będę się teraz nad tym zastanawiać, wchodzę już na dworzec, trochę się zagapiłam, pociąg już przyjechał, stoi przy peronie, mijają mnie małe grupki podróżnych. Wypatruję Nikoli, widzę ją, stoi przy kasach. Naprawdę atrakcyjna z niej dziewczyna: wysoka, smukła, o pięknych kasztanowych włosach i piwnych, nieco ciemniejszych od włosów oczach. Jestem świadoma jej urody, ale obserwuję ją obojętnie. Nie ma w moich spostrzeżeniach żadnych uczuć, entuzjazmu, podziwu, jedynie chłodny obiektywizm, stwierdzenie faktu. Zauważa mnie, uśmiecha się szeroko i macha. Nie ruszam się z miejsca, Nikola podchodzi do mnie i całuje na powitanie w policzek. Niewinny całus, jednak nie potrafię powstrzymać się od lekkiego cofnięcia: nie jestem przyzwyczajona do dotyku kogoś, kto nie jest Mariną, nie jestem typem „przytulanki”, w kontaktach ze znajomymi i przyjaciółmi ograniczam się do podania ręki. Nikola jednak, nawet jeśli to zauważyła, nie daje nic po sobie poznać. Triumfalnie potrząsa olbrzymią paczką przed moimi oczami, ciasto z truskawkami, podobno sama upiekła. Wracamy przez park, mijają nas objęte zakochane pary. Czuję się trochę niezręcznie z Nikola przy boku, zastanawiam się, co ja tu w ogóle z nią robię. Przyśpieszam kroku, dziewczyna spogląda na mnie ze zdziwieniem, ale nic nie mówi. Czuję, że ten wieczór będzie katastrofą, zamykam się w sobie.

Proszę Nikolę, żeby wybrała sobie jakiś film z mojej kolekcji, ja zajmę się ciastem i kawą. Butelkę wina chowam do wyłączonej lodówki. Chyba z przyzwyczajenia. Komedia romantyczna jest nudna jak flaki z olejem, rozmowa się nie klei, a raczej ja nie kleję się do rozmowy. Ogarnia mnie przygnębienie. Jest mi przykro z powodu Nikoli, jednak nie potrafię się przełamać.

Może jestem uprzedzona, ale każdą komórką mojego ciała czuję, że ona nie jest dla mnie. Ja nie chcę kogoś tylko do

łóżka, a pewnie ona na to liczy. Ja chcę partnerki. Na dobre i złe. Powiedziałabym, że na zawsze, ale już wiem, że nic nie trwa wiecznie, no więc - na długo. Na bardzo długo.

Nie chcę żadnej przygody. Tak chciałabym „kogoś” mieć. Być z kimś. Nie wiem tylko, czy potrafię kogoś pokochać. Nie wiem, czy to się uda, ale chcę spróbować. Jednak Nikola... Kompletnie mnie nie interesuje. Ogarnia mnie panika, że podobnie będę reagować na inne dziewczyny.

Wiem, że potrafię dużo dać. Wszystko.

Ale nie chcę znowu się pomylić.

Mam w sobie tyle miłości. Nie wiem, czy jestem gotowa komuś ją dać. Muszę zamienić miłość nieodwzajemnioną i nieszczęśliwą na miłość świeżą, nienaznaczoną przynależnością do Mariny.

Czy potrafię?

Czy ktoś ją doceni?

Czy pokocha?

Czy raczej odpłaci kolejnym rozczarowaniem?

Żegnamy się dosyć chłodno, widzę w oczach Nikoli rozżalenie, chciałabym ją przeprosić, ale dziewczyna rzuca tylko suche „cześć” i zbiega po schodach. Mam, czego chciałam, zaprzepaściłam kolejną szansę na znajomość, pewnie już więcej się do mnie nie odezwie.

Dlaczego w ogóle mnie to nie obchodzi?

Cztery dni do przyjazdu Mariny minęły jak z bicza strzelił. Dom lśni, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek było tu tak czysto. Dobrze, że nikt nie widział, jak czyściłam z zapamiętaniem kaloryfery szczoteczką do zębów. Obmyśliłam też wszystkie możliwe bezmięsne jadłospisy na każdą porę dnia, łapię się na tym, że reżyseruję dni z Mariną, zastanawiam się, jak będą wyglądały, jak chciałabym je spędzić... Postanowiłam, że Marina zostanie z moją rodziną dwa dni, potem wyjedziemy na kilka dni na Mazury. Chcę być

z nią sama, nie chcę się z nikim nią dzielić, nawet jeśli byłaby to moja ciocia czy siostra. W nocy nie mogę spać, tak bardzo jestem podekscytowana, wstaję z łóżka, zapalam światło, bezmyślnie przesuвам bibeloty na szafkach. Czy Marinie spodoba się mój pokój? Uśmiecham się do siebie, przypominam sobie, że to samo pytanie zadałam sobie nie tak przecież dawno w Barcelonie, przed pierwszą wizytą Mariny w pokoju, który dzieliłam z Karen.

A przecież to takie nieistotne.

Ona jutro tu będzie. Zamykam oczy i czuję, jak serce bije mi radośnie i niecierpliwie.

Zamykam oczy.

Ona jutro tu będzie.

9 VII

Dosyć często zastanawiam się, czy związek z Mariną dał mi coś pozytywnego. Na razie widzę tylko smutek i złość, że nam nie wyszło, ale gdybym się porządnie zastanowiła...

Najważniejsze jest to, że przekonałam się, że naprawdę potrafię kochać, że to nie był tylko stan zakochania, coś, co przemija. Że kocham nie tylko wtedy, kiedy wszystko jest dobrze i pięknie, kiedy wszystko jest łatwe. Kocham, nawet mocniej, osobę, która czasami mi mówi przykre rzeczy, jest cały czas w złym humorze, płacze albo się skarży...

Wtedy chyba nawet kochałam ją bardziej. Czułam, jak jest mi bliska, moja miłość nie mieściła się w sercu i aż bolała, tak ją intensywnie przeżywałam.

Czego nauczył mnie rok spędzony razem z Mariną w Polsce? Wiem już, że nie mogłybyśmy nigdy zamieszkać w tym kraju, mimo że ona tego kiedyś chciała, była zafascynowana gościnnością Polaków, kulturą, tradycjami. Wszyscy byli dla nas tacy mili, szczególnie dla niej, bo z innego kraju, bo stara się mówić po polsku, bo taka odważna, że opuściła swoją rodzinę... Gdyby ci wszyscy, którzy tak miło się do nas uśmiechali wiedzieli, że jesteśmy razem... Że stanowimy parę, że uprawiamy seks, całujemy się, przytulamy...

Gdybyśmy nie mieszkały w Polsce przez jakiś czas, pewnie nigdy bym tego nie zrozumiała. Pojęłam, że w jej przypadku sama miłość nie wystarczy: bez przyjaciół, bez jej środowiska, ukrywając bez przerwy, kim jest - nie będzie funkcjonować normalnie, zwiędnie.

A ja razem z nią.

To było dla mnie najtrudniejsze do zaakceptowania, myślałam, że obojętnie gdzie będziemy mieszkać, jeśli tylko będziemy tam razem - to wszystko będzie dobrze. Przecież jesteśmy razem i tylko to się liczy. Nadal tak myślę, ale zdaję

sobie sprawę, że to bardzo naiwne z mojej strony. Jeśli kocham, to mogę wszystko i wszystkich zostawić. Wszystko bez wyjątku. Pierwszy raz w życiu byłam na to gotowa i pewna tego, że dla Mariny mogłabym rzucić pracę, której tak długo szukałam, wyjechać do innego kraju, być tam „obywatelem drugiej kategorii”, nic się nie liczyło, tylko aby być z nią.

Myślałam również, że jestem dosyć skomplikowana w pożyciu, bywam uparta, często tylko dla zasady, lubię postawić na swoim i ciężko ze mną będzie Marinie w małym, dwupokojowym mieszkaniu. Teraz, z perspektywy czasu muszę przyznać, że akurat ta sfera życia najlepiej nam chyba się ułożyła. Udało nam się przeżyć w tym małym mieszkanku ponad rok. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni razem, często dwadzieścia cztery godziny na dobę razem - i nie kłóciłyśmy się o sprawy codzienne, typu kto posprząta, ugotuje, opłaci rachunki... Zastanawiam się, na ile to osoba Mariny temperowała mój charakter, może z kim innym kłóciłabym się cały czas? Może to miłość, jeszcze w różowych okularach, sprawiała, że ustępowałyśmy sobie nawzajem? Tego nie wiem.

Poznałyśmy się w sytuacjach codziennych, nie tylko w czasie wyjazdów czy wycieczek, wyjść do kina, a to dla mnie jest sprawdzianem związku, testem drugiej osoby.

Wycieczki, wyjazdy... Wcześniej znałyśmy się tylko z takich wypadów, trwały one długo, to prawda, po dwa, trzy tygodnie, ale to zawsze jest powierzchowne. Można sobie stworzyć „letnio - wyjazdowy” obraz drugiej osoby, siłą rzeczy najczęściej będzie to obraz pełen słońca, entuzjazmu, energii. Zamieszkać razem to już było zupełnie co innego. Bałam się tego. Ale wdzięczna jestem za tę codzienność. Czasami bardziej szarą niż kolorową. Razem śmiałyśmy się, razem płakałyśmy, razem kłóciłyśmy, razem gotowałyśmy,

razem nawet chorowałyśmy. Pamiętam taką noc, kiedy na przemian puszczałyśmy pawia w łazience. Obydwie zatrwałyśmy się widocznie w tej samej knajpce tymi samymi pierogami z kapustą i grzybami. Tulenie jej wtedy, albo wtedy gdy płakała, było dla mnie o wiele bardziej intymne niż spanie ze sobą. Żyłyśmy ze sobą. Dzieliłyśmy ze sobą wszystko.

Marina sprawiła, że żyłam intensywniej. Wcale nie dlatego, że to ona mnie wszędzie ciągnęła. Była o wiele bardziej leniwa niż ja (zauważyłam to dopiero po kilku miesiącach wspólnego mieszkania). Uwielbiam podróżować, ale raczej wybieram miejsca za granicą, lubię poznawać nowych ludzi, lubię mówić w obcych językach, to trochę dla mnie jak wyzwanie... Mój kraj zostawiłam sobie na czas, kiedy będę stara i nie będę miała siły na dalekie podróże. Marina zmusiła mnie do poznania Polski. Tyle chciałam jej pokazać, że zmieniałam się w wulkan energii, perfekcyjnego organizatora wycieczek i poszukiwacza atrakcji w jednej osobie. I cieszyło mnie to. Przez dwadzieścia lat nie zobaczyłam tyle z Polski, co teraz w tak krótkim czasie. Zakopane, Pieniny, Beskidy, morze, Mazury, Warszawa... Gdzie jeszcze nie byłyśmy?

Poza tym poznałam lepiej siebie. Wiem, że potrafię być bardzo, bardzo czuła. Że potrzebuję bliskości fizycznej, że uwielbiałam, kiedy brała mnie w ramiona i przytulała. Tego nie wiedziałam wcześniej. Nie lubię dotyku, przestałam przytulać się do taty, jak miałam cztery, pięć lat, do mamy nigdy się nie przytulałam, przynajmniej nie przypominam sobie takiej sytuacji. Łatwo mi to zrozumieć: mama, zawsze oschła i surowa, nie okazywała mi czułości, sama nie przytulała, nie chwaliła, nie powiedziała, że kocha. Z dzieciństwa pamiętam jedynie pragnienie, żeby ją zadowolić we wszystkim, co robię, czekałam na jej uznanie, pochwałę, której nigdy jednak się nie doczekałam. Z czasem przestałam

o nią zabiegać. Potrzebę czułości realizowałam u taty, często podchodziłam do niego, przytulałam się bez specjalnej okazji. Tata też nie był specjalnie wylewny, ale dla mnie robił wyjątek. Czułam się przy nim tak bezpiecznie, tak dobrze...

Marina nauczyła mnie czerpania przyjemności z dotyku, na początku czułam się w jej objęciach dosyć nieswojo, mimo że bardzo ich pragnęłam... Po jakimś czasie znalazłam w jej ramionach miejsce dla siebie, były dla mnie odskocznią od codziennych trosk, spokojną, ciepłą przystanią.

Nie wiedziałam, że same gesty również nie wystarczą. Że trzeba powiedzieć, że się kocha. Że trzeba powiedzieć, że się lubi z kimś być, że się tęskni, że ktoś jest ważny. Marina powoli i cierpliwie uświadamiała mi tak oczywiste przecież sprawy.

Powinam być jej wdzięczna.

Dlaczego nie jestem?

Powinam zrobić użytek z tego, czego mnie nauczyła, wyjść do ludzi, poznać kogoś...

Dosyć mam już takiego życia. Odpowiadania na pytanie „jak się masz?” zakładania na twarz masek jedna po drugiej. Na użytek kolegów z pracy, sąsiadki, której z uśmiechem trzeba odpowiedzieć na pozdrowienie, dla rodziny. Dla siebie.

Maska ta się uszczelnia, przykleja, zasycha i na świat wychodzi twarz miła, czasem mniej sympatyczna, która nic już nie wyraża.

Powoli zamieniam się w robota, w manekina.

Za to jej mam być wdzięczna?

Bicie serca aż boli, Jezus, mam wrażenie, że za chwilę wyskoczy mi z piersi i wszyscy przechodnie będą mogli podziwiać ogromny, tętniący życiem organ na chodniku. Co do tego, że moje serce jest w tej chwili ogromne, nie mam żadnych wątpliwości. Czuję, jak rozrasta mi się w środku i blokuje wszystkie inne organy: żołądek mam tak ściśnięty, że

nie jestem w stanie nic przełknąć, powietrze też nie ma za dużo miejsca w płucach, bo duszno mi jest niemożliwie. Mam tylko nadzieję, że nie zemdleję z wdziękiem na przystanku komunikacji międzynarodowej, kiedy Marina w końcu przyjedzie. Autobus na razie się spóźnia, niedużo, kilkanaście minut, ale już się martwię, czy przyjedzie. Ogarnia mnie panika i w tej chwili martwię się już dosłownie o wszystko: jeśli Marina w ogóle przyjedzie, czy spodoba jej się Polska? Moja rodzina? Czy nadal będę jej się podobać? Boże, nie potrafię sobie przypomnieć odcienia jej zielonych oczu, nie pamiętam uczucia, jakie wywoływały we mnie jej dołeczki w policzkach. Kto wysiądzie z autobusu? „Moja” Marina czy zupełnie obca osoba? Uświadamiam sobie, że myśląc o Marinie, umiejscawiam ją zawsze w Barcelonie, „moja” Marina to kobieta ściśle związana z Hiszpanią, czy tutaj nasza znajomość nie będzie nienaturalna, jak przeniesiony w inne miejsce kwiat? Czy... Natłok myśli urywa się w pół pytania, bo oto widzę Marinę. Siedzi na ławce na przystanku i spokojnie je jabłko. Nie widzi mnie, obserwuje śpieszących się gdzieś ludzi, uśmiecha się do siebie. Czuję się trochę jak typowy podglądacz: dosłownie wrastam w ziemię i nie spuszczam oczu z dziewczyny, która z pogodnym wyrazem twarzy odprowadza wzrokiem przechodniów. Zauważam, że ludzie odwzajemniają uśmiech, kiedy ją mijają i długo jeszcze nie schodzi im z twarzy. Cała Marina: od razu zjednuje sobie wszystkich wokół, nawet tych, których prawdopodobnie nigdy więcej w życiu nie spotka. W pewnym momencie odwraca lekko głowę i nasze oczy się spotykają, uśmiech na ułamek sekundy znika z jej twarzy, by po chwili powrócić w o wiele szerszym wydaniu, powiedziałabym, że cała Marina jest w tej chwili ciepłym, radosnym uśmiechem. Odkłada niedojedzone jabłko na ławkę, wstaje, podbiega do mnie i zatrzymuje się w pewnej odległości. W tej chwili jest już poważna, patrzy na

mnie szeroko otwartymi zielonymi oczami, są o wiele ciemniejsze, niż zapamiętałam... Próżno szukam na jej twarzy oznak jakiegokolwiek zmęczenia podróżą, jest taka piękna... Dziewczyna robi kilka kroków w moją stronę i przytula się do mnie całym ciałem. Pierwszy raz trzymam Marinę w objęciach, niewiarygodne, jaka jest szczupła i krucha. Obejmuję ją mocniej i czuję, jak Marina gwałtownie nabiera powietrza, wtulam nos w jej szyję i jest mi po prostu dobrze. Nie wiem, ile czasu mogło minąć, w końcu odrywamy się od siebie. Do tej pory nie padło między nami ani jedno słowo. Kiedy wypuszczam Marinę z objęć, zauważam, że jej oczy są pełne łez, mimo że nadal dzielnie się uśmiecha. Mówi, że autobus przyjechał dużo wcześniej, wykorzystwała więc ten czas na spacer po okolicy. Biorę jej torbę, wyjątkowo lekka jak na zagraniczną podróż... (później dowiem się, że Marina w podróży jest minimalistką: im mniej rzeczy do noszenia ze sobą, tym lepiej). Nie mogę oderwać oczu od Mariny, tyle razy widziałam jej twarz w myślach, znam każdy jej fragment, jednak patrzę na nią jak na obcą osobę, dociera do mnie, że przecież nią jest. Z jednej strony ta kobieta jest mi niezmiernie bliska, a z drugiej... Tak niewiele o sobie wiemy. Chciałabym ją poznać, dowiedzieć się, co lubi, czego nie cierpi, co ją cieszy, co doprowadza do płaczu, jaka była jako mała dziewczynka. To wszystko jeszcze przede mną. Przed nami. Na razie mamy kilka dni tylko dla siebie.

Obydwe jesteśmy skrępowane, to już nie kurs językowy gdzieś w egzotycznym kraju, gdzie możemy się spotykać „przypadkiem” i udawać, że właśnie tak jest. Przyjazd Mariny to świadoma decyzja, moja zgoda na spotkanie z nią również. Teraz już nie możemy przed sobą udawać.

10 VII

Budzę się z uczuciem buntu. Całą noc śniłam o Marinie, o tym, jak nam było ze sobą cudownie... Muszę jednak przyznać sama przed sobą, że nie zawsze było różowo. Wczoraj dokonałam rozrachunku naszego związku tylko z jednej strony, skoncentrowałam się na rzeczach pozytywnych. Nie wiem, dlaczego nadal mam ochotę idealizować nasze wspólne życie. Może tak jest łatwiej? Przynajmniej mam usprawiedliwienie dla mojego smutku i żalu. Gdzieś przeczytałam, że w pewien czas po rozstaniu powinno się zrobić bilans związku. Wziąć pustą kartkę i jasno wypisać wszystkie pozytywne i negatywne aspekty. Nie chce mi się pisać, dlaczego nadal chciałabym być z Mariną, wydaje mi się, że cała jestem przesiąknięta tym pragnieniem: jest w moich myślach, marzeniach, snach. Wypiszę sobie czarno na białym, drukowanymi, wielkimi literami wszystko to, co było nie tak. A potem powieszę sobie nad łóżkiem i co wieczór przed zaśnięciem będę czytać. Może wtedy zmądrzeję.

Bardzo w to wątpię, ale mogę spróbować.

Przetrząsam szuflady w poszukiwaniu jakiegokolwiek papieru. Przydałoby się zrobić porządek, tyle rzeczy się nagromadziło od wyjazdu Mariny, do niektórych w ogóle nie zaglądam, omijam je szerokim łukiem, jednak mam świadomość, że są: ulubione bransoletki Mariny z pomarańczowych, drewnianych koralików, jakieś zapiski, listy zakupów pisane jej ręką, pocztówki. Prawie wszystko wyrzuciłam kilka dni po rozstaniu, do tej szuflady jednak nigdy nie zaglądam. Biorę do ręki cienki zeszyt w kratkę: z okładki głupio uśmiecha się żyrafa o ogromnych zębach. Otwieram. Na pierwszej stronie tabelki, spisy, wyliczenia... „Zeszyt gospodarstwa domowego”, jak nazywałyśmy go z Mariną. Była o wiele lepszą gospodynią niż ja, muszę przyznać. Starannie planowała wydatki, zapisywała, ile

wydałyśmy, pilnowała rachunków... Dzięki niej nie miałyśmy kłopotów finansowych, czynsz i media opłacone w terminie, szafka i lodówka zawsze pełne.

Znowu rzeczy pozytywne. Miałam skupić się na wadach i niedoskonałościach naszego związku. Myślę, że ten zeszyt będzie bardzo dobry. Przewracam kilka kartek, biorę długopis do ręki i zastanawiam się, jak zacząć.

Myśląc o rzeczach negatywnych, nie potrafię ich określić jako „minusy”, tylko raczej jako rzeczy trudne.

Chyba cała nasza sytuacja była trudna.

Nie wiem, dla kogo bardziej.

Dla niej, kiedy już wiedziała, że nie chce być ze mną, tylko jeszcze nie umiała się ode mnie uwolnić? Czy dla mnie, kiedy to zobaczyłam po raz pierwszy w jej oczach, a potem już zawsze ze strachem tego szukałam?

Często wtedy płakałyśmy. I razem, i osobno.

Przerastało mnie to, że nic nie mogę zrobić, żeby poczuła się lepiej. Zapominałam wtedy o sobie, że powinnam działać, zrobić coś i dla siebie, bo wcale nie czułam się lepiej, ale jej smutek pochłaniał mój, ona wnikała we mnie, a mnie już nie było. Teraz dopiero wiem, że to było bardzo złe.

Widziałam, że jest nieszczęśliwa i nie rozumiałam dlaczego, przecież byłam obok! Przecież mnie kochała. Bardzo mnie to bolało. Zastanawiałam się, czy gdyby byli z nią jej przyjaciele, Franciszka czy Fabian, nie czułaby się mniej samotna?

Głupia zazdrość, wiem, ale nic na to nie potrafiłam poradzić.

Kiedy dzwoniła do domu i na krótką chwilę jej głos stawał się radosny, siedziałam obok, słuchałam jej, nienawidziłam wtedy siebie, że nie potrafię sprawić, aby była szczęśliwa, nie potrafię jej pocieszyć. Nienawidziłam siebie, bo już wtedy powinnam była ją wyrzucić, kazać jej odejść. Nie potrafiłam

się na to zdobyć. Chciałam ją mieć dla siebie, przy sobie, obok. Na zawsze.

Czułam się wtedy taka samotna. Samotna z osobą, którą kocham, która dzieli ze mną życie, mieszkanie, która jest pół metra ode mnie... Tak blisko, a jednak tak daleko, to okropne uczucie.

Czułam się taka bezsilna.

Nic nie mogłam zrobić.

Czy na pewno?

14 VII

Jestem na siebie wściekła. Nie dalej jak kilka dni temu dostrzegałam pozytywne cechy mojego związku z Mariną, a dzisiaj już nie widzę żadnych. W każdym razie widzę, że to wszystko na nic. Nie wiem, czy potrafię to, czego się nauczyłam przenieść do innego związku, jeśli go kiedykolwiek będę miała.

Wiem już teraz, że w związku trzeba mówić. Nic nie zastąpi dialogu, rozmowy o tym, co się czuje, o rzeczach głębokich, o samym związku, o uczuciach. W ten sposób poznajemy się lepiej, rozumiemy się lepiej, tylko rozmowa potrafi stworzyć szczególny rodzaj intymności między dwojgiem ludzi. Problemy można rozwiązać, rozmawiając, jeśli nie - wszystko się gromadzi, żeby potem wybuchnąć w najmniej oczekiwanym momencie.

To niby wiem. Ale już czuję, że się schowałam do kokonu i jeśli ktoś zbierze się na odwagę, żeby mnie z niego wydobyć... nie wiem. co znajdzie.

Życzę szczęścia.

Temu komuś, oczywiście.

No i sobie.

Sobie może przede wszystkim.

Wychodzi ze mnie egoistka.

Dzięki Marinie zadaję sobie coraz więcej pytań, które mnie dotyczą. Staram się w siebie wsłuchiwać i naprawdę usłyszeć, co mam sobie do powiedzenia, staram się zobaczyć to, co jest dobre, ale i to, co jest złe we mnie. Wydaje mi się, że dzięki temu znam siebie lepiej. Nie wiem jednak, czy to działa na dłuższą metę.

Pokazała mi, jak okazywać uczucia i jak o nich rozmawiać. Pokazała mi, że kiedy płaczę, nie muszę się chować w pokoju. Zawsze bardzo pilnowałam, żeby w domu nikt nie widział moich łez. Powstrzymywanie płaczu

opanovałam do perfekcji, wystarczyło wbić paznokcie w dłonie i zacząć myśleć o czymś innym. Najczęściej działało. Półokrągłe, księżycowate ślady mam do dziś na wewnętrznych stronach dłoni, obok kciuka. Może dlatego byłam postrzegana jako dziecko spokojne, pogodne, niesprawiające kłopotów. Co za ironia losu. Ostatni raz płakałam, jak upadłam na podwórku i zdarłam sobie kolana do krwi. To było tak dawno temu. Potem moich łez nie widział nikt. Tylko cztery ściany mojego pokoju.

Marina pokazała mi, jak dobrze wziąć kogoś w ramiona tak sobie, bez szczególnej okazji, dla czystej przyjemności dotyku, poczucia ciepła ciała drugiej osoby, świadomości, że ktoś jest obok. Naprawdę tuż, na wyciągnięcie ręki. Pamiętam radość w jej oczach, kiedy po raz pierwszy sama się do niej przytuliłam, wcześniej tylko byłam przytulana, nie robiłam pierwszego kroku, mimo że bardzo tego pragnęłam. W objęciach Mariny zapominałam o wszystkim. Świat kurczył się do granic jej ramion.

Wcześniej nie wiedziałam, że to takie piękne uczucie. Wystarczyło jednak, by mi to pokazała.

Pokazała.

Ale czy nauczyła?

Czy ja się tego nauczyłam?

Dużo się nauczyłam. Bardzo dużo, ale powoli zapominam.

Nie chcę zapomnieć, jak to jest, kiedy trzyma się w ramionach ukochaną osobę. Jak czas wtedy leniwie płynie, jak sekundy odmierzane są biciem dwóch serc.

Nie chcę zapomnieć.

Od czasu wyjazdu Mariny nie chodzę do kościoła, a przecież dawniej często wstępowałam tam na krótką modlitwę. Marina pokazała mi, jak można pojmować Boga. Nie jak trzeba, ale jak można. Inaczej. Wiem już, że

widziałam Go w sposób zbyt obrazowy, raczej jak obraz albo symbol, był dla mnie zbyt nieruchomy i daleki.

Wiem już teraz, że nie ma dobrej ani złej wiary czy religii. Wszystko zależy od nas, jak my ją przyjmujemy, co z nią zrobimy i jak się zachowamy. Bóg jest jeden, mimo że ma wiele imion i wiele wyobrażeń. Ale to nadal ten sam Bóg.

Jej Bóg był dobry.

Nasz Bóg był dobry.

Na pewno się uśmiechał, kiedy widział, jak idziemy i trzymamy się za ręce.

Nie wiem jednak, gdzie On teraz jest. Nie widzę Go. Nie czuję. Obwiniam Go za to, co się stało. I za Marinę, i za wszystko inne.

Trwania przy Bogu i szukania w Nim pociechy też się nie nauczyłam.

Może źle zrozumiałam lekcję.

Czy świadomość popełnionych błędów ustrzeże mnie przed ich powtarzaniem w kolejnych związkach? Czasem myślę, że zawsze będę popełniała te same. Bo one są częścią mnie.

Czy jestem stworzona z błędów?

Nie zauważyłam momentu, w którym Marina stała się dla mnie zbyt ważna. Stała się centrum mojego życia.

Moim wszechświatem.

Alfą i omegą.

Rodziną, przyjaciółką, kochanką.

Zaniedbałam rodzinę, pracę, znajomych, babcię. Gdziekolwiek byłam i co robiłam, biegłam jak mogłam najszybciej, żeby być z powrotem w domu, z nią. Wiedziałam, że nie lubi być sama, nie chciałam, żeby była sama. Jedyne, co mogłam zrobić, to być razem z nią. Zmusiłam ją do poznania koleżanek, do wychodzenia z domu, do wyjazdu na święta do Armenii, mimo że tak chciałam spędzić je z nią.

Teraz dopiero widzę, jak bardzo byłam na niej skoncentrowana. Proszę Boga, żeby już nigdy to się nie powtórzyło. Żebym sobie na to nie pozwoliła, albo żeby nikt mi na to nie pozwolił. Widzę, że nie umiem za bardzo znaleźć równowagi, tych proporcji, które są zdrowe i potrzebne - pomiędzy mną a partnerką. Wiem, że partnerki powinny nawzajem pomagać sobie stawać się sobą. Ona musi mi pomóc stać się mną, a ja muszę jej pomóc stać się nią.

Tego nie potrafię.

Wiem, co to znaczy, trzeba pozostać sobą, nie dać się wchłonąć przez partnera, nie zapominać o sobie. Nie zmieniać się tylko dla niego, aby mu się podobać.

Wiem to.

Rozumiem nawet.

Ale nie potrafię tego zastosować w praktyce.

Zawsze myślałam, że jestem sobą, że wiem, czego chcę, że nigdy nie zrobię niczego, żeby tylko komuś się podobać. Chciałam stać się jej ideałem, którym przecież nie jestem. Nie ma czegoś takiego jak ideał. Wiedziałam o tym, ale mimo to próbowałam.

Bezskutecznie.

Próby z góry skazane na niepowodzenie.

To, że próbowałam też było błędem. Wiedziałam przecież, że nigdy mi się to nie uda. Poprzeczka była za wysoko. Za wszelką cenę chciałam być bardziej inteligentna, piękniejsza, mądrzejsza. W tym jest moja wina. Przekroczyłam pewne granice. A tego robić nie wolno.

A z drugiej strony... Wcale tego nie chciałam. Nie jestem ludzikiem z gliny, którego można formować i nadawać mu takie kształty, jakie się chce. Przecież wtedy nie byłabym sobą.

A przecież ona mnie kochała. Taką, jaka jestem.

I też dlatego, że jestem taka, a nie inna - mnie zostawiła.

I gdzie tu logika?

Zrozumiałam zbyt późno, że Marina nie robi ze mnie innej osoby, która myśli inaczej, mówi inaczej, działa inaczej.

Nie chciałam zrozumieć, bo to z mojego powodu, mojej osobowości, która jest taka, a nie inna, bo jestem taka, jaka jestem - powiedziała mi, że nie potrafi sobie wyobrazić wspólnego życia ze mną.

Gdybym tylko była inna... Chciałam być inna, bo chciałam być z nią. Nie wiem, ile razy dziennie tak myślałam. To straszne, bo w tych myślach jest zaprzeczenie mnie.

Wyparcie się mnie samej.

Staram się sobie wytłumaczyć, że to i lepiej.

Ale jakoś nie potrafię.

Nie wiedziałam, że życie może być taką bajką. Marina zjednała sobie całą moją rodzinę, łącznie z babcią. Nie wątpiłam w to, że ją polubią, ale obawiałam się reakcji mamy na gościa. Kiedy jednak teraz patrzę na nie, jak przygotowują kanapki w kuchni, czuję, jak moja miłość do Mariny pęcznieje z każdą sekundą. Jednocześnie odczuwam lekką zazdrość, że wobec mnie mama nigdy nie jest taka swobodna i uśmiechnięta. Nie wiem, czy to dobre maniery wobec nieznajomej, czy po prostu Marina w ciągu kilku godzin potrafiła dotrzeć do jej serca tak, jak dotarła do mojego. Nie umiem oprzeć się wrażeniu, że rzuciła czar na cały dom, moją rodzinę, na mnie samą. Wszystko mi jedno, czy to magia, czy nie. Niech trwa.

Rodzice są poinformowani, że Marina nie je mięsa ani ryb, więc na czas jej wizyty staliśmy się wszyscy wegetarianami. Nie mam pojęcia, jak długo wytrzymam, bo jestem wybitnie „mięsożerna”, ale na chwilę obecną żołądek mam tak ściśnięty ze szczęścia, że i tak nic nie będę mogła w siebie wmusić. Będę pożerać wzrokiem Marinę, to na pewno mi wystarczy.

Cuda dzieją się w moim domu! Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wszyscy siadamy razem, całą rodziną do kolacji. Pamiętam, jak miałam kilka lat, to jeszcze jedliśmy wszyscy razem przy wielkim drewnianym stole w kuchni. Potem, z biegiem lat każdy zabierał talerz i jadł tam, gdzie mu wygodnie: tata przed telewizorem w pokoju, siostra u siebie w pokoju, ja w kuchni, a mama to nawet nie wiem, kiedy i gdzie jadła. Jedyne momenty, kiedy rodzina zbiera się razem, to urodziny czy święta, ale zawsze mam wrażenie, że kompletnie do siebie nie pasujemy, nawet rozmawiać nie potrafimy jak dawniej.

A Marina... Marina wydaje się zupełnie swobodna w otoczeniu obcych jej przecież osób. Lekko zarumieniona prowadzi konwersację z moim tatą, nie za bardzo wiem, o czym rozmawiają, wyłączyłam się na moment, zresztą rosyjski nigdy nie był moją mocną stroną w szkole. Muszę wpatrywać się w nią jak sroka w gnat, bo przechwytyje mój wzrok i lekko się uśmiecha, jej oczy błyszczą podnieceniem, nie dziwię się, że wszyscy, łącznie ze mną, są pod jej urokiem. Jeszcze parę dni temu obawiałam się reakcji rodziców na nieoczekiwanego gościa, myślałam, że będzie nudno, oficjalnie i sztywno, a tymczasem... Dawno już nie czułam się taka szczęśliwa. Dzięki obecności Mariny znowu czuję, że mam rodzinę. Czy to nie paradoks, że uświadamia mi to osoba z zewnątrz?

Marina chce wiedzieć, jakim byłam dzieckiem. Tylko nie to! Wiem, że robi to specjalnie, aby mnie speszyć. Protestuję, ale ona z lekkim złośliwym uśmieszkiem kontynuuje sondę. Opowiastki o tym, że już w wieku dziewięciu lat omijałam szerokim łukiem szkołę, o przedszkolnych bijatykach, pierwszych papierosach czy majtkach zgubionych w basenie są dla mnie szczególnie krępujące. Nie wiedziałam jednak, że rodzice nadal je pamiętają i robi mi się ciepło w okolicy serca, pomimo lekkiego zawstydzenia przed Mariną. Ona jednak

śmieje się do rozpuku przy każdym zwrocie akcji. Tata zdradza, że zawsze miałam kulinarne ciągotki, w czasach przedszkolnych podczas nieobecności rodziców "gotowałam" różnorakie potrawy, które najczęściej były niejadalne. Mama potem znajdowała w szafach z ubraniami, pod fotelami, za kanapą twarde jak kamień „ciasteczka” czy pokrytą już szarym nalotem polewę czekoladową. Historyjka oczywiście brzmi zabawnie i sama się uśmiecham pod nosem, jednak dobrze pamiętam awantury, jakie mi urządzała po każdym znalezionym eksperymencie kulinarnym. Do tej pory nie mogę zrozumieć, dlaczego upychałam te wszystkie resztki po całym domu, zamiast je po prostu wyrzucić i tym sposobem pozbyć się dowodów wykroczenia. Widocznie to przerastało mój kilkuletni umysł. Zresztą... To było tak dawno temu. Patrzę na rodziców, jak bardzo się postarzel, oboje już siwiutcy jak gołąbki, jeszcze pełni energii, ale nie da się ukryć, że są już w podeszłym wieku.

Mama daje mi znaki, że może Marina powinna już odpocząć, trzeba ją wyrwać z kręgu wspomnień taty. Jestem jak najbardziej za: widać, że mój staruszek bardzo się rozkręcił, potrzebne mu było audytorium, a Marina to znakomita słuchaczka. Spoglądam na nią, rzeczywiście wygląda na zmęczoną. Nic dziwnego, spędziła ponad dwadzieścia godzin w podróży.

Pytam, czy chciałaby już się położyć. Waha się przez chwilę, z widocznym żalem spoglądając na mojego tatę, ale w końcu powoli potakuje.

Sprzątam ze stołu, prawie fruwając nad podłogą. Marina widocznie bierze już prysznic, bo z łazienki dochodzi cichutkie, odrobinę fałszywe nucenie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mam ją tutaj, jest w łazience, wykonuje normalne, codzienne czynności, myje zęby, wkłada piżamę... Mam ochotę również podśpiewywać sobie pod nosem, jednak

mój dobry nastrój mógłby wydawać się rodzicom zbyt podejrzany, płuczę ostatni talerz, odkładam na suszarkę i uśmiecham się sama do siebie. Niewiarygodne, jak chce mi się żyć.

Marina już w piżamie staje w drzwiach kuchni, nie wiem, czy patrzę na nią nadal przez różowe okulary, ale po raz kolejny tego dnia uderza mnie myśl, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam. W sztucznym oświetleniu jej oczy są ogromne, wydają się prawie czarne, jeszcze mokre po kąpieli włosy zwijają się w drobne loczki na jej karku i czole. W męskiej piżamie w zieloną kratkę wygląda trochę jak młody chłopak. Odkładam ścierkę, gaszę światło i idziemy do mojego pokoju. Jakoś będziemy musiały się pomieścić. Marina będzie spała na moim łóżku, a ja na rozkładanym obok. Wskakuje do łóżka, zakrywa się kocem pod sam nos i uśmiecha się do mnie spod zmrużonych powiek. Dałabym dużo, żeby położyć się obok niej, ale nie potrafię się na to zdobyć. Mówię tylko, że teraz moja kolej na prysznic i zamykam za sobą drzwi. Założę się, że Marina pomyślała o tym samym co ja. Śmieszne, jak dwie dorosłe kobiety mogą być skrepowane swoją obecnością, której przecież pragną.

Ciepła woda spływa po moim ciele, po plecach, piersiach, brzuchu. Unoszę głowę i pozwalam, by delikatnie obmyła mi twarz. Wyobrażam sobie, że to dłonie Mariny gładzą moją skórę... Niewiarygodnie przyjemne uczucie. Przerywam niechętnie marzenia, nie mogę stać w nieskończoność w kabinie prysznicowej, jutro rano jedziemy na Mazury, musimy wcześniej wstać, poza tym... przecież na górze ktoś na mnie czeka. Wskakuję w piżamę, prawie się nie wycierając, jeszcze tylko zęby i prawie biegnę schodami na górę, modląc się, żeby nie trafić na skrzypiący stopień. Udało się, cicho otwieram drzwi. Słyszę spokojny oddech Mariny. Nie wiem, czy śpi,

czy udaje, na samą myśl uśmiecham się pod nosem, w każdym razie nie będę jej budzić, gdyby spała naprawdę.

17 VII

Kolejny letni poranek. Mam dosyć zasypiania i budzenia się sama! Co jest ze mną nie tak? Przecież osoba, która mnie kocha powinna mnie zaakceptować taką, jaka jestem.

To nie znaczy, że nie ma we mnie rzeczy, które powinnam zmienić. To rozumiem dzięki Marinie. Nie powinnam po prostu ze spokojem mówić: jestem, jaka jestem.

Koniec.

Kropka.

W związku powinno być miejsce na kompromisy, które jednak nie zmieniają mnie całkowicie. Powinnam zmienić w sobie te rzeczy dla siebie, przede wszystkim dla siebie, a nie dla kogoś innego, po to jednak, żeby to nam było lepiej, biorąc pod uwagę osobę, z którą jestem.

Nie potrafię powstrzymać gorzkiego uśmiechu, który powoli wypływa mi na wargi. Jaka ja jestem mądra! Mogłabym być ekspertem doradzającym parom, jak powinno się żyć w związkach. Dlaczego tego nie wiedziałam wcześniej? Zresztą, czy to zmieniłoby cokolwiek?

Nie sądzę.

Wiem, że powinno się dużo rozmawiać w związku, ale fakt, że to wiem, nie zmieni mnie w osobę gadatliwą, która potrafi paplać przez cały dzień. Powinnam jednak próbować rozmawiać, dzielić się tym, co dla mnie ważne, co mnie boli, co myślę, co czuję.

Wiem, że powinnam zmienić moje nastawienie do ludzi. Nie dlatego, że tak chciała Marina, tylko dlatego, że to wyszłoby mi na dobre. Wiem również, że nie jestem osobą zbyt towarzyską, nigdy nie będę duszą towarzystwa, bo tego po prostu nie chcę. Ale powinnam wykazać minimum dobrej woli i czasem zapomnieć o strachu.

Okręcam się mocniej kocem, jest połowa lipca, ale dzisiejszy ranek jest chłodny, deszczowy, prawie jesienny.

Czuję, że będzie pełen myśli o Marinie i refleksji o nas. Gdyby istniał sposób na całkowite wyczyszczenie pamięci, poddałabym mu się bez wahania. Jestem zmęczona pamięcią.

Co jeszcze zepsułam w naszym związku?

Pewnie dużo innych rzeczy. Żałuję teraz, że wcześniej nie powiedziałam Marinie, że dla mnie nasz związek również nie był cały czas sielanką, że ja też płakałam, jak nie widziała. Faktem jest, że ona zauważyła to wszystko dużo wcześniej. Na pewno dostrzegała o wiele więcej niż ja rzeczy, które nam nie pozwalały być razem. Ja do końca byłam przekonana, że mogę z nią być.

Nie wiem, dlaczego tak zrobiłam.

Starłam się uratować nas za wszelką cenę. Chciałam dać jej przykład, że mimo trudności możemy być razem, jeśli się kochamy, że to wystarczy.

Bałam się też, że jeśli powiem jej, że dla mnie też nie wszystko jest takie różowe, to odejdzie. Wiedziałam, że i tak to zrobi pewnego dnia, ale nie byłam przygotowana, że tak szybko.

Moim błędem było odpychanie, odsuwanie od siebie nieprzyjemnych rzeczy. Myślę, że to był mój sposób na przetrwanie w tej sytuacji.

Pomagało mi to jakoś ją zaakceptować i nie zwariować przy okazji. Aby żyć normalnie, musiałam nie myśleć o tym, że ona jest nieszczęśliwa, że to wszystko nam się sypie.

Największym błędem było życie „tu i teraz”. Wszystko we mnie krzychało, żeby planować, myśleć o przyszłości, wybierać kraj, w którym będziemy żyć... Zaakceptowałam jej postawę, że na razie nic nie wiadomo, że zobaczy się potem.

Nie zgadzałam się z tym.

Tak bardzo chciałam potwierdzenia, planów, wspólnej przyszłości. Musiałam zgodzić się, żeby o tym nie myśleć, nie myśleć o „potem”. Tym bardziej że od pewnego czasu tego

„potem" już nie było. To była cena, którą musiałam zapłacić, żeby jeszcze trochę z nią побыć. Jeszcze parę miesięcy, parę tygodni...

Cena niepotrzebna.

Za wysoka.

Ta strategia przecież może działać tylko przez krótki czas. Niemożliwe jest nieustanne odpychanie wszystkiego. Czulałam się, jakbym sama przed sobą kłamała. Byłam zbyt słaba, żeby zaakceptować prawdę. Nie chciałam tej prawdy, bo oznaczała koniec między nami.

Bardzo męczące jest życie terażniejszością.

Życie terażniejszością z osobą, którą się kocha jest koszmarem.

Niemożliwe.

Uważać, żeby broń Boże nie pomyśleć, co będzie dalej, nie planować. Ja nawet chyba nie żyłam terażniejszością!

Sądziłam, że sama miłość wystarczy. Aż do momentu, w którym mnie zostawiła, poczułam wtedy, jak wszystko, co zbudowałam wokół tej miłości rozsypuje się jak domek z kart.

Tak bardzo chcę być kochana, że bywam bardzo naiwna. Kiedyś Marina powiedziała mi, że ludzie to zauważą i zawsze będą wykorzystywać. Że za szybko wierzę w słowa. Za szybko? Ja? Faktem jest, że jej słowa do dzisiaj pozostały w moim sercu i nadal do końca nie wierzę, że to koniec między nami.

A przecież tak jest.

Bo przecież to były tylko słowa.

Tylko słowa.

Aż słowa.

Może ja rzeczywiście jestem kompletnie pozbawiona rozsądku? Wiedziłam zawsze, że myślę raczej sercem niż rozumem, kieruję się emocjami... Powinnam nauczyć się łączyć oba te elementy: serce i rozsądek.

Nie wiem, czy potrafię. Ale powinnam. Bo kierując się tylko sercem - zawsze będę cierpieć.

Powinnam teraz wykrzyknąć „eureka!”, czy coś podobnego.

Bajki ciąg dalszy. Jesteśmy już z Mariną na Mazurach. Celowo wybrałam małą, w ogóle nieznaną miejscowość. Jest późny wieczór, nad brzegiem jeziora pustki. Wymarzona sceneria do romantycznej przygody. Jestem przepelniona miłością do tej kruchej istotki idącej obok mnie. Jestem przekonana, że uczucie to wychodzi każdym porem mojej skóry, wiem, że Marina to widzi i... wcale mi to nie przeszkadza. Dochodzimy do naszego domku, udało nam się wynająć całkiem niezłe lokum: nad samym jeziorem, niezbyt drogie, zresztą z Mariną mogłabym mieszkać obojętnie gdzie. Wchodzę do środka, Marina zostaje jeszcze na zewnątrz, obserwuję ją przez okno, wysypuje piasek z butów, siada na ławce przed domkiem i zamyka oczy. Ciekawe, o czym myśli.

Zrobiło się chłodno, stawiam wodę na małej turystycznej kuchence, działa tylko jedna, najmniejsza płytką, więc zagotowanie wody zajmie wieki. Szukam kubków, niestety, kuchnia nie jest wyposażona najlepiej, znajduję tylko szklanki. Od wieków nie piłam herbaty w szklance.

Słyszę w korytarzu kroki, widocznie Marina skończyła już medytować. Wchodzi do kuchni zdecydowanym krokiem, zatrzymuje się w połowie, patrząc na mnie bez słowa. Przez chwilę mierzymy się wzrokiem, Marina podchodzi bliżej, bierze mnie w ramiona. Cały czas patrzy jednak na mnie, szukając w moich oczach choćby cienia wahania. Nie znajduje. Jej dłonie gładzą mój kark i przyprawiają mnie o rozkoszne dreszcze. Wysuwam się jednak z jej objęć, biorę ją za rękę i prowadzę do salonu. Nie chcę się spieszyć. Czekałam już tak długo, trawiona niecierpliwością i niezaspokojeniem, że odnajduję perwersyjną przyjemność w przedłużaniu

oczekiwania. Chcę zapamiętać tę noc na długo. Chcę zatrzymać wspomnienia tych chwil w pamięci tak długo, jak to tylko możliwe.

Jej dłoń jest ciepła, czuję delikatne tętno, bije szybko, nierówno. Jej palce leciutko badają wnętrze mojej dłoni. W miejscu, gdzie stykają się z moją skórą czuję delikatne mrowienie. Marina pochyla się i muska ją ustami. Mrowienie staje się coraz silniejsze. Zamykam oczy, gładzę Marinę po karku, ale robię to bezwiednie, koncentruję się na własnych doznaniach. Pozwalam, by zdjęła mi bluzkę, rozpina mój stanik, uwalnia piersi, przykrywa je dłońmi i delikatnie masuje. Podniecenie ogarnia mnie od stóp do głów. Najpierw jest leciutkie, potem zamienia się w pulsowanie na granicy bólu. Moje ciało krzyczy, pragnie spełnienia, chcę poczuć Marinę w sobie, roztopić się w niej, pozwolić jej stopić się ze mną.

Otwieram oczy i widzę zielone oczy Mariny patrzące prosto w moje. Dostrzegam w nich tę samą prośbę, to samo pragnienie. Przesuwam ręce po jej szczupłych plecach. Przez chwilę gładzę delikatny satynowy materiał. Palce same odnajdują zapięcie stanika. Jej piersi są drobne, z różowymi sterczącymi sutkami. Wtulam w nie twarz, dotykam ich językiem. Czuję, jak Marina wstrzymuje oddech i słyszę jej delikatne jęknięcie. Czuję bicie jej serca, niesamowite bum, bum, bum, coraz szybsze, nieregularne. Marina jest niecierpliwa, kieruje moją dłoń w dół, pozwalam jej na to, moje palce wędrują ulegle po jej brzuchu, zataczają kółka wokół jej pępka, ona jednak przesuwą się tak, by moja dłoń znalazła się jeszcze niżej. Nie zdejmuję majtek, przesuwam tylko na jedną stronę, drażnię się z Mariną, delikatnie omijam jej najwrażliwsze miejsce, ona jednak pręży się pod moją ręką i nie potrzebuje delikatnych pieszczot, wiem to, ale chcę, żeby dzisiaj to ona zajęła się mną. Odsuwam rękę, słyszę jęk

zawodu Mariny, spoglądam na nią. Jej oczy są ogromne, pożądanie i półmrok w pokoju zabarwiły jej tęczęwki na granatowy, prawie czarny kolor. Widzę w nich odbicie swojej twarzy. Uśmiecham się lekko do siebie. Przyciągam Marinę bliżej. Zbliżam wargi do jej ust, ale jej nie dotykam. Czuję tylko delikatne, ciepłe oddechy: mój i Mariny, zmieszane razem. Odwracam lekko głowę i czuję usta Mariny na swojej szyi. Lekko skubie ją wilgotnymi wargami, smakuje językiem coraz bardziej gwałtownie. Ciszę panującą w mieszkaniu przerywają drobne, krótkie dźwięki wydawane przez jej łakome usta smakujące moją skórę. Moje podniecenie sięga szczytu, ale chcę jeszcze przedłużyć te chwile, rozciągnąć w czasie. Niech trwają... Przechyliłam szyję, żeby jej wargi odnalazły miejsce, gdzie bije puls, Marina bezbłędnie odgaduje moje pragnienie. Po chwili czuję, jak puls staje się coraz mocniejszy, czuję, jak dudni mi w uszach, w głowie. Skóra na szyi rozgrzewa się pod dotknięciem ciepłego, wilgotnego języka Mariny. Podoba mi się niecierpliwa namiętność jej ust. Jest zapowiedzią tego, co jeszcze mnie czeka. Chcę poczuć jej usta i język wszędzie, w każdym zakamarku mojego ciała. Tymczasem pozwalam jej znaczyć wilgotne ślady na mojej szyi. Marina przewraca mnie delikatnie na brzuch i zaczyna masować moje plecy. Czuję, jak jej palce zataczają kółka, kreślą fale i bliżej nieokreślone esy - floresy. Czuję przyjemny dreszcz, kiedy dotyka mnie wzdłuż kręgosłupa. Mogłabym poddawać się temu uczuciu przez całą noc. Odprężam się. Głowa Mariny wędruje niżej, zatrzymuje się na granicy moich pośladków. Jej oddech parzy, czuję, jak ciepło rozlewa się po moim ciele. Odwracam się, jej głowa jest teraz na wysokości mojego pępka. Całuje mnie tam delikatnie, jednocześnie gładząc wewnętrzną stronę moich ud. Nie chcę już czekać, popycham jej głowę niżej, jednak Marina wycofuje się. Czuję, że się uśmiecha. Widocznie zamierza się

ze mną podroczyć. Jest pewna siebie, wie, że w pieszczotach i kochaniu żadna nie może się z nią równać. Mam ochotę jej wykrzyknąć: „Zrób ze mną to, co wiosna robi z drzewami”. Spraw, żebym pragnęła cię więcej i więcej, żebym pragnęła siebie. Żebym nie potrafiła powstrzymać jęku rozkoszy. Marina sprawia, że potrzebuję jej w tym momencie jak nikogo do tej pory, mam wrażenie, że nikt, nawet ona, nie potrafi ukoić mojego pragnienia, mam potrzebę dotknięcia jej ciepłej skóry, chcę poczuć, jak przebiegają ją dreszcze pod moimi palcami, potrzebuję gładzić jej policzki, pieścić wargami, gładzić jej uda, brzuch, plecy, muskać jej piersi. Chcę widzieć, jak zamyka oczy, przygryza wargi i powstrzymuje jęk. Nie jestem jednak w stanie zrobić żadnego ruchu. Jej zielone oczy mnie hipnotyzują, przewiercają na wylot. Chciałabym zetrzeć z jej warg ten zwycięski uśmiezek. Dobrze wie, jak na mnie działa. Jestem dla niej otwartą księgą. Przesuwa lekko palce w dół, czuję się, jakby przebiegały przeze mnie prądy. Nie chcę jej palców, chcę poczuć jej pocałunki. Marina całuje mnie po brzuchu, schodzi niżej, ale za chwilę znowu rozpoczyna wędrówkę po pępku. Moje podniecenie wzrasta, łapię się na tym, że moje dłonie mocno wczepiają się w jej ramiona, zostawiając bladoczerwone znaki na jej skórze. Zanurza się w końcu między moje uda, czuję jej oddech. Marina nie pragnie zdobywać, pragnie się delektować, nie pragnie fizycznego wyżycia, opływającego potem zmęczenia, jej ruchy są powolne, doprowadzają mnie do szaleństwa. Czuję w sobie jej palce, porusza nimi leniwie, od niechcienia. Gorące fale rozlewają się po moim ciele jak kręgi na wodzie. Marina całuje, ssie moje najczulsze miejsce, a cały mój świat kurczy się właśnie do tego miejsca. Zaczynam odpowiadać ruchami bioder na ruchy Mariny, po chwili poruszamy się już w zgodnym rytmie, moja kochanka przyspiesza, jej dotyk staje się mocniejszy, bardziej zdecydowany. Chcę przedłużyć tę

chwilę, a z drugiej strony jak najbardziej skrócić wędrówkę między początkiem a końcem. Opóźniam narastanie przyjemności, ale w końcu nie panuję już nad swoim ciałem, gwałtowne skurcze unieruchamiają palce Mariny, całuje mnie jeszcze delikatnie i, znacząc mój brzuch i piersi wilgotnymi śladami, dociera do moich ust. Czuję swój smak na moich wargach, czuję, jak pachnie nasze pożądanie, jej i moje spełnienie. Nasze oddechy powoli się uspokajają. Jestem senna, ale nie chcę zasnąć. Szkoda mi tej nocy, chcę być jej świadoma, chcę poczuć, przeżyć każdą minutę, każdą sekundę. Słyszę cichy oddech Mariny. Czy nam się to śni?

Kładę dłoń na jej piersi, zbliżam się do jej ust, są ciepłe, słonawe. Marina przyciąga mnie gwałtownie do siebie...

Przed nami jeszcze wiele godzin nocy.

19 VII

Często wspominam noce z Mariną, ale tylko na wspomnienie tej pierwszej czerwienię się jak panienka z dobrego domu.

Marina nauczyła mnie wszystkiego, pokazała mi, jak pieścić kobiece ciało, była dla mnie „nauczycielką kochania”, moją mużką. Moim słońcem i powietrzem.

Była.

Znienawidzony czas przeszły.

Bez Mariny czuję się samotna i w nocy, i w dzień.

Zawsze myślałam o sobie, że jestem odludkiem, ale chyba tak do końca nie jest.

Nieprawda, że nie potrzebuję przyjaciół. Może tak się zachowuję, jakbym ich nie potrzebowała. I fakt, że ich teraz nie mam to wyłącznie moja wina. Liczyła się Marina, nikt więcej. A przyjaźń, wiadomo, jest jak ogródek: niepielęgnowana, nieobdarzana uwagą - marnieje.

Wiem o tym.

Nie chcę stada znajomych. Nie chcę też wielu przyjaciół. Chcę jednego, dwóch, to mi wystarczy. Moja szkolna przyjaciółka Karina była ze mną przez trzynaście lat, przez połowę mojego życia: towarzyszyła mi w liceum, potem w czasie studiów. Nie potrzebowałam nikogo innego.

Potem... Wszystko się zmieniło, okazało się, że moje największe tajemnice, najgłębiej skrywane sekrety zna pół miasta. Tym bardziej bolało, że trudno było mi się otworzyć nawet przed nią.

Zdrada psychiczna przyjaciela jeszcze bardziej boli niż zdrada partnera. Nie chcę już myśleć o Karinie, to nadal boli, ona cały czas jest mi w jakiś sposób bliska. Zawsze będzie częścią mojego życia, mimo że jej już ze mną nie ma. Ale tego czasu nie potrafię wymazać.

Z jednej strony wiem, to duma, pretensjonalność myśleć, że mogę funkcjonować samotnie. Wiem, że to nie jest możliwe.

Potrzebuję krytyki przyjaciela, kogoś, kto mnie osądzi, ale i spojrzy na mnie obiektywnie, bo przyjaciel może mnie skrytykować, ale mnie akceptuje. Po to ma się przyjaciół, prawda?

Aby w pełni czuć się sobą. Bardzo teraz tego potrzebuję.

Budzi mnie głos ptaków, nie romantyczne trele słowika, skowronka czy innego małego śpiewaka, a głośny skrzek jakiegoś wielkiego ptaszyska. Mam mocny sen, ale te popisy wyrwały mnie z niego bez trudu. Najwyraźniej jednak nie dotarły do Mariny, śpi opatulona po same uszy. Ma lekko zarumienione policzki, oddycha przez półotwarte usta. Mam ochotę pogłodzić ją po policzku. Wspomnienie ubiegłej nocy sprawia, że krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach. Nie kochałam się co prawda po raz pierwszy w życiu, miewałam wcześniej przygody seksualne, ale nigdy nie czułam tego co wczoraj. Banalna prawda, wszystkim znana: seks z osobą, którą się kocha nie może się równać z niczym innym na świecie. Pochyliłam się i całuję ją lekko w kącik ust. Marina nie budzi się, przeciąga, mruczy coś pod nosem. Rozchyłam lekko jej piżamę i kładę ręce na jej piersiach, są małe, sterczące, takie, jakie podobają mi się najbardziej... Czuję, jak przez ciało dziewczyny przebiega dreszcz. Jej piersi momentalnie twardnieją, czuję przez palce sutki jak małe, okrągłe guziczki. Całuję ją lekko w kark. Marina drży leciutko, prawie niezauważalnie, nie wykonuje jednak żadnego ruchu, jestem pewna, że już nie śpi, zdradza ją przyśpieszony oddech. Pieszczę nadal jedną ręką jej piersi, drugą ręką przesuwam po brzuchu. Wkładam palce za gumkę jej majteczek, przesuwam je nieco w bok, by mieć więcej swobody, i zatapiam się w jej gorącym wnętrzu. Marina jest wilgotna, aksamitna, pieszczę ją

delikatnie i czuję, że wygina się w łuk, nie przerywam pieśczoły, dziewczyna obraca się do mnie i bierze moją twarz w obie ręce. Tak jak myślałam, jej dłonie są ciepłe, suche, zdecydowane. Zamykam oczy i czuję jej usta na moich wargach, z początku delikatne, później coraz bardziej gwałtowne, jej język wdziera się do moich ust, szuka mojego i rozpoczyna szaleńczy taniec. Jej ręce zdzierają ze mnie koszulkę, uwalniają włosy. Ocieramy się o siebie i właściwie obydwie już jesteśmy gotowe. Odrywam wargi od jej ust i klękam przed nią. Całuję ją po brzuchu, po pępku, schodzę w dół, króciutkie, szorstkie włoski kłują mi policzki. Wsuwam w nią język i rytmicznie nim poruszam, czuję, jak Marina twardnieje, pęcznieje, jest napięta do granic możliwości. Rękami pieścę jej pośladki. Marina zaciska ręce na moich ramionach i wykrzykuje moje imię. Przykładam policzek do jej brzucha i czuję, jak jej wnętrze ogarniają rytmiczne, gwałtowne skurcze. Marina osuwa się na kolana i obejmuje mnie. Nie wiem, jak długo tak leżymy. Sekundy, minuty, godziny...

Wciąż nie mogę uwierzyć, że, z małą tylko przerwą na sen, kochałyśmy się przez całą noc. Wciąż nie mam jej dosyć, nadal jej pragnę, moje ciało jest zmęczone, ale nienasycone Mariną. Układam głowę w zagłębieniu jej szyi, między brodą a mostkiem: pasuje idealnie. Marina delikatnie gładzi mnie po plecach. Jeśli to nie jest szczęście, to nie wiem, co nim może być.

Słońce zagląda nam w okna, przymykam oczy przed jego blaskiem. Mogłabym mrużyć jak kot. Nie mam nic przeciwko temu, żeby spędzić całe przedpołudnie w łóżku, ale Marina całuje mnie lekko w czoło i wstaje. W jasnym świetle poranka jest jeszcze piękniejsza, bez skrępowania przechodzi nago do łazienki, jest świadoma swojej atrakcyjności, porusza się powoli, zmysłowo. Wie, że ją obserwuję, w drzwiach

odwraca się, posyła mi całusa i znika w łazience. Leżę jeszcze przez chwilę w łóżku, rozkoszując się zapachem Mariny. Mam wrażenie, że moje serce z radości fika koziółki. Przede mną kolejny dzień pełny słońca, wolności, pełny Mariny.

Muszę z kimś porozmawiać, inaczej wypełniające mnie szczęście nie znajdzie ujścia i... nie wiem, co się ze mną stanie, eksploduję może? Wybieram numer Sabiny, nie mam bliskich znajomych, to najbliższa mi osoba z „niezbyt bliskich”. Dziwne określenie, ale właśnie tak czuję. Odbiera dopiero po kilku sygnałach, pewnie jeszcze śpi w ramionach kolejnego narzeczonego, ale co mi tam, ja nie mogę czekać. Opowiadam Sabinie bajki, że jestem nad jeziorem, że jest fajnie, że spędzam czas z koleżanką. W słuchawce przez dłuższy czas cisza, potem Sabina pyta tylko:

„Kochasz ją?”

Czy aż tak to słychać w moim głosie?

22 VII

Matka Natura chyba się pomyliła i zamiast upalnego lipca zafundowała nam jesień. Zimno jak cholera, do tego zacina drobny deszczyk. Idę zdecydowanym krokiem, chcę jak najszybciej dotrzeć do domu, o nogi obija mi się siatka ze smętnymi zakupami singielki: jogurt naturalny - dwie sztuki, kilka chińskich zupek, makaron z sosem bolońskim, który „wystarczy zalać gorącą wodą”, saszetki z kawą „3 w 1”. Więcej do szczęścia mi nie potrzeba. Zatrzymuję się przed kioskiem, gdzie z wystawy krzyczy wielki tytuł: Panna młoda i... panna młoda. Niestety, reszta artykułu jest zasłonięta innymi gazetami. Proszę miłą panią kioskarkę o pismo, którego tytułu nie znam, to z artykułem o pannach młodych. Miła pani od razu sznuruje usta w wąską kreseczkę i lustruje mnie nieżyczliwym wzrokiem, jakbym była jedną z nich (panien młodych). Jestem ciekawa, o czym jest artykuł, tak rzadko mogę coś przeczytać w prasie o polskich gejach i lesbijkach, a jeśli pojawiają się jakieś wzmianki, to najczęściej są nieprzychylnie. Otwieram gazetę już w korytarzu, nie zdejmuję butów, siadam na szafce. Otóż skandynawskie linie lotnicze ogłosiły konkurs dla par homoseksualnych, nagrodą jest pierwszy na świecie ślub osób tej samej płci w powietrzu. Odbędzie się w grudniu na pokładzie samolotu lecącego ze Sztokholmu do Nowego Jorku. Ale odlot! W konkursie bierze udział grubo ponad sto pięćdziesiąt par, a jak do tej pory najwięcej głosów oddano na parę lesbijek z Polski. Brawo dziewczyny! Tak trzymać! Mam nadzieję, że wygrają. Jest podana stronka, na której można się zalogować i zagłosować. Zaraz to zrobię. Włączam laptopa i idę sobie zrobić herbaty. Mam internet o takiej prędkości, że czasem zasiadam przed komputerem z gazetą i zanim dana strona się załaduje, zdążę przeczytać kilka artykułów. Czytam jednak szybko, przyznaję. Stronkę konkursu znalazłam od razu, przebiegam oczami

informacje, które już znam, moją uwagę przykuwa jednak co innego. Komentarze, które następują po artykule trudno nazwać przychylnymi. Czytając, nie wiem, czy śmiać się, czy płakać: "zmagania zboczkowatych panienek", „to tylko biedne kobiety o zwichrowanej psychice, trzeba je leczyć, a nie krytykować". No dziękuję bardzo panu czy pani, bo pod komentarzem oczywiście nikt się nie podpisał, za słowa otuchy! Powinnyśmy się cieszyć, że ten osobnik jest tak łaskawy i nie rzuca kamieniami, jedynie sugeruje leczenie. Zastanawiam się, jak długo widok dwóch dziewczyn czy dwóch mężczyzn trzymających się za ręce czy, nie daj Boże, całujących się na ulicy będzie budził kontrowersje? Przecież jesteśmy krajem cywilizowanym?

Jak długo ludzie będą uważać, że geje i lesbijki są źródłem demoralizacji, są „trędowaci"?

Jak mam mieszkać w Polsce, jeśli na każdym kroku będę widziała potępienie? Jaka byłam naiwna, kiedy myślałam, że z Mariną mi się to uda. Dlaczego jesteśmy społeczeństwem tak nietolerancyjnym?

Geje? Lesbijki? Broń Boże, trzeba uważać, żeby nie wymawiać na głos tych słów! Same dźwięki są nieprzyzwoite, drażnią ciekawość, lepiej wymawiać je szeptem, albo nie wymawiać ich wcale.

Jak oni w ogóle mogą kochać? Przecież „tacy ludzie" nie są zdolni do normalnej, prawdziwej miłości. Przecież wiadomo, że między gejami i lesbijkami miłość - to seks. Tylko i wyłącznie. Brudny, odrażający seks.

Trzeba ich powstrzymać, bo rozplenią się w naszym przyzwoitym społeczeństwie jak zaraza. Odmieńców należy zlikwidować, produkujmy taśmowo przykładowych obywateli. Szczęśliwych czy nieszczęśliwych... A kogo to obchodzi? Najważniejsze, że normalni.

N - O - R - M - A - L - N - I.

Dlaczego ludzie zawsze muszą przyklejać etykiety? Wkładać innych do szufladek z napisami: „interesujący”, „uciekać”, „nudny”, „uwaga, gej”, i tak dalej?

Czasami przez przekorę mówię komuś, że byłam z kobietą. Ludzie, których już więcej nie zobaczę, jakiś marny pijaczek, który tylko mnie zaczepił i usłyszał, że mężczyźni mnie nie interesują - od razu odwraca się ode mnie. Widzę w jego oczach oburzenie i obrzydzenie. Ucieka od razu, zataczając się od jednego końca ulicy do drugiego, aby tylko się nie zarazić.

Idiota.

Powinno być mi wszystko jedno, ale to strasznie boli.

Boję się tego, co pomyślą o mnie ludzie. A przecież tak czy siak będą mieli o mnie jakieś zdanie. Na to nic nie poradzę i nic tego nie zmieni.

Boję się, że mnie odrzucą, odepchną... Muszę zrozumieć i nauczyć się wierzyć w siebie. Tyle tylko, że jest to piekielnie trudne. Nie wiem jak.

Dlaczego ludzie tak bardzo odczuwają potrzebę definiowania? Ludzi, zachowań, sytuacji... Potrzebę określenia, przypięcia łątki? Przeporządkowania do takiej lub takiej kategorii? Stąd biorą się wszystkie problemy.

Marina zawsze wiedziała, że jest lesbijką.

A ja?

Kim jestem?

Wiem, że chcę być z kobietą, ale zajęło mi to sporo czasu. Żadna teoria na temat homoseksualizmu nie pasuje do mnie. Nie mam syndromu Benjamina, bo nie jestem facetem, nie jest to także uwarunkowane genetycznie, bo uczeni „genu homoseksualizmu” nie znaleźli. Po prostu nie ma czegoś takiego.

Z drugiej strony istnieją teorie, że orientacja seksualna jest wrodzona i „zaprogramowana” na długo przed narodzinami.

Inni naukowcy twierdzą, że stajemy się osobami homoseksualnymi przez wybór, z powodu edukacji w określonym środowisku. Gubię się w tych wszystkich hipotezach. Po co drążyć? Szukając informacji, dlaczego istnieją osoby homoseksualne, popieramy teorię, że są one „inne”, „nienormalne”, że są dziwnymi stworami, których orientację należy zbadać.

Czy jednak sami nieświadomie nie wykluczamy się ze społeczeństwa ludzi „normalnych” (cokolwiek to znaczy), organizując się w różne stowarzyszenia, zakładając stronki internetowe, kluby tylko dla gejów i lesbijek? Marina uparcie twierdziła, że ten sposób tylko podkreślamy swoją odmiennność, że to nie jest dobry sposób, aby nasz krzyk o tolerancję został usłyszany. Marina zawsze była przeciwna wszelkiego rodzaju parodom równości, manifestacjom, klubom. Nigdy nie chciała iść ze mną do klubu „Tęcza”, który z trudem znalazłam niedaleko naszego miasteczka. Powiedziała, że sama nazwa powoduje u niej odruch wymiotny. W pewnym sensie się z nią zgadzam. Mam nadzieję, że kiedyś Polska się zmieni.

Obserwując kraje europejskie, widzę, że wiele jeszcze przed nami.

Czekając na optymistyczny powiew zmian, zagłosuję na te dwie sympatyczne dziewczyny, które zdecydowały się wziąć udział w konkursie. Może także dzięki mojemu głosowi będą mogły powiedzieć sobie „tak” gdzieś między Sztokholmem a Nowym Jorkiem. Życzę im tego z całego serca.

Czy może być coś piękniejszego niż późne letnie popołudnie nad brzegiem jeziora? Przeżywałam już takie popołudnia, letnie, zimowe, wiosenne... Po raz pierwszy jednak jestem w obecności osoby, którą kocham. To zmienia wszystko: zmieniliby szary, ponury jesienny krajobraz w przytulny widoczek, a już dostatecznie pięknemu popołudniu

dodaje wyrazistości i koloru. Chciałabym zatrzymać te chwile na zawsze, unieruchomić sekundy, minuty, które jak na złość przeciekają coraz szybciej między palcami. Nie ma nic bardziej względnego niż czas: może ciągnąć się jak guma do zucia, kiedy chcemy, żeby płynął jak najszybciej, i na odwrót: mknie z prędkością światła, kiedy czepiamy się każdej chwili... Na próżno jednak: w palcach zostają nam jedynie strzępki wspomnień.

Co zabiorę ze sobą z tego pobytu na Mazurach?

Tylko Marinę i nic więcej.

Wspomnienia naszych wspólnych nocy.

Dni przesycone zmysłowością, pożądaniem i spełnieniem.

Słońce powoli już zachodzi, rozżarzona kula mieni się złotem i czerwienią. Siedzę wpatrzona w spokojne wody jeziora, od czasu do czasu nieskazitelną tafelą mąci ryba przepływająca zbyt blisko powierzchni. W oddali widzę małą sylwetkę Mariny: wybrała się jakiś czas temu na spacer brzegiem jeziora. Dobrze mi teraz samej, lubię swoje towarzystwo, kiedy wiem, że za parę chwil będzie tu ona. Idzie powoli, brodząc bosymi stopami w wodzie. Czuję się, jakbym oglądała film, komedię romantyczną. Nigdy nie marzyłam, żeby być aktorką, ale cieszę się, że gram jedną z głównych ról. Marina podchodzi do mnie, siada obok i bez jakiegokolwiek słowa całuje moje usta. Czuję jej wargi: są ciepłe i twarde, bardzo zachłanne, jej język toruje sobie drogę przez moje zęby, bada wnętrze moich ust, ssie, liże, niemal delikatnie kąsa. Czuję się kompletnie" obezwładniona, bezwolna, dudni mi w uszach, po chwili orientuję się, że to moje serce tak bije. Marina kładzie mnie na plecach, czuję, jak drobniutkie źdźbła trawy wbijają mi się w kark. Pieścimy się przez kilka minut, które wydają się wiecznością. Ze zdziwieniem stwierdzam, że obie jesteśmy nagie, nasze ubrania leżą poplątane w promieniu kilku metrów. Kiedy to

się stało? Nie pamiętam. Marina wsuwa mi do ust swoje palce, oblizuję je, delikatnie przygryzam, gładzę ją po plecach. Dół mojego brzucha pulsuje w niespokojnym oczekiwaniu. Marina przesuwa tam dłonie i czuję jej palce w sobie, porusza nimi rytmicznie. Odrywa swoje wargi od moich i całuje brodawki moich piersi, idealnie synchronizując ruchy języka z ruchami palców. Fale gorąca zalewają mnie raz po raz, nie potrafię już dłużej czekać. Marina rozumie moją niemą prośbę. Chcę poczuć ją jeszcze głębiej, przyciągam ją do siebie i proszę o jeszcze... Jeszcze... Mocniej... Szybciej... Blask podobny do błyskawicy rozrywa moje niebo na pół. Wyrężam się i nieruchomieję na ułamek sekundy. Po pierwszej fali przychodzi następna, i następna. Kiedy orgazm powoli odchodzi, Marina przewraca mnie na brzuch i delikatnie bada językiem moje pośladki. Rozchyłam nogi i pozwalam jej wejść głębiej. Czuję, jak jej język mnie penetruje, drażni... Po niewiarygodnie krótkim czasie czuję, jak nadchodzi kolejne spełnienie. Nie mam już siły krzyczeć, leżę w ciszy, mój oddech powoli się uspokaja. Marina bierze moją twarz w dłonie i całuje mnie. Czuję delikatny piżmowy zapach mojego wnętrza, jej język i wargi są wilgotne od moich soków, ta świadomość działa na mnie niezwykle podniecająco. Całujemy się przez długi czas. Zamykam oczy i pozwalam się unieść niewiarygodnemu uczuciu lekkości. Dlaczego szczęście nie jest takie proste?

29 VII

Dlaczego jestem wciąż tak niepewna siebie? Dlaczego wciąż czuję się gorsza?

Dlaczego wystarczy jakieś głupstwo, nieprzyjazne spojrzenie, słowo krytyki i już czuję się maleńka jak robaczek?

To uczucie towarzyszy mi od dzieciństwa, dzisiaj jestem na tyle dorosła, żeby wiedzieć, że to nieprawda. Ale wiedzieć a radzić sobie z tym to zupełnie różne sprawy. Za głęboko wbiłam sobie to do głowy, nieuzasadnione obawy mają zadziwiającą zdolność zapuszczania długich i mocnych korzeni w umyśle.

Nawet do tej pory jestem przekonana, że rodzice wolą moja siostrę. Trochę to głupie i dziecinne, wiem. Wszystko to, co robiła ona, było dobre, podczas gdy ja mogłam nie wiem jak się starać, a i tak nie zasługiwałam na pochwałę. Może powinnam się cieszyć, bo dzięki temu robiłam wszystko najlepiej jak umiałam, uczyłam się tak dobrze, bo chciałam być lepsza od niej, chciałam pokazać, że na coś mnie stać, coś potrafię.

W szkole było podobnie. Ponieważ byłam nieśmiała, nigdy nie byłam w centrum zainteresowania, nie miałam zbyt dużo koleżanek. W tym czasie jeszcze chciałam ich mieć dużo... Ponieważ jednak nigdy nie czułam się dla nich zbyt dobra - trudno było mieć przyjaciół: dzieci są wymagające.

W liceum był to już wybór, nie chciałam ryzykować przywiązania się do nikogo. Mimo że byli ludzie, którzy chcieli być moimi przyjaciółmi, powiedziałam sobie, że na pewno zobaczą, jaka jestem nieciekawa i mnie zostawią dla kogoś lepszego.

Nie chciałam dać im szansy.

Prześladuje mnie jednak nieprzyjemna myśl, że szansę odebrałam też sobie. Spotkałam ludzi, którzy sprawili, że

poczułam się pewniejsza, którzy mówili mi, że jestem dla nich ważna, ale w końcu i oni odeszli: wielkie przyjaźnie ze szkoły, moje partnerki, Sabina, Marina...

Ludzie potrafią wszystko powiedzieć: „kocham cię ponad wszystko”, „nie mogę bez ciebie żyć”, „jesteś najważniejsza w moim życiu”...

Dlaczego potem o tym zapominają?

Znajdują sobie kogoś innego i powtarzają mu to samo?

Powinnam uodpornić się na słowa.

Nie wiem tylko, jak rozróżnić takie, które nic w sobie nie kryją od tych, które" są prawdziwe.

Zauważyłam, że coraz mniej ufam ludziom, mimo że bardzo ich potrzebuję.

Nikola.

Chciałabym, żeby stała się kimś bliskim dla mnie, ale nie potrafię się przełamać i dać jej szansy. Ostatnio rozstałyśmy się w niezbyt przyjaznych nastrojach. Zdaję sobie sprawę, że to moja wina. Dziewczyna przecież naprawdę się stara, zabiega o spotkania, cieszy ją moje towarzystwo. Po pewnym czasie będzie miała dosyć mojej obojętności i zwieje gdzie pieprz rośnie. A ja jak zwykle będę stać z boku i obserwować, jak znika z mojego życia. Ostatnio zdarza się to zbyt często.

Nie wiem, jak odnaleźć w sobie ufność. Marina była pierwszą osobą, której zaufałam od paru dobrych lat. Ona też chyba jako jedyna widziała mnie bez licznych moich masek. Pozdejmowała mi je wszystkie. Co do jednej. Wszystkie bez wyjątku.

Czy jest możliwe, że w ciągu trzydziestu lat tylko jedna jedyna osoba wiedziała o mnie wszystko? O tym, co czuję, co przeżyłam? O mojej rodzinie, o tym, jak się czuję, o tym, czego się boję, co mnie boli, jaka jestem, a jaka chciałabym być?

Tylko ona wiedziała o wszystkim.

Wtedy było mi łatwiej.

Marina na nowo pozwoliła mi uwierzyć, że jestem kimś specjalnym, wyjątkowym, pięknym.

Nie wiem, czy teraz z tego się cieszę. Dosyć szybko spadłam na ziemię. Może nie powinna była? Nie powinna była mi tego mówić, po tym, jak się wszystkiego o mnie dowiedziała.

Wiedziała, że może mnie zranić.

Wiedziała, co może mnie zranić, czego się boję, czego nie chcę, przed czym uciekam. Jej jedynej potrafiłam wszystko powiedzieć.

Nie wiem do tej pory, jak jej się to udało. Jakim sposobem znalazła klucz do mojego serca, do moich myśli? Powinnam chyba powiedzieć „klucz do duszy”. Dokładnie nie wiem, co to jest dusza, jak wygląda i czy rzeczywiście istnieje, ale tak mi się wydaje, że to klucz do mojej duszy ona znalazła.

Nikt mnie nie zna tak jak ona.

Nikt.

Czasami czuję się jak brzydkie kaczątko z baśni Andersena. A tak na marginesie, to jakim zwierzątkiem jeszcze nie byłam? Lisem z Małego Księcia chyba też już byłam.

Zbyt często w różnych sytuacjach czuję się wyobcowana, jak przybysz z innej planety, często zadaję sobie pytanie, co ja tu robię... Pewno inni też je sobie zadają: „Co ona tu robi?”. Czuję się inna.

Od kogo? I w czym?

Chyba od wszystkich i we wszystkim.

Nie pasuję do ludzi.

Nie wiem dlaczego, ale nie pasuję i już.

Wszędzie czuję się obco. Nawet we własnym domu.

Chciałabym odkryć inne życie, gdzie będę się czuła lepiej, gdzie będę się czuła bezpieczna. Gdzie moje życie będzie miało sens.

Gdzie to jest?

Nie mam już siły się zmuszać ani udowadniać wszystkim, że jestem lepsza, niż jestem.

Że jestem inna, niż jestem.

Że coś mi się udało.

Powinnam przecież być zadowolona. Udało mi się skończyć jedną szkołę, drugą, studia... Udało mi się znaleźć pracę bez lizania kogoś po piętach, jestem, podobno, niczego sobie... Moim koleżankom z liceum czy szkoły podstawowej mogę wydawać się łabędziem.

Dlaczego więc w środku nadal czuję się małą kaczką? Brzydkim kaczątkiem? Gubię się w miłości, nie potrafię kochać mądrze, wydaje mi się, że nie zasługuję na miłość, ani na to, żeby być kochaną. Mówię, że wszystko mam gdzieś, że jestem silna, że sobie radzę...

To nieprawda. Chciałabym, żeby ktoś mnie przytulił i powiedział, że tak jest, że mogę być kochana i ważna.

I nawet wtedy ogarnia mnie strach, co będzie wtedy, gdy ten ktoś się zorientuje, że wcale nie jestem taka, jaką mnie widzi.

Jestem wdzięczna Marinie, że ona to we mnie odkryła, że zorientowała się, że się boję, że zmusiła mnie, abym o tym jej głośno powiedziała. Przez jakiś czas nie musiałam udawać i się bać.

Czułam się wolna.

To wspaniałe uczucie.

Jeśli sobie dobrze przypominam, problemem brzydkiego kaczątka było to, że chciało być łabędziem.

Ja już sama nie wiem, kim chciałabym być: kaczką czy łabędziem.

Może po prostu sobą?

Ale gdzie jestem?

Gdzie jest moje miejsce?

Moje wizje świata, miłości nie pasują do dzisiejszej rzeczywistości. Zbyt przedpotopowe. Moja seksualność też jest nie na miejscu. Czuję się podzielona z każdej strony.

Nie pasuję do żadnego schematu.

Jak mam siebie pośród tego wszystkiego odnaleźć? Pośrodku całego tego zamieszania i chaosu?

A jeśli to ja jestem tym chaosem?

Jak kazać nieść ten cały bagaż przyjaciołom, osobie, którą pokocham?

Może gdyby Nikola to wszystko o mnie wiedziała, dałaby sobie ze mną spokój? Przecież na pewno jest podobna do wszystkich ludzi, których spotykam na mojej drodze. Interesuje się mną, bo jestem dla niej nowa, ciekawię ją, może nawet jej się podobam. Tylko na jak długo wystarczy jej tego zainteresowania?

Wybieramy się do miasteczka, to ostatnia okazja, jutro już wyjeżdżamy. Właściwie nie lubię małych miejscowości. Oszałamiają mnie duże miasta, uwielbiam je za energię, którą emanują, za ruch i chaos. Będąc w Warszawie czy Krakowie, za każdym razem dostaję potężnego kopa energetycznego. Prawdopodobnie na zasadzie kontrastu kocham małe, zagubione gdzieś w lesie czy górach, wyglądające jak z innej epoki wioski, drewniane domy przycupnięte nad brzegiem rzeki czy jeziora. Na wsi dostaję skrzydeł. Czuję się całkowicie wolna.

W małych miastach nie znajduję ani jednego, ani drugiego. Marina się ze mną nie zgadza, ona właśnie w takich miejscach odnajduje spokojną harmonię wielkomiejskiego gwaru i wiejskiej sielanki. Hmm... Można spojrzeć na to i z tej strony. Marina uwielbia szukać porównań i wspólnych stron

różnych sytuacji. Zupełnie nie zgadzam się z nią, że geje i lesbijki mają w sobie dużo cech płci przeciwnej. Kompletna bzdura. Czuję się stuprocentową kobietą i fakt, że pociąga mnie ta sama płć nie sprawia, że pragnę w związku odgrywać rolę faceta. Nie oczekuję też tego od mojej partnerki. Cieszę się, że jestem kobietą, dobrze się czuję w swojej skórze, czasem mam ochotę pomalować sobie paznokcie czy zrobić makijaż, lubię zadbane kobiety. Nie szukam podświadomie mężczyzny w kobietach ubranych po męsku i chodzących zdecydowanym krokiem. Często spotykam takie pary, z daleka wyglądają jak mężczyzna i kobieta, dopiero przy bliższym spojrzeniu okazuje się, że „mężczyzna” to wystylizowana na chłopaka dziewczyna. Często z opłakanym skutkiem, takie babochłopy zupełnie mnie nie pociągają. Bardzo rzadko widuję trzymające się za ręce dziewczyny w zwiewnych sukienkach. A szkoda.

Przechodzimy przez maleńki rynecek, przy stolikach pod parasolami siedzą głównie rodziny z dziećmi. Maluchy obowiązkowo liżą lody, wszystkie są podobnie umorusane, różnią się tylko kolorem nosa, policzków, czasem plamy na ubraniu, można się zorientować, czy latorośl woli lody czekoladowe, owocowe, czy hit sezonu, „Smerfiki” - niebieskie paskudztwo o trudnym do zidentyfikowania smaku, barwiące wargi i język na sinoniebieski kolor. Siadamy przy jedynym wolnym stoliku. Nie mam ochoty na lody, zamawiam sok brzoskwiniowy, Marina jak zawsze chce spróbować wszystkiego. Kawiarenka oferuje lody, ciasta, desery, kawę. Marina wybiera olbrzymią porcję truskawek z bitą śmietaną. Ciekawe, jak to wszystko zmieści, puchar jest gigantyczny i wygląda bardzo smakowicie. Dzieciaki obserwują Marinę z widoczną zazdrością, zapominając przez moment nawet o lodach, które kapią im z waflowych rożków.

Mam ochotę wziąć ją za rękę, pogłodzić, przytulić do policzka. Boję się jednak reakcji ludzi, nie ze względu na siebie, ale na Marinę. Czuję się za nią odpowiedzialna, nie chcę, żeby spotkała ją jakakolwiek przykrość w moim kraju, nawet jeśli miałyby to być jedynie nieprzyjazne spojrzenia kawiarnianych gości.

Uderza mnie myśl, że jeśli zdecydujemy się być razem, będziemy musiały stawiać czoła krytyce i nietolerancji na każdym kroku, każdego dnia...

Czy jesteśmy na to gotowe?

31 VII

Zastanawiałam się pół nocy, czy zadzwonić do Nikoli. Za każdym razem odkładałam telefon. Co mogłabym jej powiedzieć? Że nie chcę zostać całkiem sama? Że nic jej nie mogę obiecać? Nic ofiarować? Że sama nie wiem, czego chcę?

Zauważyłam, że cały czas uciekam. Przed sobą. Przed Nikołą też. Staczam się, oddalam od swojego życia dzień po dniu i nawet nie muszę uciekać, bo sama toczę się w dół.

Mam wrażenie, że cały czas to piszę.

Musi więc to być prawda.

Przed kim uciekam?

Przed czym uciekam?

Dlaczego uciekam?

Przed samą sobą, przed tym, co czuję, czego się boję.

Zawsze tak było.

Kiedy robi się trudniej, albo kiedy muszę wybrać, a nie chcę - uciekam.

Ale przecież ucieczka to też wybór. Jak najbardziej świadomy.

Wybieram strach i samotność.

Zostawiam swoje prawdziwe życie, swoje wewnętrzne ja, prawdziwe uczucia, i uciekam. Wybieram złudzenia i namiastkę normalności. I strach.

Znowu strach.

Gdzie jestem, kiedy uciekam? Gdzie jestem, kiedy dokonuję wyboru? Gdzie jestem, kiedy wybieram nie to, co powinnam? Gubię się.

Nie odnajdę drogi sama. Nie pomoże mi też Nikola, czuję to. Więc kto?

Marina wczoraj wyjechała. Nie potrafiłam wypuścić jej z objęć. Stałyśmy wtulone w siebie przed autokarem pełnym już pasażerów, wdychałam jej zapach, tak słodki, znajomy... Te

kilka dni uświadomiło mi, jak bardzo chcę z nią być. Myśl, że ona też tego pragnie działa na mnie niesamowicie. Mogłabym wykrzyczeć całemu światu, że znalazłam kobietę mojego życia, że kocham jak jeszcze nigdy i jestem kochana. Życie dopiero teraz nabrało właściwej perspektywy. Mam wrażenie, że wcześniej żyłam nieodpowiednim życiem, życiem kogoś innego. Teraz to moje życie. Jestem na właściwym miejscu. Czuję to każdą komórką mojego ciała.

Tyle się dzieje, że nie jestem w stanie tego ogarnąć. Zanim Marina wyjechała, odbyłyśmy długą rozmowę, postanowiłyśmy być razem. Marina wyjechała na parę tygodni do Armenii, musi załatwić sobie urlop dziekański na uczelni, przygotować rodzinę, potem do mnie wróci. Nie potrafię w to uwierzyć, ale ona do mnie wróci. Zamieszkamy razem. Ta myśl wydaje mi się nieprawdopodobna. Mam mało czasu na znalezienie mieszkania, przeglądałam już oferty, nie wiedziałam, że mieszkania są takie drogie. Będzie nas stać jedynie na małą kawalerkę na obrzeżach miasta. Wszystko mi jedno, z Mariną mogłabym mieszkać w szałasie. Jestem taka szczęśliwa, boję się, że nie wytrzymam takiej dawki czystego, niczym niezmaconego szczęścia. Nareszcie moje życie zaczyna się układać, jak gdyby Marina była brakującym puzzlem w układance. Wystarczyło go tylko umieścić w odpowiednim miejscu i reszta sama zaczyna się dopasowywać.

Niewiarygodne, ale rodzice nie za bardzo się zdziwili, kiedy oznajmiłam im, że niedługo Marina wróci i zamieszkamy razem. Powiedziałam tylko, że Polska bardzo jej się spodobała, że chciałaby tu pomieszkać kilka miesięcy, nauczyć się polskiego, poznać kulturę, ludzi, zdobyć nowe doświadczenia. Marina określiła sobie moją rodzinę dookoła małego paluszka, widzę to. Są podekscytowani jej pomysłem,

podziwiają za odwagę. Gdyby wiedzieli, jaki jest prawdziwy powód jej powrotu...

Postanowiłyśmy jednak, że na razie dla rodziny i znajomych nadal będziemy „koleżankami”. Poczekamy, aż Marina się zaaklimatyzuje, poczuje pewniej, pozna lepiej moich znajomych. Wstydzę się tego, ale jest mi to na rękę. Obawiam się reakcji rodziców, zwłaszcza mamy, na to, że jesteśmy razem. Jednocześnie czuję, że Marina to jedyna osoba, dla której jestem w stanie to zrobić, dla której warto powiedzieć prawdę, nawet za cenę niezrozumienia czy odrzucenia.

Kiedy wcześniej spotykałam się z innymi kobietami, nie zaprzątały mnie myśli o tym, by przedstawiać je inaczej niż „koleżanki”. Wydaje mi się, że im też to nie przeszkadzało. Tym razem czuję, że jest inaczej. Chcę być z Mariną i chcę, żeby wszyscy to widzieli. Nie mam zamiaru się kryć. Nawet jeśli to będzie trudne.

1 VIII

Moja miłość jest jak kwiat Zwiędła róża Ale nadal jej słaby zapach Wbija kolce w moje serce

Nie wiem, czy ten wiersz sama napisałam, czy gdzieś go po prostu przeczytałam, słowa same ułożyły się na kartce papieru... Miłość, kiedy się kończy, powinna zupełnie się ulatniać, nie zostawiać nawet delikatnego zapachu.

A ona nadal swoim mdłym zapachem przypomina o sobie i obejmuje serce kolczastą obręczą, która z każdym oddechem wbija się głębiej i głębiej.

Zostaje złość.

Smutek.

Jak można szanować kogoś, kto się nie szanuje? Kogoś, kto niczego nie chce? Nic nie wymaga?

Jak to? Przecież to nieprawda! Dlaczego pozwalałam sobie na słowa, które ona wypowiedziała, a z którymi ja się nie zgadzam?

Przecież chciałam wszystkiego! Chciałam jej, chciałam przeprowadzki, wspólnego życia... To jest nic?

Chciałam, żeby przestała grać i powtarzać, że nie potrafi mnie opuścić, żeby zdecydowała się na odejście trochę prędej. Po co nam to było? Tylko więcej cierpienia.

Złości mnie, że wszystkim się przejmuję, że wpływa na mnie to, jak ludzie obok mnie się czują. Jeśli źle - to zaraz myślę, że to moja wina. Straszne, bo wtedy jestem od nich zależna, od ich zachowań, od ich humorów.

Nie umiem traktować spraw z dystansem, często czułam się winna tego, że Marina jest w Polsce i jest nieszczęśliwa, przecież przyjechała z mojego powodu, dla mnie. To poczucie winy było nieraz tak silne, że zapominałam o swojej miłości do niej i jedyną rzeczą, której chciałam było, żeby już wyjechała.

Wkurza mnie, że zawsze się boję, że boję się coś od siebie dać, nie mówię tu o rzeczach materialnych, bo te dać chyba najłatwiej. Ale gest, słowo, uczucie... To jest chyba najtrudniejsze wobec ludzi mi bliskich, bo to od nich oczekuję najwięcej. Nie lubię momentów, w których to wszystko przypomina wymianę: dam ci coś, ale muszę być pewna, że też coś dostanę, nie chcę wyjść na idiotkę. Boję się dać, bo boję się, że ten ktoś nie zareaguje i ja zostanę z moim słowem, gestem, wyciągniętą ręką - w powietrzu. Przy Marinie przestałam się już tego bać.

Podobało mi się to.

Denerwuje mnie, że zawsze uciekam, jeśli tylko coś zaczyna być za trudne - uciekam.

Czy znaczy to, że uciekłabym również od Mariny, gdyby odpowiedzialność za nasz związek mnie przerosła? Gdybym poczuła się zagrożona?

Jakoś nie umiem w to uwierzyć.

Udaję, że rzeczy nie są takie, jakie są. W myślach naginam je do swoich potrzeb i pragnień, często neguję swoje uczucia i pragnienia, nie chcę ich, nie chcę stracić kontroli nad sobą.

Przecież już jej nie mam.

Nie potrafię samej sobie stawić czoła. I co robię?

Uciekam.

Oszukuję siebie, innych, pamięć, wspomnienia...

Niechętnie przyznaję sama przed sobą, że przy Marinie stałam się bezwolną marionetką. Na wszystko się zgadzałam: na rozstanie, na powrót, ponowne rozstanie, znowu powrót.

Huśtawka.

Bezustanna huśtawka.

Nie chcę przecież być traktowana jak zabawka, którą się bierze, bawi, a gdy znudzi - odkłada na miejsce. Potem ewentualnie znowu bierze, jak nie ma innej. Nie chcę być zabawką - a robiłam wszystko, żeby nią być. Nie chcę być

traktowana jak wierny piesek, który zawsze jest obok pana i zawsze za nim pobiegnie. A tak się zachowywałam w stosunku do Mariny. Miałam tego świadomość. Biegłam za nią, jeśli tylko raczyła na mnie kiwnąć palcem.

Czy teraz też pobiegłabyś?

Pewnie tak.

Niewesołe te moje rozmyślania. Nie chcę już myśleć, jestem zmęczona wiecznym analizowaniem tego, co się stało. Powinnam odpisać na maile, nazbierało się już ich dosyć dużo. Obiecałam Nikoli, że będę z nią utrzymywała kontakt, napiszę od czasu do czasu, co się u mnie dzieje, jak się czuję. Dajemy sobie szansę na poznanie się „wirtualne”, czasem dzielę się z nią moimi przemyśleniami. Nie wiem, co dalej będzie z naszą znajomością. Po prostu pozwalam sprawom biec własnym biegiem. Co będzie, to będzie. Idę do kuchni zrobić sobie herbatę.

Lubię, pisząc do kogoś, obojętnie, czy jest to mail, czy list, mieć przy sobie kubek parującej herbaty. Tworzy ona ciepłą, mniej anonimową atmosferę. Powinnam zająć się tym elektrycznym czajnikiem, włąć jakiś odkamieniacz czy sięgnąć po kwasek cytrynowy... Nazbierało się na grzałce tyle kamienia, że zagotowanie szklanki wody trwa prawie kwadrans.

Jeszcze parę minut na refleksje.

Uczę się i dowiaduję coraz więcej rzeczy o sobie.

Myślałam, że jestem silna, a jestem słaba. Bardzo, bardzo słaba. Widzę to, kiedy nie potrafię albo nie chcę zaakceptować rzeczywistości. Widzę to wtedy, kiedy odpycham od siebie sprawy nieprzyjemne, które są dla mnie trudne, albo które boją.

Nie wiem, jak to zmienić.

Żyję chyba w świecie książkowym, bo tak jest łatwiej. Może za dużo czytam. Zawsze lubiłam czytać. Potrafiłam

znikać z książką na długie godziny, chowałam się w ogrodzie czy zaszywałam w moim pokoju. Nikt ani nic nie istniało. Tylko historia zapisana drobnym drukiem na kartkach książki. Teraz też udaję, że świat nie jest taki, jaki jest, a taki, jaki chciałabym, żeby był. Pełna jestem wizji z księżycą, na które przecież w prawdziwym świecie nie ma miejsca.

Jestem naiwna. Sama sobie mówię, że nie ufam ludziom, a po cichutku myślę, że wszyscy są w porządku. Że można zaufać komuś. Że trzeba przecież wierzyć ludziom, bo są dobrzy.

Są takie dni, kiedy nie ufam nikomu, nawet sobie. Wiem, że nie powinnam winić kogoś za to, że kto inny mnie zranił, że coś we mnie pękło, zostało złamane...

Kiedy się boję - świat widzi tylko moje maski.

Jakie?

W zależności od sytuacji.

Szafa mi już od nich pęka.

Kolejne ogłoszenie przekreślone. Ciężka to praca, szukanie mieszkania. Zobaczyłam już chyba ponad dziesięć kawalerek i żadna mi się nie spodobała, cena była za wysoka, położenie zbyt daleko od centrum, uciążliwi sąsiedzi, którzy szczęśliwym trafem akurat dali popis wokalnych możliwości, kiedy rozmawiałam z właścicielką. Co prawda zapewniała mnie wcześniej, że okolica jak najbardziej przyjazna, spokojna, do centrum blisko... Zapomniała jedynie dodać, że piętro wyżej regularnie odbywają się libacje. Odpuściłam sobie tę kawalerkę, mimo że czynsz był zupełnie przyzwoity. Jednak wrzaski podpitych sąsiadów wracających chwiejnym krokiem do domu na pewno nie należałyby do najprzyjemniejszych.

Następna gazeta. Szukam działu „Mieszkanie wynajmę”, dużo tego, ludzie bez przerwy się przemieszczają. Kupują, sprzedają, wymieniają... Mama pomaga mi w poszukiwaniach,

dzwoni nawet pod podane w ogłoszeniach numery, notuje uwagi, pytania. Widzę, że się przejęła. Zastanawiam się, co ona tak naprawdę myśli. Oto młodsza córka zaprasza nowo poznaną koleżankę z innego kraju w odwiedziny, potem okazuje się, że koleżanka wróci i zamieszka z nią. Czy nie wydaje jej się to dziwne? Nie sędzę jednak, by wiedziała, co łączy mnie i Marinę, nie domyśla się nawet. Przykro mi, że ją oszukuję, tajemnica naszego związku kładzie się cieniem na różowej stronie bycia z Mariną. Podnoszę wzrok, mama z ołówkiem w ręku, w wiecznospadających okularach zakreśla kolejne jej zdaniem interesujące oferty. Biorę gazety, które już odłożyła na bok i sięgam po telefon. Pierwsze ogłoszenie jest już nieaktualne, tego samego dowiaduję się, dzwoniąc pod drugi numer. Za trzecim razem odbiera starsza pani. Tak, mieszkanie jest nadal do wynajęcia, można obejrzeć. Kiedy? Obojętnie, choćby zaraz. Zapisuję adres i wybieram się na poszukiwania. Mieszkanie co prawda nie znajduje się w centrum, ale niedaleko, poza tym jest dobre połączenie autobusowe. Osiedle ładne, dużo zieleni, okolica porządnie utrzymana. Nie lubię bloków, wydają mi się wszystkie budowane na jedno kopyto, takie betonowe klony. Mieszkańcy co prawda dają upust swojej wyobraźni i każdy stara się wyróżnić swoje lokum za wszelką cenę: widać to po balkonach. Niektóre są nawet ładnie i pomysłowo urządzone, ale całość najczęściej wygląda okropnie jarmarcznie. Widzę, że bloki na tym osiedlu są świeżo pomalowane, lokatorzy jeszcze nie naznaczyli swoich terytoriów. Mieszkanie jest na czwartym, ostatnim piętrze. Jest dosyć małe, ale urocze. Zakochuję się w nim od pierwszego wejrzenia. Gustownie urządzone jasny salon, malutka kuchenka, jeszcze mniejsza łazienka w blad różowych kafelkach. Gdyby były o cień ciemniejsze, łazienka wyglądałaby tandetnie, jak żywcem wyjęta z domku dla Barbie. Podoba mi się, jednak dopiero

kiedy właścicielka pokazuje mi sypialnię, już wiem, że wynajmę to mieszkanie, obojętnie ile będzie kosztować. To największe pomieszczenie w mieszkaniu: duża, zabudowana szafa, olbrzymie lustro, dwa małe nocne stoliczki i ogromne łóżko, które zajmuje prawie całą powierzchnię pokoju. Nie tapczan, nie rozkładana sofa, ale łóżko z prawdziwego zdarzenia, stylowe, z metalowymi, fantazyjnie zakrzywionymi zagłówkami. Już widzę siebie i Marinę na tym łóżku, jak śpimy wtulone w siebie... Nareszcie we własnym lokum. Dałabym wszystko, żeby już tu była ze mną. Mam nadzieję, że kobieta nie zauważyła mojego rumieńca i błysku w oczach, gotowa jeszcze podnieść cenę.

Czynsz nie jest zbyt wysoki, jednak odstępne, którego żąda właścicielka przyprawia mnie o zawrót głowy. Okrągła sumka. Do tego jeszcze media, rachunki, wyżywienie... Zastanawiam się, czy stać nas na to mieszkanie, ale nie mam ochoty już szukać niczego innego, poza tym właśnie to bardzo mi się podoba. Raz kozie śmierć! Mam przecież jeszcze jakieś oszczędności, na początek powinno wystarczyć.

Serce bije mi mocno, kiedy podpisuję umowę najmu. To moje pierwsze samodzielne mieszkanie. Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę je urządzać. Wieczorem dzwonię do Mariny, nie chce wierzyć, że mamy już własny kąt. Nasza wspólna przyszłość rysuje się w coraz bardziej wyrazistych barwach. Wcześniej znajdowała się za szarą zasłoną, teraz powoli wyłania się z mgły i przybiera realne kształty. Zdaję sobie sprawę, że to dopiero początek, pierwszy krok. Dużo jeszcze kroków, małych i większych, przed nami.

Tęsknię za Mariną. Jej głos w słuchawce mi nie wystarcza, nie mogę go dotknąć. Potrzebuję Mariny realnej, z krwi i kości, nie zadowolam się świadomością, że gdzieś jest, że istnieje. Potrzebuję ciepła jej dotyku.

Odwracam się do ściany i zamykam oczy. Już niedługo.

5 VIII

Czy można bać się samej siebie?

Można.

Okropny to strach, nie do końca uświadamiany, nie do końca zrozumiany.

Boimy się przecież zazwyczaj nieznanego, czegoś, czego nie rozumiemy albo nie chcemy zrozumieć.

Kiedyś czytałam opowiadanie, w którym wąż kusił Ewę, aby zjadła jabłko. Ewa opierała się, mówiła, że nie może tego zrobić Adamowi, że są razem szczęśliwi. Zjadając owoc, wykluczy Adama ze swojego świata. Wąż odpowiedział, że Adam i tak ma inną kobietę, którą ukrywa w studni. Ewa pobiegła od razu do studni, nachyliła się nad nią... Faktycznie, zgodnie z tym, co mówił wąż - zobaczyła piękną dziewczynę i... zjadła jabłko.

Morał?

Do rajy dostaną się tylko ci, którzy potrafią rozpoznać swoje odbicie i nie boją się siebie.

Gdzie ja skończę?

Czasami nie rozpoznaję mojego odbicia w lustrze, zbyt często patrzy na mnie znajomo - obca twarz.

Czy to znaczy, że w ogóle się nie znam? Że się nie rozumiem?

Dlaczego cały czas się boję?

I czego?

Boję się bólu i cierpienia. A przecież zdaję sobie sprawę, że jest to konieczne, aby dorastać, rozwijać się, zmieniać... A ja chcę dorosnąć. Dorastać. I nie wstydzić się tego. Dorastać - to przecież rozwijać się i stawać lepszym.

Jak to zrobić, kiedy najczęściej kulę się ze strachu?

Boję się prawdy. Boję się, mimo że wiem, jak wyglądają i jak bolą kłamstwa i niedomówienia. Mam wrażenie, że dopóki milczę na temat tego, co sprawia mi ból - odsuwam to od

siebie. Tak jakby niewypowiedziane nie istniało. Przemówię, pomyślę, napiszę - złe czarne kruki zaatakują bez ostrzeżenia.

Dlaczego jest tyle rzeczy, których się boję? Czy to jest normalne?

Boję się starości. A przecież każdy dzień dodaje mi mądrości. Podobno. Gdzieś to przeczytałam, ale czy w to wierzę?

Boję się przeszłości. Podobno przeszłość nie może już więcej mnie zranić. Bzdura. Mnie rani każdego dnia.

Boję się zmian. Kiedyś, jak jeszcze chodziłam do kościoła, usłyszałam, że nawet najpiękniejszy motyl musi przejść metamorfozę. Musi. Inaczej pozostanie tylko szarym, suchym kokonem. Jak rozpoznać, które zmiany będą dla mnie korzystne?

Boję się zaryzykować. Boję się porażki, przegranej. Staram się wbić sobie do głowy, że przegram, jeśli nie zaryzykuję. Przegram już na starcie.

Przecież już przegrywam.

PRZEGRYWAM.

7 VIII

Jest we mnie wojna. Tak jakby było nas dwie: obie próbują sił, psychicznej wojny, w której role kata i ofiary zmieniają się błyskawicznie i bez końca. Mimo to obie, i kat, i ofiara - szukają bliskości. Czy to znaczy, że jestem jednością? Że te dwie osoby we mnie to jedno? To ja? Jak mam znaleźć swój sposób na życie w świecie, w którym już nic nie ma oprócz formy? Oprócz złudzeń, powierzchowności? Miłości już nie ma. Bóg chyba nie istnieje. Na czym mam się oprzeć? Na czym zbudować swoje życie?

Gdzie są wartości? Nie ma nic oprócz słów, pustych pojęć, które nic nie znaczą. Ale bardzo dobrze mamia, obiecują złote góry, niczym Szatan wodzący Chrystusa na pokuszenie.

Dlaczego tak jest?

Dlaczego tak się dzieje?

Dlaczego czuję, że nie ma już nic prawdziwego na tym świecie? Słowa? Uformowane w gładkie zdania stały się zbiorem wyświechtanych banałów powtarzanych każdemu przy każdej okazji. Tylko naiwne oczy wpatrzone w rozmówcę zmieniają kolor...

Czasami wydaje mi się, że mogłabym z chęcią zadać komuś ból, i fizyczny, i psychiczny. Byle tylko zapomnieć o moim. Zaczynam być przerażona swoimi myślami. Czy są one czysto teoretyczne? Przecież raniąc innych, zranię też siebie. Podstawą tego wszystkiego jest strach. Przez duże „S”. Każda litera jest duża.

Pragnę dotyku, bo słowa i zapewnienia mi już nie wystarczą.

Kłamią.

Zdaję sobie sprawę, że i dotyk może kłamać. Na pewno tak jest. Pragnę dotyku, ale takiego, który jest wyrazem kontaktu na poziomie emocjonalnym, nie fizycznym. Albo przynajmniej nie tylko fizycznym.

Dotyk na poziomie emocjonalnym...

A co to takiego?

Musiałabym pomyśleć, co znaczy dla mnie znajomość z Nikolą, ale za każdym razem jak się do tego zabieram, to odpycham te myśli od siebie. Zastanawiam się dlaczego. Nikola niby jest obecna w moim życiu, ale to tylko złudne wrażenie. Czuję, że to nie ma sensu, wiem, że to ma być tylko niezobowiązująca znajomość, nie chcę niczego innego, za bardzo się boję zaangażowania.

Czuję, że dla mnie to jest „tu i teraz”, wchodzę w to z całą świadomością, tego chcę, a jednocześnie wiem, że taka tymczasowa znajomość jest sprzeczna z moimi wartościami. Każda z nas może odejść w swoją stronę, kiedy tylko zechce, jak tylko poczuje, że ta sytuacja przestaje jej odpowiadać, albo że zaczyna wymykać się spod kontroli. Może tak powinno być. Wiem jednak, że w „normalnym” związku potrzebuję jak powietrza poczucia stałości i bezpieczeństwa. I wiem, że taki... no właśnie, nie mam pojęcia, jak to określić, „związek”? - kiedy to raczej „znajomość” - taki związek mi nie odpowiada. Lubię Nikolę, dobrze mi się z nią rozmawia, ale obie zbyt pragniemy miłości, której nie możemy sobie dać. Niczego od siebie nie chcemy, jednak podświadomie patrzymy na siebie jak na potencjalne partnerki.

16 VIII

Przed chwilą wróciłam z wycieczki rowerowej. Potrzebuję fizycznego zmęczenia, wtedy nie myślę o niczym, jedynym zmartwieniem jest dojechać do domu i odpocząć. Skutkuje... Ale tylko na chwilę.

Muszę przyznać, że mam problem.

Mam problem ze sobą, ze wszystkim, co we mnie tkwi: blokady, strachy, zamknięcia... Muszą skądś pochodzić. Niektóre wiem skąd się wzięły, niektóre - domyślam się. Nie potrafię uwolnić emocji i uczuć, które są we mnie, pozwolić im odejść. Źle się z tym czuję. Może konieczna byłaby wizyta u psychologa? Sabina już mi to sugerowała, ale na samą myśl o rozmawianiu o tym, co czuję, czego się boję, co mnie boli - z kimś obcym, z kimkolwiek, dostaję gęsiej skórki.

Zbyt często mam problemy ze zdefiniowaniem tego, co czuję. Gdy czuję złość, nie wiem, czy to na pewno złość, skąd to pochodzi, jakie są tego przyczyny, a jeśli to naprawdę złość, to na kogo, na co. Kończy się najczęściej wyładowaniem negatywnych emocji na Bogu ducha winnej osobie, która akurat znalazła się w pobliżu. Zbyt dużo tych emocji.

Prawie wszystkie negatywne.

Wysypują się z mojej głowy jak piasek z dziurawego worka gapowatego Grzesia, który to przez wieś go niesie i niczego nie zauważa. Nie potrafię przestać doszukiwać się błędów w moim związku, potrzebuję winnego! Myśli sączą się to wąziutkim strumyczkiem, to nieprzebraną rzeką wspomnień, to kapią od czasu do czasu jakimś obrazem, zapamiętanym słowem, zapachem.

Patrząc teraz z perspektywy czasu, najbardziej przeszkadzał mi brak poczucia bezpieczeństwa w naszym związku, już pod koniec, kiedy domyślałam się, wiedziałam, że wszystko idzie nie tak, że rozstanie jest kwestią czasu.

Nienawidzę braku poczucia bezpieczeństwa. Jestem istotą, która go potrzebuje jak roślina wody.

Zastanawiam się, jak mogłam tak długo wytrzymać, czekając aż mnie Marina zostawi. Bo wiedziałam, że ten moment nadejdzie. Cały czas czekałam. Byłam jednym wielkim skoncentrowanym czekaniem. To było trudne i męczące. Czulałam się jak w próżni, zawieszona na jakiejś cienkiej nitce. Czasem chciałam, żeby Marina w końcu odcięła mnie od czekania. Nie potrafiłam sobie jednak przypomnieć, gdzie schowałam nożyczki.

Podobno wcześniej miała różowe okulary. Dlaczego ja nie miałam różowych okularów?

Albo dlaczego mam je nadal?

Dziwnie się czuję. Nie jestem zdziwiona, kiedy to piszę. Kiedy ostatnio czulałam się „normalnie”? Nie mówię o jakiejś radości, euforii, czy z drugiej strony - smutku czy depresji, ale po prostu normalnie. Co to znaczy „normalnie”?

Czy ja się kiedykolwiek czulałam normalnie? Nawet nie pamiętam. Wydaje mi się, że ta huśtawka nastrojów towarzyszyła mi od zawsze. A w każdym razie od bardzo, bardzo dawna. Od kiedy Marina odeszła, czuję się jak łupinka na wietrze. Miotana to w jedną, to w drugą stronę. Nie mam czym się zaczepić na twardym gruncie. Nie wiem, gdzie się zaczepić. Nie wiem, jak mam się zaczepić. Nigdzie nie potrafię zapaść korzeni.

Nie jestem szczęśliwa. Muszę to sama przed sobą przyznać. Wiem, że szczęśliwym się bywa, permanentne szczęście jest niemożliwe, ale to bywanie musi mieć jakąś bazę: spokój, zadowolenie, wewnętrzną równowagę... Ja tego nie mam.

Może po prostu moje szczęście nie ma odpowiedniego gruntu na wzrastanie, na zadomowienie się? Kiedyś usłyszałam, że przyczyną większości naszych błędów

życiowych, naszych porażek i niepowodzeń jest to, że człowiek odczuwa tam, gdzie powinien myśleć, a myśli tam, gdzie powinien odczuwać. Mnie się wydaje, że ja zamiast myśleć - odczuwam. Chociaż myślę przez cały czas, więc nie wiem, jak to jest możliwe.

Jestem w „moim” mieszkaniu. Powinnam powiedzieć - w „naszym”, bo to moje i Mariny. Już niedługo. Na razie nie ma żadnych śladów jej obecności, zastanawiam się, jak to będzie, kiedy będą się po kątach poniewierać jej rzeczy, skarpetki, szczoteczka do zębów, książki, kosmetyki. .. Leżę na naszym wielkim łóżku i zastanawiam się, jak będzie wyglądało wspólne życie. Póki co nie mogę się tego doczekać. Jestem gotowa zaprosić Marinę do tego mieszkania i do mojego życia. Gładzę szorstką pościel z kory, pachnie nowością, czystością... Wolałabym jedwabną, albo satynową, ale tylko na taką było mnie stać. Za parę tygodni kupimy razem taką, jaką będziemy chciały. Na razie musimy się zadowolić żółtymi gwiazdkami i księżycami na granatowym tle. Trochę to dziecinne, ale mnie się podoba. Wyposażyłam mieszkanie tylko w najpotrzebniejsze sprzęty, resztę dokupimy później, wolę je urządzać z Mariną, chcę tworzyć wspólne życie razem z osobą, którą kocham, nawet jeśli to tylko kilkadziesiąt metrów kwadratowych. Rano chodziłam po mieszkaniu jak dziecko, ciesząc się z każdego kąta. Wyobrażałam sobie, że Marina jest już ze mną, siedzi w fotelu, jemy razem śniadanie. Tak jakbym bawiła się w dom. Zrobię wszystko, żeby był pełen miłości. Zresztą jak mogłoby być inaczej?

Kupiłam już telefon z myślą o Marinie. Na pewno będzie chciała kontaktować się z rodziną, znajomymi, przyjaciółmi w Armenii, rozmowy z telefonu komórkowego są za drogie, zresztą przyda nam się telefon stacjonarny. Podałam już numer Marinie, może zadzwoni wieczorem. Myśl ta dodaje mi skrzydeł, nie umawialiśmy się co prawda na dzisiejszy

wieczór, ale sam fakt, że może zadzwoni, możliwość rozmowy napełnia mnie radością. Marina będzie tu za parę dni. Jestem taka szczęśliwa.

Na dworze jest jeszcze szaro, kiedy otwieram oczy, mogłabym jeszcze spać godzinę czy dwie, pod kocem jest tak rozkosznie ciepło... Nie chcę spać, szkoda mi tego czasu nieświadomości. Marina przyjeżdża jutro wieczorem, chcę cieszyć się czekaniem.

28 VIII

Obiecałam sobie, że do końca wakacji będę codziennie jeździła na rowerze. Może zgubię parę kilogramów, chociaż na tym już mi nie zależy: niby komu miałabym się podobać? Przynajmniej jednak nie będę siedziała w czterech ścianach, dotlenię się, zmęczone, będzie mi łatwiej zasnąć. Jazda na rowerze nie wymaga wielkiego zaangażowania, po prostu kręcę pedałami i uważam, żeby nie wpaść pod samochód, który od czasu do czasu przejeżdża obok mnie, zostawiając za sobą chmurę śmierdzących spalin. Nie licząc samochodów, przejażdżka jest nawet przyjemna: po obu stronach drogi gęsty las, czasem coś tam zaśpiewa, zaskrzeczy, powietrze przyjemnie pachnie nagrzaną trawą i żywicą. Czasem do oka wpada mi owad, mała muszka. Niby nic takiego, a piecze, swędzi, przeszkadza. Oczy łzawią. Zamykam je wtedy i przejeżdżam na oślep jeszcze parę metrów, potem muszę się zatrzymać. Mała muszka urasta do rangi najważniejszego problemu, jeśli nie potrafię jej usunąć.

Czasem wydaje mi się, że to ja sama jestem owadem w moim oku. Jakimś cholernym insektem, który mi przeszkadza.

Sama już nie wiem, co myślę. Jest mi strasznie smutno. Tak bardzo czuję się samotna. Nikola odsuwa się ode mnie. Czuję to. I nie mam jej tego za złe. Przecież sama ją odtrącam, sama nie wiem, czego chcę. Czasami mam ochotę się przytulić, niekoniecznie do niej, Nikoli, po prostu odczuwam ogromną potrzebę przytulenia się do kogoś.

Nie potrafię sama się przytulić.

Utulić siebie.

Szkoda, że to nie jest możliwe.

Nawet w lesie nie potrafię przestać myśleć. Jest tu tak pięknie, tak spokojnie, że moje myśli bezwiednie lecą do Armenii, tak chciałabym to wszystko dzielić z nią. Nie dam rady, muszę jechać dalej, inaczej zwariuję. Wsiadam na rower,

rytmiczne kręcenie pedałami przywraca powoli równowagę. Zmęczenie mięśni odwraca uwagę od zmęczenia umysłu. Byle dalej.

Ledwie wciągam rower na piętro, mogłabym zostawić go w piwnicy, ale perspektywa zejścia do ciemnej, wilgotnej klatki nie jest zbyt nęcąca. Biorę szybki prysznic, woda przyjemnie spływa mi po ciele. Nie tak dawno temu brałyśmy tu prysznic razem, chlapiąc wodą po całej łazience. Nasze piski słychać pewnie było na całej klatce schodowej. Odkręcam zimną wodę, ciało momentalnie pokrywa się gęsią skórką. Następny skuteczny sposób na odwrócenie uwagi od niewesołych myśli. Jestem już chyba ekspertem w tej dziedzinie. Wyskakuję z kabiny, szczękając zębami, szybko okręcam się niebieskim puchatym ręcznikiem. Padam na tapczan: rower odfajkowany, kąpiel też. Co dalej?

Nie lubię niedzieli. Nie lubię, bo wtedy jestem najbardziej sama. Niedziela jest trudna do zniesienia.

Pusta.

Zdradliwa.

W inne dni tygodnia mogę nałożyć maskę pozoru, maskę udawania, ale przecież niedziela jest inna. To dzień rodzinny, dzień odpoczynku. Dzień wolności. Trzeba więc zedrzyć wszystkie maski. Odpocząć.

Niedziela dużo obiecuje, a nic mi nie daje. Maski nie zakrywają tak do końca. Niedziela to rozpaczliwa walka o ukrycie samotności, o ukrycie mojego własnego, głupiego świata, zanim znowu nie nadejdzie poniedziałek, który pozwoli mi powrócić do pozoru i do udawania, powrócić do mojej zewnętrznej powłoki.

Muszę zmienić jakoś moje życie. Nie chcę tak żyć. Przecież ja nie żyję. Ja wegetuję. Staram się przetrwać. Czekałam na następny dzień. Następny tydzień. Następną porę roku. Byle dalej.

Tylko po co?

Co mam zrobić ze swoim życiem?

Co potrafię?

Co mogłabym robić?

1. Znam dobrze języki obce - możliwa praca: nauczyciel, korepetytor, sekretarka, tłumacz.

2. Posiadam ogromną wyobraźnię matematyczną - możliwa praca: niestety już zajęta, bo wykonywana.

3. Dysponuję ogromną ilością strachu i stanów lękowych - możliwe zajęcie: pisanie horrorów.

4. Trochę maluję - możliwe zajęcie: za mało talentu na jakiegokolwiek.

5. Mam w sobie potencjalną nieczułość - możliwa praca: windykator.

6. Mam w sobie za dużo czułości - możliwa praca: lepiej żadna.

7. Od dziecka zawsze coś piszę - możliwa praca: pisarka.

8. Mam w sobie zbyt dużo złości, agresji i nienawiści - możliwa praca: zawodowy morderca.

9. Nie palę - możliwa praca: kreator perfum.

10. Lubię seks - możliwa praca: dziwka.

11. Nie potrafię zasnąć w nocy - możliwa praca: stróż nocny.

12. Nie odczuwam już żadnego apetytu - możliwa praca: modelka (jak schudnę co najmniej jeszcze ze dwadzieścia kilo).

13. Stale używam masek - możliwa praca: aktorka (raczej teatralna niż kinowa).

14. Odczuwam ogromną potrzebę czułości - możliwa praca: w sierocińcu. Tam przynajmniej ktoś by mnie potrzebował. Mogłabym tak jeszcze wymieniać do nocy.

I co mi to daje?

jakie perspektywy?

Żadne.

jutro i tak kolejny dzień. Zwykły dzień. Wiem, że nie będę umiała zasnąć. Wiem, że nie będę chciała się obudzić i wstać, jak już zasnę. Wiem, że i tak wstanę i wsiądę na rower. Pojadę do rodziców. Wiem, że w drzwiach uśmiechnę się i zetrę ten uśmiech dopiero, jak będę wychodziła.

Wiem, że położę się i znowu nie będę umiała zasnąć. Wiem, że znowu coś napiszę.

Tylko po co?

Po co?

Wiem, że znowu nie zwariuję. A chciałabym.

Ile takich zwykłych dni mam już za sobą?

Ile jeszcze takich zwykłych dni mnie czeka?

Dni podobnych do siebie, stapiających się ze sobą jak krople deszczu na szybie, dni powtarzalnych, przewidywalnych, zazębiających się o siebie jak kręgi na wodzie. Nie chcę zauważyć, że ten krąg zacieśnia się wokół mnie coraz szczelniej. Jak pętla powoli zaciska mi się na szyi. To dlatego się duszę, nie potrafię oddychać.

Tracę nadzieję, że wygram z samotnością, z niekończącą się ucieczką od siebie, od świata, od innych...

Ale przede wszystkim od siebie.

I od Mariny.

Paraliżuje mnie myśl, że już nigdy nikogo nie zdołam tak mocno pokochać.

Tracę nadzieję, że uda mi się przeżyć.

Wkładam oblepione ciastem ręce pod kran z bieżącą wodą, okleiłam przy okazji kurek, podejrzewam, że na podłodze również znajduje się spora porcja kleistej substancji. Wprawdzie dzwoniłam do mamy po przepis na pierogi i skrzętnie zanotowałam składniki i proporcje, które mi podała, jednak jestem przekonana, że z moim ciastem jest coś nie tak. Nie bardzo daje się rozwałkować, strzępi się, rwie, przykleja

do wałka. Niemniej jednak udało mi się jakimś cudem wyprodukować blisko pół setki ruskich pierogów. Kosztowało mnie to wiele nerwów, ale czego nie robi się w imię rozkwitającej miłości? Marina będzie tu za... spoglądam na zegarek, około dwie godziny, jeszcze zdążę ogarnąć popierogowy nieład w kuchni i zrobić się na bóstwo.

Nie mogę uwierzyć, że to już dzisiaj, czas od jej wyjazdu minął błyskawicznie, jak tylko dowiedziałam się, że wróci. Wkładałam ostatni pierożek do lodówki, uśmiecham się na myśl o reakcji Mariny na moje kulinarne dzieło. Na pewno się ucieszy, pamiętam, jak jej smakowały mamine pierogi, pałaszowała aż jej się uszy trzęsły i prosiła o dokładkę. Aż się zastanawiałam, gdzie jej się to wszystko mieści. Nie wiem, skąd się bierze przekonanie, że moje będą jej smakowały jeszcze bardziej.

Ostatnio zauważam u siebie wzrost pewności siebie graniczący wręcz z pychą. Ech, co miłość robi z człowiekiem.

W zasadzie wszystko jest gotowe. Mieszkanie lśni czystością, doprowadzić je do takiego stanu było dla mnie nie lada wyzwaniem: nie cierpię sprzątać, uważam, że bieganie ze szmatą czy odkurzaczem to strata czasu, który można spożytkować na sto innych, o wiele przyjemniejszych sposobów. Wstyd przyznać, ale wcale nie czuję się źle w lekkim bałaganie, wręcz lubię „artystyczny nieład” wokół mnie, O definicję tego „nieładu” toczyłam w czasach licealnych zażarte boje z mamą, dla której granica między lekkim nieporządkiem a bałaganem była bardzo cienka i najczęściej dostrzegała ją w zupełnie innym miejscu niż ja. Dzisiaj jednak czekam na najważniejszego gościa w moim życiu, poza tym sprzątanie własnego mieszkania to zupełnie co innego niż doprowadzanie do ładu pokoju dzielonego z siostrą. Sprawia o wiele więcej przyjemności.

Boże, jak się cieszę! Za chwilę chyba zacznę kręcić piruety w łazience. Spoglądam na twarz w lustrze, wyglądam dokładnie tak, jak się czuję: fantastycznie. Oczy błyszczące, rumieńce na policzkach, uśmiech. Nic dziwnego, że taka wystrzałowa babka jak Marina się we mnie zakochała. Puszczam oczko do własnego odbicia i śmieję się z własnej głupoty, wychodząc z łazienki. W tym momencie słyszę pukanie. Marina, Marina, Marina! Kiedy sięgam do klamki, w ułamku sekundy przechodzi mi przez myśl, że nie powinnam się tak cieszyć, bo może po prostu to sąsiadka z dołu, listonosz, koleżanka, ktokolwiek. Jednak nie... To jak najbardziej Marina we własnej osobie. Nie potrafię powstrzymać pisku radości i rzucam się jej na szyję. Dziewczyna wydaje się nieco zaskoczona, rozumiem ją, sama jestem zdziwiona, nie należę do osób wylewnych, na co dzień raczej kontroluję emocje, jednak moja radość tak długo była tłumiona, że nawet zaciekawione spojrzenia wchodzących po schodach sąsiadów nie są w stanie mnie powstrzymać. Smętne resztki nieuśpionego rozsądku każą mi jednak wciągnąć Marinę do środka i dopiero w przedpokoju delikatnie się całujemy. Czuję, że moje serce wykonuje dziwne ewolucje ikrobotyczne: wędruje na dół, do góry, na boki. Odrywam się od ust Mariny, by ogłupiały narząd wrócił na swoje miejsce. Dziwna ta moja radość, aż boli, tak bardzo jest intensywna.

Idę do kuchni przygotować kolację, Marina zabiera zapomnianą na korytarzu walizkę, prosi o parę minut i znika w łazience. Stoję przy kuchence i patrzę na pływające w wodzie pierogi. Według wskazówek mamy dodałam dwie łyżki oleju do gotującej się wody i teraz po powierzchni pływają wielkie tłuste oka. Nie wygląda to zbyt apetycznie. Zmniejszam gaz pod pierogami, z łazienki dochodzi mnie plusk wody. Opieram się o drzwi.

Właśnie rozpoczynam nowy etap w życiu.

Rozpoczynamy.
Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

12 IX

Jutro urodziny Mariny. Nie wiem, co będę robić. Najchętniej zwinęłabym się w kłębek i o niczym nie myślała. Jak przespać ten dzień? Niby zwyczajny, ale przecież tyle wspomnień się z nim wiąże. Nie chce mi się o nim myśleć. Już teraz nie potrafię spać. Nawet pisać mi się nie chciało, ale co mam robić? Leżeć i patrzeć w sufit? Zacisnąć oczy i liczyć barany? Spróbować zobaczyć jakiś film? Posłuchać muzyki?

Wszystkiego już próbowałam i nic nie działa. Jestem odporna na wszystko, sen nie przychodzi.

Włączyłam komputer i spróbuję terapii przez pisanie. Ale nawet pisać mi się nie chce. Kompletna beznadzieja.

Dlaczego teraz mnie nie ma z nią? Przecież dzień urodzin jest dniem szczególnym, dniem, w którym dziękuje się światu za to, że postawił na naszej drodze kogoś, na kim nam zależy. Tak było do tej pory. A teraz? Teraz nie mam prawa już z nią być w tym dniu. Nie mogę się czuć kimś specjalnym, o kim się w taki dzień myśli.

Wysłałam Marinie prezent. Zdaję sobie sprawę, że zupełnie niepotrzebnie, teraz źle się z tym czuję, jakbym narzucała się jej swoją obecnością w nieoczekiwanym i pewnie niechcianym prezencie. Pewno odłoży na kupkę razem z innymi.

Czy to zresztą jest najważniejsze?

Dlaczego w takie dni czuję się taka samotna? Tysiąc razy bardziej samotna niż w normalny dzień.

I tak samo będę się czuła w walentynki.

I w moje urodziny.

I w Boże Narodzenie.

I w Wielkanoc.

I we Wszystkich Świętych.

Niech ktoś wymaże te dni z kalendarza. Ludzie nie powinni się czuć samotni w takie dni. Przecież one powinny

być piękne. I są piękne. Powinny przynosić tylko uśmiech i szczęście.

W takie charakterystyczne, szczególne, pełne miłości dni jest najgorzej.

Ile jeszcze ich przede mną?

Nie chcę tych dni, nie chcę pamięci o nich. To z upływem każdego dnia poznawałyśmy się coraz lepiej, kolejne zdarzenia nabierały konkretnych kształtów. Uczyłam się jej znajomych, koleżanek, kolegów z podwórka, przedszkola... Uwielbiałam słuchać historii z Mariną w roli głównej i tych o małych łobuzach, których imion nigdy nie byłam w stanie zapamiętać ani wymówić, tak egzotycznie brzmiały. Ona wiedziała, że środa nie jest moim ulubionym dniem, ja żałowałam jej w piątki, bo zawsze tyle spraw miała na głowie... Ona przypominała mi, że mam jeść warzywa i owoce, ja - żeby znalazła trochę czasu dla siebie, żeby odpoczęła. To jej miałam ochotę powiedzieć, że dzisiaj jest mi bardzo smutno, że wczoraj widziałam wiewiórkę, a zachód słońca był taki... taki piękny, że o mało się nie popłakałam.

Nikola kiedyś mi powiedziała, że jestem okropna. Że źle ją traktuję.

Czy ja naprawdę jestem taka zła?

Czy nie mam prawa zwinąć się w kulkę jak jeż?

Z jednej strony to tłumaczy, dlaczego Marina odeszła.

Kto chciałby zostać ze mną?

Przynajmniej jest to logiczne.

Tylko dlaczego jakoś mnie to nie cieszy?

13 IX

Wszystkiego najlepszego, kochanie...

Wiem, że nie powinnam tak do niej mówić, ani nawet myśleć, ale nie potrafię się powstrzymać.

Czuję się, jakbym bawiła się w dom. Znowu mam kilka lat, grzywkę, piegi na nosie i głowę pełną marzeń o „dorosłej” rodzinie. Inna fryzura, piegi też, chwała Bogu, zniknęły z biegiem lat, tylko marzenia pozostały. Właśnie się spełniają. Nie obchodzi mnie to, że w świetle polskiego prawa nie stanowię z Mariną podstawowej komórki społecznej, jaką jest rodzina złożona z kobiety i mężczyzny. Dla mnie to kwestia nazwy. Wszystko mi jedno, czy dla innych będę jedynie w nieformalnym związku. Ja czuję, że zaczynam mieć rodzinę. Marina jest moją rodziną. Dopiero teraz wszystko wygląda tak jak powinno. Po raz pierwszy od kilkunastu lat zjem normalne śniadanie, przy stole, podane na talerzu. Nie będą to kanapki zawinięte w papier i zjedzone gdzieś w pośpiechu między jedną czynnością a drugą. Fruwam po malutkiej kuchni, przygotowuję herbatę - zieloną dla Mariny, czarną dla mnie, biorę do ręki graham. Mmmm... Świeży chleb pachnie jak nic innego na świecie, już mam zatopić zęby w spieczonej, pachnącej skórce, ale dochodzę do wniosku, że obgryzione kromki na talerzu, chociażby tylko moim, nie będą wyglądały zbyt zachęcająco. Cieszy mnie wszystko, to, jak nóż przechodzi przez piętękę i zatapia się w puszystym miększu, smarowanie masłem prostokątnych kromek, dekorowanie ich plasterkami ogórka i pomidora. Przygotowanie śniadania zmienia się z prozaicznej czynności w radosny rytuał. Czyżbym zamieniała się w kure domową? Wzorową gospodynię z wałkiem i w kwiecistym fartuszku? Coś w tym pewnie jest, tylko fartuszka, tym bardziej w kwiatki, jeszcze nie posiadamy.

Marina jeszcze smacznie śpi. Mam ochotę wejść do sypialni, położyć się obok niej, posłuchać, jak oddycha, przytulić się i poczuć jej zapach. Mam wrażenie, że każda minuta spędzona osobno jest czasem zmarnowanym. Kończę szybko kanapki, stawiam na stole i zamykam za sobą drzwi.

18 IX

Dzień dosyć dziwny.

Jesień - jeszcze nie. Lato - już nie.

Liście...

Niby pięknie, i rzeczywiście jest pięknie, ale jakbym bała się to zauważać. Takie piękno tylko dla mnie? Dotąd dzieliłam się tym z Mariną. A teraz? A przecież tę szczególną czerwień liści trudno zachować tylko dla siebie. To tak jak z radością: jest podwójna, gdy można się nią podzielić, tak samo wszystko to, co mi zapiera dech w piersiach, bo jest takie nieziemsko piękne... jakby traci kontury, gdy muszę zatrzymać to dla siebie. Muszę - lub nie chcę się dzielić. Duszę się tym pięknem i nie chcę go. Zauważam i udaję, że nie widzę, chcę widzieć - a jednocześnie nie chcę. Dlaczego nawet taki widok czerwono - żółtego drzewa boli? Jest takie piękne w swej prostocie... W ogóle jesień jest piękna. Puszy się kolorami jak paw. Chciałabym złapać kogoś za rękę, potrząsnąć delikatnie i powiedzieć, zawołać: „Widzisz?”, „Widzisz?”. Zobacz, powiedz, że też widzisz, że też czujesz to, co ja, że w takiej chwili nic nie trzeba więcej...

Brakuje mi tego kogoś. Mam ochotę wyć. Przyspieszam kroku, chcę już być w mieszkaniu, przynajmniej tam mogę spokojnie płakać.

Nie wiem, co mi jest.

Depresja jesienna?

Gdyby to było to, wtedy okazałoby się, że ja niestety mam wszystkie możliwe depresje: zimową, wiosenną, letnią... Teraz zaczyna się jesień, więc czas na jesienną.

Mam ochotę albo się napić, albo zasnąć, albo... Sama już nie wiem co. Mam ochotę zadać sobie ból, ale taki fizyczny. Psychicznego mam już dosyć. Aż nadto. Wydaje mi się, że kiedy zadam sobie ból fizyczny, wtedy nie będę uciekać, bo już nie będzie gdzie. Cały wszechświat skurczy się do

pulsującego fragmentu skóry przypalanej papierosem. Tylko po co mi to? Mogę odetchnąć od bólu psychicznego, zastępując go fizycznym, namacalnym. Czy to nie paranoja?

Czy jest w tym choć cień sensu?

Może to daje mi złudzenie kontroli nad moim życiem? Udawać, że ją mam? Przecież to tylko pozory.

Po to, żeby mieć namiastkę wolności? Jestem wolna, więc robię co chcę? Wolność polega na tym, że można być czubkiem, wariatem, stukniętym. Mieć gdzieś wszystko i wszystkich.

Czy na pewno to jest wolność?

Wolna jestem wtedy, kiedy piszę. Moje słowa wypowiedane - są dla świata, w którym żyję, w którym muszę żyć, bo nie mam wyboru. Słowa, które piszę - są dla mnie wolnością. Są prawdziwe. A wolność to prawda.

Tego jestem pewna.

Wieczór.

Za chwilę będzie noc. Nie chcę nocy.

Boję się nocy.

Noc jest najgorsza. Szukam twardego gruntu, na którym mogłabym stanąć, szukam czegoś pewnego, czego mogłabym się trzymać. Nie mam. Nie znajduję.

Jak szukać?

Czasami wydaje mi się, że znajduję, ale jak tylko wyciągam rękę - wszystko zamienia się w cień, a cień zamienia się w nicość. Wszystko jest złudzeniem. Wszystko jest fatamorganą. Każdy kierunek jest kłamstwem.

Lęk gęstnieje wokół mnie jak mgła. Coraz gęstsza, coraz mniej widzę. Jest biała jak mleko. Nie widzę już nic wokół. Nie widzę już siebie.

Jak więc powinnam żyć?

Jak żyć, umierając i umierać, żyjąc?

Jak poddać się, walcząc i walczyć, poddając się?

Każda moja droga zmierza do sprzeczności.

Nie wiem, kim jestem.

Nie wiem, czy stoję, czy siedzę.

Nie wiem, czy śpię, czy to wszystko mi się śni.

Chyba zaczynam wariować.

Nawet już nie myślę. Nie wiem, co dzieje się w mojej głowie. Jakieś następstwo obrazów, snów i wrażeń, krótkich jak mgnienie oka, ułamek sekundy.

Jak je uchwycić, jak je zatrzymać? Muszę się im przyjrzeć, zrozumieć.

Dlaczego jest mi tak zimno?

Dlaczego nie mogę pozbyć się tego chłodu, po prostu wkładając sweter?

Niewiarygodne, jak człowiek szybko przyzwyczaja się do dobrych rzeczy. Marina mieszka ze mną od niedawna, a ja mam wrażenie, że tak było zawsze. Nie pamiętam życia przed Mariną. Całe moje życie jest tu i teraz, z nią. Zły, niedobry chochlik szepcze mi do ucha, że nie ma pewności, co będzie potem, wyganiem go jednak z moich myśli, posłusznie znika, uśmiechając się do mnie złośliwie. Wykonał swoje zadanie: ziarnko wątpliwości zostało zasiane. Jedyne, co mogę zrobić, to nie podlewać go strumieniem niepotrzebnych refleksji, może samo uschnie.

Marina woła mnie z kuchni, pyta, na którą jesteśmy umówione z Sabina. Spoglądam na zegarek, powinniśmy być u niej za kwadrans. Jestem podekscytowana, właśnie idziemy do mojej przyjaciółki oficjalnie, jako para. Sabina wie o wszystkim od dawna, ale będą tam też jej znajomi. Trochę się denerwuję, spoglądam na Marinę, ale w jej oczach widzę jedynie lekkie zniecierpliwienie, że jeszcze nie jestem gotowa. Marina jest maniaczką punktualności, nie toleruje spóźnień ani u siebie, ani u innych. Nie ma sensu tłumaczyć jej, że do Sabiny możemy wpaść nawet w nocy, a ona się nie zdziwi.

Całuję ją przelotnie w zmarszczony nosek, zabieram klucze i wychodzimy. Na schodach mijamy naszą sąsiadkę, przygląda nam się z zaciekawieniem, ale odpowiada z uśmiechem na pozdrowienie. Pewnie bierze nas za koleżanki mieszkające razem. Ciekawa jestem, czy ten uśmiech zagościłby na jej twarzy, gdyby wiedziała, że to moja dziewczyna. Wątpię.

Nie jestem zwolenniczką opowiadania wszystkim od razu, co nas łączy, ale źle znoszę to wieczne ukrywanie się i niedopowiedzenia. Marina również. Nic nie mówi, ale czuję to. Nie po raz pierwszy uświadamiam sobie, jak wielka przepaść dzieli mnie i Marinę od reszty „normalnych”, jak pewnie powiedzieliby o sobie, ludzi. Dlatego tak cieszę się na spotkanie z Sabiną, strasznie zależy mi na tym, żeby jej znajomi nas zaakceptowali. Potrzebuję odrobiny normalności, zwykłej codzienności. Mam ochotę wziąć Marinę za rękę, poczuć jej drobną dłoń w mojej. Spoglądam w górę, sąsiadka patrzy na nas nadal z uśmiechem i macha ręką. Oddaję jej uśmiechogrymas i myślę, że jestem wielkim tchórzem, biorę Marinę pod rękę, bo to na pewno na tym świecie jest normalne.

Dziwnie się czuję, idąc znajomą ścieżką z kimś, kogo kocham. Czasem szłam do Sabiny z grupką koleżanek, najczęściej jednak sama, a dzisiaj wszystko jest inne. Niby nic się nie zmieniło, z płotu sąsiadów jak zawsze obłazi zielona farba, jak zawsze mam ochotę przystanąć i podrapać żelazne pręty, może zmusiłoby to właścicieli do zadbania o swoją posesję... Tak samo szczeka pies po przeciwnej stronie ulicy, nawet dzwonek do drzwi nie brzmi dzisiaj inaczej. Sabina też nie zmienia swoich przyzwyczajień, rzuca mi przez okno klucze, żebyśmy otworzyły sobie drzwi. Przez głowę przelatuje mi myśl, że mogłaby przynajmniej dzisiaj zejść i otworzyć, jak przystało na gospodynię domu, ale sama besztam się w duchu. W końcu chciałam normalności i

codzienności, to je mam. Wchodzimy do pokoju, Sabina znika jeszcze w kuchni, a po chwili wyłania się z niej, niosąc przekąski i małe, fikuśne kanapeczki. Przyjedzie Piotr z Basią, na pewno będą głodni, wpadnie też Iwona, prosto z pracy, więc jedzenie jest jak najbardziej wskazane. Jestem trochę zażenowana, ale kiedy Sabina mówi Marinie, że dawno nie widziała mnie takiej szczęśliwej, zapominam o wszystkim. Siadam obok niej, Marina bierze mnie za rękę i nie potrzeba mi niczego więcej. Przynajmniej na razie.

Dzwonek do drzwi, Sabina powtarza rytuał z kluczem, boję się, że kiedyś z tego okna po prostu wypadnie. Słysząc stukot obcasów i do pokoju wpada Iwona, a wraz z nią niesamowita energia. Widać, że dziewczynę zżera ciekawość, zastanawiam się, co jej Sabina już powiedziała, bo nie wygląda na zdziwioną, kiedy widzi mnie i Marinę trzymające się za ręce. Zainteresowanie w jej oczach nie jest złe, a tego najbardziej się obawiałam. Marina jest teraz zdenerwowana, jej dłoń poci się i leciutko drży. Staram się dodać jej otuchy lekkim uściskiem, kiedy przychodzą Piotr i Barbara. Piękni i zakochani jak zawsze. Ale dzisiaj im nie zazdroszczę. Dzisiaj mogłabym objąć cały świat. Jakie to proste, kiedy jest się szczęśliwą! Przez kilka minut wymieniamy uprzejmości, odpowiadamy na pytania. Odpowiedzi znamy na pamięć. Skąd się znamy, od kiedy, co, jak, gdzie, dlaczego... Tyle razy już to przerabialiśmy, tyle tylko, że dzisiaj nie występujemy jako koleżanki ze wspólnego mieszkania. Wyskakujemy z niewygodnych kostiumów przydzielonych nam przez społeczeństwo i stajemy się parą. Jest o wiele wygodniej. Jesteśmy parą, wszyscy o tym wiedzą i... jest mi z tym dobrze. Dlaczego inni ludzie nie mogą reagować podobnie? Wszystko byłoby o tyle prostsze!

20 IX

Nie wiem, jak to jest możliwe, ale z wczorajszego dnia nic nie pamiętam. Tak jakby w ogóle go nie było. Mózg wyczyścił wszystkie informacje. Czuję się jak komputer, z którego ktoś usunął dane, naciskając po prostu „delete”.

Muszę to powtórzyć, bo działa całkiem nieźle.

Kompletna czystka. Ale potrzebna.

Muszę sobie poustawiać priorytety w życiu. Oddzielić to, co jest dla mnie ważne od tego, co jest mniej ważne, albo wręcz zaśmieca moje życie.

Postanowiłam, że na czele mojej listy będzie teraźniejszość. Wcale nie przyszłość. Już nie chcę czekać na to, co się wydarzy. Nie chcę czekać, że ktoś napisze, zadzwoni. Nie chcę czekać na nic ani na nikogo.

Nie wiem, czy to jest dobry wybór.

Ani nie wiem, czy w nim wytrwam.

Za bardzo czuję się samotna. A kiedy czuję się samotna, potrzebuję wokół siebie kogoś, kto zna odpowiedzi na „wielkie” pytania. Na pewno by mi to pomogło.

Czy naprawdę?

Czy to nie jest głupie?

Czy to nie jest naiwne, oczekiwać, że ktoś powie mi, co zrobić, aby odnaleźć miłość, szczęście i spokój? Mam wrażenie, że mieszkam na księżycu.

Mieszkam na księżycu.

Mieszkam na księżycowej pustyni.

Gdy przyglądam się temu miejscu, to widzę, że nie ma tam nikogo. Tylko ja. Dziwny stwór z wielkimi oczami. Czasami przemykają się jakieś niezidentyfikowane postacie, ale poza tym niczego ani nikogo tam nie ma.

Może czas na zmianę miejsca?

Muszę to zrobić.

Zostawię wszystkie niepotrzebne graty, zdejmę ubranie i naga odejdę w lepszy czas.

Potrzebuję przewodnika.

Noc.

Cholerna, popieprzona niedziela nie chce się skończyć. Nienawidzę niedzieli. Nienawidzę!

Nienawidzę!

Soboty też. W ogóle weekendu. Wtedy czuję się najbardziej sama. Przychodzą takie momenty, że naprawdę już nie chce mi się żyć. Niby nic straszego się nie stało, ale te dni wypijają ze mnie ostatnie resztki nadziei i energii.

Dzisiaj było tak pięknie... Dlaczego nie potrafię się tym cieszyć sama? Czy wszyscy ludzie potrzebują do tego kogoś?

Czy tylko ja jestem taka dziwaczna?

Zmusiłam się, żeby wyjść z domu, ale to nie był strzał w dziesiątkę. Chrząst liści pod stopami...

Piękne słońce, czułam je na policzkach...

Lekki wiatr, już jesienny, pachnący świeżo zaoraną ziemią...

Piękne światło, piękne widoki, las skąpany w słońcu...

Wydłużone pomarańczowe cienie kładące się do stóp...

Wszystko takie piękne...

Dlaczego więc musiałam powstrzymywać łzy cisnące się do oczu?

Czasami wydaje mi się, że więcej już tego nie wytrzymam.

Szkoda mi, że mam tylko jedno życie. Szkoda mi, że się tak paprze. Przecież teoretycznie to są moje najpiękniejsze lata. Najpiękniejsze momenty. Czas, kiedy się kocha, kiedy jest się kochanym, kiedy patrzy się śmiało przed siebie i śmieje pełną pierśią, na całe gardło, bo życie przecież jest takie fascynujące.

No właśnie.

Czuję się jak kaleka.

Noc.

Nie umiem zasnąć.

Nowość, prawda?

Sama już nie wiem, o czym mam myśleć. Nie chcę myśleć. Nie chcę, bo wariuję.

Dlaczego nie zwariuję tak do końca?

Kiedy tak podle się czuję, chciałabym być muchą na ścianie, robakiem, pyłkiem, albo najlepiej - w ogóle nie istnieć. Jak mam stanąć przed moimi uczniami i udawać, że wszystko jest w porządku? Przecież ja już nie mogę... Nie mam siły.

Po cholere wybrałam ten zawód? Przecież o wiele bardziej interesuje mnie stawianie pytań niż udzielanie odpowiedzi! Stojąc na środku klasy i tłumacząc jakiś pierdolony problem matematyczny, nie mogę się doczekać końca, aby wyjść, znów się odizolować, gdzieś sobie pójść, rozmyślać i pisać.

A jednak, chcąc czy nie chcąc (raczej nie chcąc), stałam się niejako osobą publiczną, rozpoznawalną, przynajmniej dla części uczniów mojej szkoły i ich rodziców. Nie jestem już nieśmiała, stojąc przed klasą, wycisnęłam z siebie ten lęk i... wcale nie czuję się lepiej. Prawdą jest, że im więcej rozmyślałam nad moim „wewnętrznym ja”, tym mniej zastanawiam się nad tym, co mogą pomyśleć inni. Chociaż i tak mnie to boli, jeśli komentarze są nieprzychylne. Zawsze tęskniłam do uczucia beztroski i całkowitej niezależności od zdania innych ludzi. Czasami udaje mi się ten stan osiągnąć, czasami nie.

Gdzie jest ten cholerny sen?

22 IX

Sama nie wiem, dlaczego piszę. Przecież to nie ma sensu. Nic nie ma sensu.

Czy w ogóle cokolwiek ma sens?

Na nic już nie mam ochoty, nawet na pisanie.

A przecież to jedyna przyjemność, jaka mi jeszcze została, to „wyrażanie siebie”. Potrzebuję tego jak porannej kawy. Potrzebuję poznania siebie.

Tylko czy to jest możliwe?

Niby wiem, że życie nie jest z góry zapisane. Wiem, że to my je stwarzamy, każdy pojedynczy dzień, każdą minutę i sekundę.

I jakie będzie, tak naprawdę w dużej mierze zależy od nas.

Moje życie zależy ode mnie.

Przeraża mnie to.

Strasznie brakuje mi tych rozmów z Mariną. Nie pogaduszek o wszystkim i o niczym, ale spokojnych, filozoficznych rozmów. Na pewno byliśmy strasznie naiwne w tych naszych rozważaniach, ale jakie one były ciekawe! Przecież ludzie nie są tylko materialni! Istnieją też jako istoty duchowe. Bardzo mało wiem o duchowości, Marina zresztą też niewiele więcej, ale jakie to było interesujące... Tak jakbyśmy rozbierały się na czynniki pierwsze. Nasze pierwsze wspólne stwierdzenie pamiętam do dziś, było jak olśnienie: religie nie objaśniają nam świata ani nie zaspokajają naszych duchowych potrzeb. Tak naprawdę kościoły raczej dzielą, niż jednoczą ludzi, w zależności od tego, czy wyznają chrześcijaństwo, buddyzm, islam, czy co tam jeszcze. Z nikim innym o tym nie rozmawiałam i jakoś nigdy o tym nie pomyślałam.

Dyskusja przeciągnęła się do świtu.

Boże, jak mi tego brakuje... Budziłyśmy się nawzajem w nocy, bo jakieś pytanie nie dawało nam spokoju... Nie

znajdowałyśmy odpowiedzi, ale to było takie... Sama nie wiem, jak to ująć słowami. Naprawdę nie wiem.

Zawsze zależało mi na omawianiu moich uczuć z osobą, którą kocham. Zawsze moje osobiste poszukiwania i pytania wydawały mi się niepełne i niesprawdzone, jeśli nie uczestniczyła w nich Marina.

Może powinnam zaakceptować, że nigdy nie będę taka jak ona. Zadaję sobie mnóstwo pytań, to prawda, ale dużo rzeczy i sytuacji przyjmuję takimi, jakimi są. Bez wgłębiania się w nie. Marina drążyła aż do utraty tchu. Próbowaliśmy iść razem, ale mimo że chciałyśmy sobie towarzyszyć, zawsze na jakimś odcinku jedna z nas przyspieszała, zwalniała lub rezygnowała.

Ani mojej drogi, ani jej nie powinnam osądzać: były po prostu inne. Jej życie wydawało się serią pytań. Moje raczej polegało na akceptacji odpowiedzi lub próbie znalezienia odpowiedzi.

Czasami wydaje mi się, że Marina wyidealizowała mnie do tego stopnia, że cokolwiek bym robiła, nie mogłabym temu sprostać, nawet gdybym próbowała nie wiem jak mocno.

A czasem...

Czasem wydaje mi się, że na pewno bym potrafiła...

Może i tu się mylę.

Zaczynam rozumieć, że dla Mariny najważniejsza była wolność. Miłość, którą początkowo się zachłysnęła, była jedynie dodatkiem.

Moja miłość jej przeszkadzała. Do tej pory nie potrafię tego zaakceptować, ale chyba tak było.

Marina idzie dzisiaj po raz pierwszy do pracy. To tylko godzina dziennie, ale jestem z niej bardzo dumna. Sama znalazła ogłoszenie, szukano anglistki z wyższym wykształceniem do udzielania lekcji w przedszkolu. Nie mam pojęcia, jak dostała tę pracę: nie jest anglistką z wykształcenia, nie ma dyplomu wyższej uczelni, nie jest Polką... A jednak.

Widocznie i na panie przedszkolanki działa urok osobisty mojej dziewczyny. Formalnie będzie przychodzić do przedszkola na zasadzie wolontariatu, ma dwie grupy po pół godziny, starszaki i maluszki. Plusem jest to, że prawie w ogóle nie mówi po polsku, dzieciaczki, chcąc nie chcąc, będą musiały zacząć mówić po angielsku. Albo... Marina po polsku, żeby w ogóle się ze sobą dogadali. Same korzyści, obojętnie z której strony na to nie spojrzeć. Uśmiecham się do siebie, spoglądając na jej pochyloną głowę i skupioną minę. Zagryza wargi i przygotowuje pomoce naukowe: zaglądam jej przez ramię, rysuje jakieś postacie, figury geometryczne. Nie sądziłam, że będę miała obok siebie koleżankę po fachu. Też ciało pedagogiczne. Łączy nas coraz więcej. Staję za nią i obejmuję. Wtulam twarz w jej włosy. Wyczuwam delikatny zapach dymu z ogniska. Sąsiad pewnie znowu robił porządki na działce, wystarczy kilka minut, a całe ciało przesiąka aromatem palonej trawy i liści. Nie lubię tego zapachu, ale połączony z zapachem Mariny działa na mnie jak magnes. Całuję ją delikatnie po szyi, Marina odkłada kredki, wyciąga się i przegina jak mały, nastroszony kotek. Nie wiem, czy ma świadomość, jak niesamowicie na mnie działa. Odwraca lekko głowę, usta Mariny smakują dżemem poziomkowym... Jeśli tak wygląda codzienność, to niech trwa.

23 IX

Mam wrażenie, że błędzę jak lunatyczka. Wpadam na siebie, wpadam na innych ludzi, raniąc i siebie, i innych. Czasami nawet tego chcę...

I to jest najgorsze.

Nie potrafię nawiązać kontaktu ani ze sobą, ani z nikim innym. Boję się własnych słów i tego, co mogłabym usłyszeć od innych.

Stale czegoś szukam.

Szukam.

Szukam.

Szukam.

I... nie znajduję.

Stale towarzyszy mi uczucie poszukiwania siebie, tego, kim naprawdę jestem. Moje myśli mijają się, czasami się zderzają, dałabym głowę, że słyszę, jak się stukają, ale nic z tego nie wynika.

Stale zadaję sobie pytanie, kim jestem. Ile razy napisałam te dwa słowa ze znakiem zapytania na końcu? „Kim jestem?” Moja własna tożsamość stale jest dla mnie tajemnicą. Przeraza mnie i jednocześnie fascynuje. Tożsamość jest jedyną rzeczywistością: kim jestem? Kim jest każdy inny? Dlaczego robię to, co robię? Dlaczego mówię to, co mówię? Dlaczego inni postępują tak, a nie inaczej? Czy istnieje we mnie coś, co jest poza moją własną świadomością? Czy nigdy tego nie będę w stanie poznać?

Nikola stale pyta, co myślę. Naprawdę nie wiem, co jej odpowiedzieć. Nie wiem, co mam myśleć o tym, co jest między nami. I czy cokolwiek jest... Przeszkadza mi to, że Nikola chciałaby się ze mną spotykać, myśli o mnie jak o potencjalnej partnerce, może nawet chciałaby się ze mną kochać... Cholera, jestem już tym wszystkim zmęczona. I

kompletnie się pogubiłam. Nie wiem, co mam zrobić. Nie jestem nawet gotowa, żeby pomyśleć o własnych myślach.

Jestem opętana Mariną.

Jej nie ma i nie będzie.

Potrzebuję bliskości i ciepła.

Jest Nikola.

Ale nie będziemy razem. Nigdy. Więc to nie ma sensu. Po co mam się wikłać w coś, co nie istnieje i nigdy nie będzie istnieć. Brakuje mi dotyku i przytulenia, ale niekoniecznie to musi być Nikola... Potrzebuję dystansu, żeby spojrzeć na tę sytuację obiektywnie. Boję się, że życie znowu stanie się szare, smutne i beznadziejne, jak przestanę się z nią spotykać? To jedyny powód?

Co ja robię z nią?

Kto mi powie, co mam robić? Staram się w ogóle nie myśleć i odsuwać od siebie rzeczy, sytuacje, nad znaczeniem których nie mam ochoty się zastanawiać, ale na dłuższą metę jest to niemożliwe. Lubię Nikolę, ale coś jest nie tak.

Wszystko jest nie tak.

Czuję to.

Połowa mnie opiera się tej znajomości, nie chce jej. Podświadomie wycofuję się, bo wiem, że nie jestem na tyle silna, by znieść ewentualne konsekwencje naszego „związku”. Nie chcę znowu cierpieć, cokolwiek by to znaczyło i obojętnie dlaczego miałabym cierpieć.

Nic już nie wiem.

Kilka dni temu pisałam i pisałam, aż zaczęło mi się kręcić w głowie. Piszę, żeby zrozumieć, ale nie rozumiem. Piszę, żeby zdecydować, co zrobić, ale nie potrafię podjąć decyzji. Piszę, żeby zebrać to, kim jestem, czego pragnę, dokąd idę, dokąd zmierza moje życie. Piszę i... nadal tego nie wiem.

24 IX

Przed chwilą uciekł mi autobus. Sama nie wiem, po co biegłam na przystanek, wiedząc, że prawdopodobnie nie zdążę.

Przecież nawet nie mam do czego wracać.

Ani do kogo.

Do czego mam wracać? Do znajomego - nieznanego świata, z jego pospieszną krzątaniną, przypadkowymi związkami, głupimi romansami, całym tym pośpiechem bez widocznego celu, do pracy, pieniędzy, pogoni za nie wiem czym? Jestem do tego przyzwyczajona - nieprzyzwyczajona. Nie odczuwam przecież jego braku, kiedy jestem gdzie indziej. W ogóle mi go nie brakuje. Nie tęsknię za nim. Pieprzę autobus i powrót do domu, niedaleko szkoły jest park. Nogi same mnie niosą... Powietrze tutaj jest takie czyste i świeże. Pachnie praniem. Wiem, że to niemożliwe, ale kojarzy mi się z czysto wypraną, pachnącą bielizną. Prawie widzę jakieś kobiety, które piorą ubrania w rzece... Nie w pralce, ale właśnie w rzece. Chciałabym też tak wyprać moje życie. Trzeć je, deptać, aż się stanie czyste i pachnące.

Chciałabym teraz być w górach. Albo nad morzem.

Kocham góry prawie tak samo jak morze. Może nawet tak samo. Zawsze były mi bardzo przyjazne. Wydają mi się takie piękne, o każdej porze roku, takie spokojne i pełne milczącej mądrości. Są dla mnie symbolem każdej skrajności, jaką znam i jaka przychodzi mi na myśl - wysokości, głębi, piękna, dna, wielkości i małości, wysiłku i odpoczynku - po prostu wszystkiego. Nie dostrzegam tylko nieskończoności - z morzem jest inaczej - ale na pewno nieskończoność w nich gdzieś jest. Muszę tylko dobrze się rozejrzeć.

Wczoraj poszłam z Nikolą na długi spacer. Zastanawiam się, czy czuję się z nią dobrze dlatego, że jestem z nią. Z nią

jako konkretną osobą. Czy po prostu potrzebuję poczucia obecności? Czyjejs obecności.

Potrzebuję jej.

Ale dlaczego?

Czy jest ona dla mnie tylko tabletką od bólu? Przecież to i tak usuwa tylko skutki choroby, a nie jej przyczyny. Sprawia, że czuję się dobrze, ale jak skutki działania miną, to wszystko wraca. Nadal jestem chora. Zastanawiam się, czy na jej miejscu mógłby być każdy inny i czułabym się tak samo?

Może tak. Wiem w każdym razie, że ona na pewno tego nie chce. I to mi przeszkadza, sprawia, że czuję się winna, bo niczego jej nie mogę dać, niczego obiecać.

A więc?

Czy po prostu nie chcę być sama?

Sama.

Samotność.

To słowo jest zimne i puste.

Twarde. O ostrych krawędziach. Może ranić jak żyłotka.

To słowo mnie mrozi.

Tak bardzo się boję zostać sama. I nie ma znaczenia, czy czuję się samotna, czy nie. Boję się zostać sama. Bo wtedy czuję się samotna. Czy naprawdę to nie ma znaczenia, z kim będę mieszkać, z kim będę spać i z kim będę w związku, bo i tak będę się czuła samotna? Pozostawiona samej sobie? To działa niszcząco. Nie chcę czuć się samotna w związku, bo znowu mi nie wyjdzie. A tak na pewno się skończy, jeśli nie będę wiedziała, kim jestem ja sama, a tym bardziej, kim jest osoba będąca drugą stroną mojego związku.

Marina przyniosła dzisiaj do domu obrazek, a na obrazku były trzy postaci: każda z nich wyjątkowo nieproporcjonalna. Pierwsza, największa, ma kwadratową głowę, strzechę pomarańczowych włosów i pałakowate, cienkie jak u pająka nogi. Druga składa się prawie wyłącznie z trójkąta - sukienki,

na ręce i nogi zabrakło już miejsca. A ponad nimi dziecko - potworek. Chyba dziecko, bo postać jest najmniejsza. Marina mówi, że to prezent od czteroletniego Mateusza, przedstawia rodzinę: męża, Marinę i dziecko. Mateusz wyznał dzisiaj Marinie, że się z nią ożeni. Nie potrafił tylko zdecydować, czy na obrazku figuruje jako mąż, czy jako dziecko. Zręcznie wcielał się raz w jedną rolę, raz w drugą. Obydwie pękamy ze śmiechu, Marina przyznaje jednak, że Mateuszek jest uroczym brzdącem. Bierze magnes i przytwierdza arcydzieło nieletniego autora na lodówce. To nasz pierwszy „obraz” w mieszkaniu. Patrząc przez chwilę na koszmarne ufoludki, jednak wyraźnie widzę podstawową komórkę społeczną taką, jaka powinna być: mamusia, tatuś i dzieciątko. Mateusz jest normalnym, bystrym dzieckiem. Czy przyjąłby, że jego ukochana pani od angielskiego nigdy nie wyjdzie za mąż, ewentualnie się ożeni, a dziecka prawdopodobnie mieć nie będzie? Potrzebna korekta rysunku. Wystarczy gumka.

Zły czarny kruk zaczyna krążyć nad moją głową.

Czy damy radę?

25 IX

Marina się zakochała. Nie wiem, co napisać.

26 IX

Czuję się, jakbym dostała pięścią w brzuch. Albo takiego porządnego kopniaka... Niby nie boli, ale nie można oddychać i człowiek za bardzo nie wie, co się dzieje, jak do tego doszło. Czuję się strasznie otępiała, duszę w sobie każdą myśl, która biegnie w stronę Mariny, ale jestem ich pełna, czuję to.

Do wieczora jeszcze mi się udawało, ale teraz... Albo się rozplaczę, albo pęknę, albo zwariuję, albo... Sama nie wiem. Mam ochotę, żeby ktoś mnie uderzył. Tak mocno. Tak porządnie, żeby bolało. Żeby w końcu zapomniała. Przynajmniej na kilka godzin, na kilka minut, na chwilę...

Czuję, jak bije mi serce. Tak mocno, że mam wrażenie, że ona też to słyszy. Nie chcę, żeby słyszała, niech myśli, że wszystko u mnie w porządku. Mail, w którym napisała, że się zakochała - wysłała we wtorek wieczorem. Przeczytałam dopiero w środę, bo we wtorek wieczorem byłam w kinie z Nikołą. Gdzieś w połowie filmu zrobiło mi się słabo, serce zaczęło mi bić, czułam się strasznie dziwnie... Straciłam humor na resztę wieczoru i nie wiedziałam dlaczego. Myślałam, że to z powodu filmu. A może to myśl Mariny tak na mnie podziałała? Podświadomość?

Może.

A może nie.

28 IX

Dzisiaj jest piękny dzień. Czuję, jak słońce wpada mi przez okno i czuję je na twarzy. Uśmiecham się nawet.

Kamień w moim sercu przypomina mi jednak wczorajszy dzień. I przedwczorajszy. Boję się takich dni, bo wtedy mam okropne myśli. Że nie ma sensu dalej się miotać, że i tak nie będę szczęśliwa, że nie chcę takiego życia. Jest mi wtedy tak strasznie smutno. I tak strasznie się boję.

Nikola wyciągnęła mnie dzisiaj na spacer. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy się cieszę.

Nie wiem nawet, czy się cieszę!

Przecież jest tak pięknie. Słońce, liście, poezja! A ja nie wiem, czy się cieszę... Czuję po prostu ulgę. Ulgę, że nie będę sama. Ulgę, że nie będę musiała zastanawiać się, co zrobić, ani wymyślać czynności, które i tak nie mają sensu.

Nikola stara się mnie jakoś rozerwać, ale ja nie chcę „korzystać z życia”, skakać z kwiatka na kwiatek. Nie chcę się bawić i szaleć. A jeszcze mniej - bawić się i szaleć właśnie z nią. Ja chcę, żeby ktoś na mnie czekał w domu. Mijamy mnóstwo zakochanych par. Powinnam napisać w cudzysłowie? Ludzi szczęśliwych, trzymających się za ręce... A ja się zastanawiam, kiedy się sobą znudzą. Nikola mówi, że ludzie przestają być ze sobą, bo się nudzą. Dlaczego ja się nie nudzę? Zawsze myślałam, że mój związek jest inny. Że na pewno będzie inny, daleki od beznadziejności, szarości i nudy.

Nie był.

Tym razem nie ma wyjątku potwierdzającego regułę.

Znowu się myliłam.

Nie można być już bardziej zakochanym. Gdybym miała w sobie jeszcze odrobinę więcej miłości do Mariny, to chyba bym eksplodowała. Mam wrażenie, że wychodzi ze mnie każdym porem skóry, układa się w aurę wokół mojej postaci. Każdy to musi widzieć! Mama ostatnio mi powiedziała, że

Marina ma na mnie dobry wpływ, stałam się bardziej uśmiechnięta, wyciszona. Gdyby tylko wiedziała...

Marina mówi, że jeszcze nie, jeszcze poczekajmy, powiemy rodzicom, jak już ona na stałe przeprowadzi się do Polski. Sama nie wiem, świadomość, że oszukuję najbliższych zaczyna mi coraz bardziej przeszkadzać. Wolę myśleć, że nie mówię im wszystkiego. Takie oszustwo w dobrej wierze dla uspokojenia wyrzutów sumienia. Nie chcę już o tym myśleć, znowu zamieniam się w Scarlett O'Hare... Za chwilę jedziemy z Mariną do lasu. Obydwie mamy wolne, a za oknem słońce kusi, żeby wyjść z domu. Wkładam wygodne buty i z ulgą zostawiam duszne pomieszczenie. Poczekam na Marinę na dworze, oprócz punktualności ma jeszcze jedną obsesję: mycie zębów po każdym posiłku i każdym cukiereczku. Szoruje je przynajmniej przez dziesięć minut. No ale widać efekty, jej piękne, równe zęby są całkiem białe. Jestem pewna, że szczoteczkę i pastę do zębów zabierze ze sobą, podobnie jak butelkę wody. Zawsze to robi. Woda, szczoteczka do zębów, zegarek. Nieodłączne atrybuty mojej Mariny.

Wciążam powietrze, jest chłodne, świeże, pachnie wilgocią i drzewami. Cieszę się na ten spacer, przy Marinie odkrywam znaczenie małych przyjemności. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie cieszyły mnie promienie słońca wpadające przez okno do mojego pokoju, zapach skoszonej trawy, śpiew ptaków. Czy do tego potrzebuję Mariny? Muszę nauczyć się spoglądać na świat nie tylko jej oczami... Tylko jak to zrobić, skoro Marina wypełnia mnie całkowicie? Nie wiem, gdzie kończę się ja, gdzie zaczyna Marina. Właśnie ją słyszę, zbiega po dwa stopnie, w kilka sekund jest już przy mnie. Przytulam ją delikatnie, nie obchodzą mnie ciekawskie spojrzenia młodego chłopaka z sąsiedniego bloku. A niech patrzy, w końcu ludzie się przyzwyczają.

Do lasu mamy kilkanaście dosłownie minut, wystarczy przeciąć ruchliwą ulicę, minąć kilka domków jednorodzinnych przycupniętych przy jej brzegu i już możemy się zanurzyć w chłodną zieloną gęstwinę. Mam nadzieję, że się nie zgubimy, ścieżka, z początku szeroka, zwęża się coraz bardziej. Nie mam ochoty zawracać, lubię iść do przodu. Mam nadzieję, że wrócimy inną drogą, Marina też jest tego zdania, wchodzenie na utarty już szlak jest po prostu nudne.

Chciałabym zamieszkać gdzieś w górach, zaszyć się z Mariną w małym drewnianym domku... Wiem jednak, że to niemożliwe, musimy wybrać większe miasto, łatwiej tam znaleźć pracę, z czegoś przecież będziemy musiały żyć. Marina chciałaby zamieszkać w Krakowie, podoba jej się wielkomięski gwar, dostrzega urok wąskich uliczek. Za kilka miesięcy rozejrzemy się za mieszkaniem, wcześniej Marina musi wrócić do Armenii na parę tygodni, odebrać jakieś zaświadczenia, dokumenty potrzebne do pracy. Wiem, że to tylko kilka tygodni, ale na samą myśl o rozstaniu robi mi się smutno. Znowu będziemy wisieć na telefonie co wieczór i tęsknić za sobą. Ta myśl sprawia, że zatrzymuję Marinę i mocno się do niej przytulam, zachłannie szukam jej ust, chcę oddalić od nas to rozstanie, zapomnieć o nim, wtedy przestanie istnieć.

29 IX

Niech ten weekend wreszcie się skończy... Czytałam kiedyś, że istnieje coś takiego jak „ucieczka w sen”. Chyba mam wszystkie symptomy. Wczoraj położyłam się już po szóstej i przespałam nieprzerwanie ponad piętnaście godzin. Kiedy się obudziłam, chciałam jeszcze zasnąć, ale już się nie udało.

Nie obchodzi mnie, która jest godzina. Czas mija, wiem, ale dla mnie stanął w miejscu i jego mijanie mnie nie obchodzi.

Czas nie jest uczuciem. Może powinnam napisać „odczuciem”?

Nie jest działaniem.

Jest tylko czasem.

Gdybym tylko potrafiła utrzymać negatywne myśli z mojego wewnętrznego świata z dala od świata rzeczywistego i mojej głowy...

Jeszcze tylko niedziela. Może jakoś ją prześpię.

A potem...

Poniedziałek.

Gdzie się spieszysz, idiotko? Przecież wcale nie masz siły ani ochoty wstać, pójść na autobus i jechać do szkoły!

Fakt.

Dlaczego zależy mi, żeby już był poniedziałek?

Nie wiem.

Na nic już nie czekam.

Kilka miesięcy temu jeszcze miałam nadzieję, że na Wszystkich Świętych pojedę do Mariny. Tak tylko, na nic nie licząc, mam przecież prawie tydzień wolnego...

Ona nie chce.

Teraz już nie czekam na nic.

Nie mam wpływu na kalendarz, ale może po prostu nie powinnam pisać w weekendy? W ten sposób usunęłabym te

dni przynajmniej ze swojego pamiętnika. Małe oszustwo, że ich nie ma... Dla mnie by nie istniały. Mój tydzień miałby pięć dni. Zaczynałby się w poniedziałek, a kończył w piątek.

Tylko co dalej?

Myślałam, że zasnę, ale noc ciągnęła się coraz bardziej. Jak guma do żucia. Dlaczego ta cholerna ucieczka w sen nie zawsze działa? Czasami padam jak kamień i śpię, nie śniąc o niczym, aż do rana. Niestety, najczęściej budzę się po kilka, kilkanaście razy, albo wcale nie potrafię zasnąć.

Przesłuchałam wszystkie płyty do nauki języków, zrobiłam sobie powtórkę z angielskiego, a potem włączyłam kurs włoskiego dla średnio zaawansowanych. Myślałam, że particella „ci” albo tryb rozkazujący wyślą mnie w objęcia Morfeusza, czasami to działało... Ale nie tym razem.

Zrobiłam porządek z ubraniami, po raz setny chyba. Naprawdę już nie mam co wyrzucić.

Zrobiłam pranie (prawie pusta pralka).

Przede mną jeszcze pół nocy.

Marina wieczorem wyjeżdża do Armenii. Wczoraj, jeszcze wesola jak skowronek, pakowała prezenty dla rodziców i siostry. Cieszyłam się, widząc ją tak radosną, jednak dzisiaj lekki nastrój prysnął jak bańka mydlana. Nie chcę, żeby wyjeżdżała, nie chcę się z nią rozstawać nawet na chwilę, a tym bardziej na trzy długie tygodnie. Pocieszam się jednak tym, że jak Marina uporządkuje swoje sprawy w Armenii, to potem będzie tylko moja. Im szybciej to zrobi, tym szybciej wróci i będziemy mogły rozpocząć nowy etap życia. Przeglądałam już oferty wynajmu mieszkań w Krakowie, drogie jak cholera, zastanawiam się, ile ludzie muszą zarabiać, żeby pozwolić sobie na zamieszkanie w centrum, ale damy radę. Znajdziemy pracę, Kraków nie jest tak zaściankowy jak moje małe miasteczko. Marzę o tym, aby idąc ulicą, wziąć Marinę za rękę, tak normalnie, po prostu,

kiedy tylko mam ochotę, nie zastanawiając się, czy ktoś to widzi i co sobie pomyśli. Tam nikt nie będzie się dziwił, jeśli pocałujemy się na środku ulicy, nie obrzuci złym spojrzeniem ani, co gorsza, jakimś zgniłym pomidorem. Taką przynajmniej mam nadzieję. Zdaję sobie sprawę, że w Polsce związek z kobietą będzie trudny, obojętnie gdzie zamieszkamy. Będziemy musiały o niego walczyć każdego dnia od nowa. Jestem na to gotowa. Nie boję się. Przy Marinie nie boję się niczego.

Pakuje ostatnie kanapki, Marina wychodzi jeszcze po owoce. Powstrzymuję odruch zatrzymania jej. Niech idzie, jeśli ekspedientka nie będzie umiała po angielsku, Marina da sobie radę po polsku. Troszeczkę już umie.

Sprawdzam, czy wszystko spakowała, siedzę już jak na szpilkach. Mam jakieś złe przeczucie. Najchętniej nie pozwoliłabym jej wyjechać. Już za nią tęsknię. Dlaczego miłości zawsze musi towarzyszyć tęsknota? Znam ją na pamięć, jest namacalna jak gęsta, wilgotna mgła. Mogłabym przysiąc, że ją widzę.

Marina puka do drzwi. No tak, znowu zapomniała kluczy. Nie rozumiem, jak taka zorganizowana i pedantyczna osoba może jednocześnie nie mieć żadnej kontroli nad kluczami. Tylko i wyłącznie. Inne przedmioty nie stwarzają problemu. Klucze - zawsze. Nie pamiętam, ile razy szukałyśmy ich w każdym możliwym zakamarku. Marina kładzie na stole papierową torbę z jabłkami. Nie mam pojęcia, jak wytłumaczyła sprzedawczyni, że ze względów ekologicznych nie uznaje plastikowych reklamówek. Mnie się to nigdy nie udaje: zawsze otrzymuję odpowiedź, że tylko takie mają i, chcąc nie chcąc, taszczyć zakupy w plastikach. A tu proszę. Papierowe torby na życzenie. Moja mała czarodziejka...

1 XI

Wiedziałam, że ten dzień nadejdzie, że będę się czuła wtedy jeszcze bardziej sama. Pewnie wieczorem pójde na cmentarz jak co roku, aby... Sama nie wiem po co.

Nacieszyć oczy blaskiem świec?

Świec?

Jakich świec?

Świec ani zniczy już nie ma. Są tylko coraz bardziej udziwnione plastikowe czy metalowe szkaradzieństwa. Niby też świecą, ale ich ogień nie grzeje. Daje światło, to prawda, ale jest to zimne, jasne światło.

Nawet wtedy będę myślała o Marinie. Rok temu pierwszego listopada spędziłam weekend u niej. Dwa lata temu ona była u mnie, jeszcze próbowaliśmy coś kleić z naszego związku... Trzy lata temu też była w Polsce, pamiętam, że poszliśmy wieczorem na cmentarz, trzymając się za ręce. Czułam się jak na randce, chodząc między grobami... I taka szczęśliwa.

Dzisiaj pójde sama.

Postaram się nie myśleć.

Nie wiem, czy mi się uda.

A może od razu pójde spać? Byle do rana.

I co dalej? Jutro piątek.

Znowu weekend.

Błędne koło.

2 XI

W wiadomościach podali, że lider Universe Mirek Breguła się powiesił. Szkoda faceta, lubiłam jego piosenki.

Ciekawe dlaczego. Miał przecież synów, miał dla kogo żyć. Nie to, co ja.

Nie dał rady?

Od pewnego czasu inaczej patrzę na samobójców. Nie pochwalam ich, ale staram się zrozumieć. Przecież często decyzja podejmowana jest w jednej chwili, pod wpływem impulsu, wtedy, kiedy naprawdę już się nie ma sił. Wydaje mi się, że mało jest samobójców, którzy noszą w sobie zamiar odebrania sobie życia dniami czy tygodniami.

Ja jestem zbyt wielkim tchórzem, tak sędzę. Ale czasami traktuję taką śmierć jak ostatnie wyjście z sytuacji, której już nie będę potrafiła znieść. Czasami, paradoksalnie, myśl o odebraniu sobie życia pomaga mi w chwilach, kiedy już naprawdę mam wszystkiego dosyć. Zawsze mogę sobie powiedzieć, że kiedy już naprawdę, ale to naprawdę nie będę potrafiła żyć sama ze sobą i w tym świecie - zawsze mam to jedno, ostatnie wyjście.

Przecież to wbrew pozorom wcale nie jest takie trudne: tabletki są dostępne bez recepty, gaz, samochód, pociąg, woda... Tysiące możliwości.

Mówi się, że samobójstwo to ucieczka od życia, od problemów. A mnie wydaje się, że taka śmierć to ucieczka od... samej śmierci.

Paradoks?

Być może.

Przecież żyjąc, starzejąc się, zbliżamy się nieuchronnie do śmierci, myśląc o tym więcej lub mniej. Każdy dzień przybliża nas do końca. Stąpamy krok po kroku w stronę Pani z kosą.

Dla niektórych takie oczekiwanie może być nie do zniesienia. A tak, szast - prast, kilka tabletek za dużo, albo za duże zagęszczenie gazu w pomieszczeniu i... już nie trzeba czekać.

Mariny nie ma dopiero kilka godzin, a ja już wariuję. Będzie u siebie dopiero jutro po południu, nawet nie mogę teraz do niej zadzwonić.

Tęsknię.

10 XI

Wróciłam od Sabiny. Mała jest cudowna. Zakochałam się bez pamięci. Nie pierwszy już raz poczułam ukłucie żalu, że nigdy nie będę mieć dziecka. Życia z facetem nie chcę. Byłoby to oszustwo. Po co kleić szczęśliwą rodzinę? A na dwie mamusie nie chcę skazywać Bogu ducha winnego dzieciaka.

Nie tutaj. Nie teraz. Nie w Polsce. Za dużo w nas jadu i nietolerancji.

Może kiedy wyjadę.

Może wtedy będę miała dziecko z kimś, kogo pokocham. Ale mimo wszystko nie wydaje mi się to konieczne do szczęścia. Taki tylko żal za czymś, czego raczej mieć nie będę.

Nie raz od czasu rozstania z Mariną próbowałam sobie wyobrazić związek z mężczyzną, siebie kochającą się z mężczyzną, ale nie potrafię. To zbyt abstrakcyjne. Mężczyźni nie istnieją dla mnie jako partnerzy. Ani życiowi, ani seksualni, ani w ogóle. Przyjmuję ich spojrzenia, gesty, słowa jak zło konieczne, obojętnie. Ani mnie ziębią, ani grzeją. Marzę o kobietach, o ich miękkich, delikatnych ciałach, drobnych dłoniach, gładkich twarzach. Nie mogłabym przytulić się do mężczyzny, tylko kobiety sprawiają, że czuję lekki dreszczyk podniecenia.

Wiem, że można zakochać się w osobie. Ale dla mnie osoba to kobieta.

I wcale mi to nie przeszkadza.

Siedzę wpatrzona w zegarek, ale cholerne minuty tak powoli płyną... Próbuję czytać, ale w ogóle nie wiem, o co chodzi głównemu bohaterowi książki. Odkładam ją na półkę, Marina powinna już być w domu.

Dlaczego nie dzwoni? Umówiłyśmy się, że zaraz po przyjeździe da mi sygnał. Ja zaraz do niej zadzwonię.

Tymczasem telefon milczy. Tysiąc razy chyba sprawdzałam, czy przypadkiem słuchawka nie jest źle odłożona, czy telefon działa. Wszystko jest w porządku.

Marina nie dzwoni.

Dlaczego?

15 XI

Dzisiaj czuję się jak na haju. Po nocy powinnam być zmęczona, a nie jestem. Budziłam się co dwie - trzy godziny z regularnością szwajcarskiego zegarka, tylko po to, żeby z ulgą - nie - ulgą stwierdzić, że jeszcze pięć godzin do pobudki, jeszcze trzy, dwie, jeszcze dziesięć minut. Podniosłam się z łóżka zupełnie obojętnie. Nawet nie wiedziałam, czy chciałabym jeszcze pospać, czy już nie.

Jestem podminowana na maksa. Nie jestem ani zadowolona, ani mniej smutna, ale to jeden z tych dni, kiedy mam wszystko gdzieś.

Pieprzę wszystko i wszystkich. W ten dzień nie mam zasad. Nie mam tabu. Nie mam reguł. Nie wiem, jaki stan wolę, ale w tym stanie przynajmniej mam więcej energii. Zastanawiam się tylko, czy nie jest ona siłą destrukcyjną, która w jakimś momencie obróci się przeciwko mnie.

Pieprzę i to.

Nie mam ochoty, żeby ten stan minął.

A minie. Wiem to. Moje humory są jak sinusoida, wznoszą się i opadają. Same skrajności: albo wzloty, albo dół taki, że nie widać dna.

Ja chyba rzeczywiście jestem chora.

To się nazywa psychoza maniakalno - depresyjna. Teraz mam fazę manii. Pięknie. Oby trwała jak najdłużej.

A że przy okazji mnie niszczy... Pieprzyć to też?

Pieprzyć!

No to niech żyją czubki!

Czyja jestem czubkiem?

Może nie powinnam w takim stanie pisać, bo wyczerpię limit brzydkich słów. Fe, pani magister, jak pani się wyraża?

A co komu do tego?

No właśnie.

Czy ja coś dzisiaj piłam?

Nic mi o tym nie wiadomo. Ale też nie byłabym pewna, że
nie.

Idiotka.

Marina, gdzie jesteś?

Odezwij się.

Odezwij się, proszę...

20 XI

Najchętniej udusiłabym się własnymi rękami.

Nie chcę żyć, mając za złe światu, losowi, że nie udało mi się zrealizować moich marzeń i pragnień. Ktoś mógłby powiedzieć, że to zależy wyłącznie ode mnie...

Skoro tak, to dlaczego jestem zła na siebie, na los, a przede wszystkim na Marinę?

Jeśli tak, to dlaczego nie realizuję moich marzeń?

Moje życie obecnie nie istnieje. Nie ma smaku. Nic dziwnego, że w ogóle nie mam apetytu. Jeszcze kilka lat temu miało dla mnie smak domu, potraw przyrządzonych z miłością, ze zwracaniem uwagi na szczegóły, na świeczkę na stole, na ładny obrus, nakrycia.

Teraz...

Ma smak dworcowych hamburgerów, mdłych, tłustych hot dogów, knajp. Ma smak bylejakości.

Dlaczego nie potrafię poradzić sobie z upływającym i wciąż przyspieszającym czasem? Dlaczego nie potrafię spojrzeć na pewne zdarzenia z dystansem?

Wszystko mi ucieka: ważne rozmowy, decyzje, kolejne etapy w życiu.

Dlaczego dzisiaj tymczasowość dla mnie ma największe znaczenie?

Dlaczego tkwię w relacjach, pracy, które mnie nie zadowolają? Pieprzona magia chwili jest wielka. Pozwala mi naiwnie wierzyć, że „jakoś” wszystko się ułoży. „Jakoś” i „kiedyś” - najniebezpieczniejszy duet świata. Przynajmniej dla mnie. Spowalnia mnie, sprawia, że staję się bezwolna, apatyczna.

Moje życie teraz to iluzja, całe naszpikowane „jakoś” i „kiedyś”.

Jakoś to będzie.

Jakoś wytrzymam.

Kiedyś powiem, co mi nie odpowiada.

Kiedyś przyznam się, że wiem o czymś, o kimś.

Jakoś się wszystko pokula.

W tych dwóch małych słowach jest zawarta zgoda na bylejakość. Moje życie jest byle jakie.

Życie składa się z chwil, wiem o tym.

Ale dlaczego, jeśli żyję chwilą, mam wrażenie, że prawdziwe życie toczy się gdzie indziej? Bez mojego udziału?

Dlaczego?

Czy moje życie „tymczasem” wynika z braku umiejętności zbudowania czegoś stałego?

Przecież jestem pewna, że potrafię zbudować coś stałego. Tylko nie mam z kim. Nie chcę przegapić życia, nie chcę zmarnować ani jednej jego sekundy, czekając na miłość. Wielką miłość. Jedyłą miłość.

No tak... Najlepiej zrzucić winę na kogoś nieobecnego i, jeszcze lepiej, na razie zupełnie abstrakcyjnego.

Moje życie nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. No to czym jest? Nie można przecież powtarzać klasy w szkole życia. Jeśli nie zaliczam kolejnych egzaminów, gdzie w końcu się znajdę?

Mam wrażenie, że chodzę po linie.

Zastanawiam się, kiedy spadnę.

Może już leżę, a jeszcze tego nie zauważyłam.

Najwyższy czas coś zjeść.

Co mamy w menu?

Niech zgadnę...

Do wyboru: chińska zupka o smaku tajskim, rosół z kury pikantny i zupka pięciu smaków.

Odechciewa mi się.

Idę spać.

Marina...

Zadzwoń, bo zwariuję...

Zadzwoń...

25 XI

Zimno za oknem, zimno w mieszkaniu. Mam ochotę się napić i pieprznąć wszystkim o ścianę. Obojętnie czym. Czasem wydaje mi się, że mogłabym walić głową w mur, a i tak nic by to nie pomogło. Może tylko miałabym rozbitą głowę.

Tak chciałabym choć przez jakiś czas, przez parę minut, przez chwilę nie czuć niczego, nie słyszeć, nie widzieć, nie mówić.

Zapomnieć.

Zapomnieć, że nic nie ma sensu.

Wczoraj śniła mi się Marina. Śniło mi się nasze rozstanie. Śniło mi się, że jestem u psychologa, który kazał mi napisać, dlaczego się rozstałyśmy. Dziwne. Obudziłam się z myślą o tym... We śnie chyba też robiłam listę.

Każdy powód dla mnie był głupi. Niezrozumiały. Niewart naszego rozstania, niewart tego, że musiałam ją zostawić... To, że ja już za dużo wiem, że znam odpowiedzi tam, gdzie ona dopiero stawia pytania. Ona cały czas się uczy, szuka, uczy się życia...

A ja?

Ja jestem na innym etapie, na innym poziomie.

Czy to był powód, aby z siebie zrezygnować?

Nie wiem. Staram się ją zrozumieć. Ona chciałaby, aby ktoś jej w tym poszukiwaniu towarzyszył, aby dzielił to z nią, szedł w tym samym kierunku.

My szłyśmy w tym samym kierunku, chciałyśmy tego samego, byłyśmy podobne do siebie, jeśli chodzi o emocje, uczucia, stosunek do związku, życie wewnętrzne, czasami miałam wrażenie, że ona rozmawiając, dotyka mojej duszy, że jej słowa dotykają mnie najgłębiej jak tylko można.

Ale nie szłyśmy razem.

Szłyśmy tą samą drogą, ale nie obok siebie.

I tym się różniłyśmy.

Mnie to nie przeszkadzało. Miłość mi wystarczyła, jeśli odnalazłyśmy się, jeśli kochałyśmy się, dla mnie to było najważniejsze. Ważniejsze od czegokolwiek innego.

Dla niej nie.

Przecież rzeczy, których ona nie wie, mogłam ją nauczyć, prawda? Pokazać. Ale rozumiem, że to nie to samo. Co innego uczyć się od kogoś, poznawać coś dzięki komuś, a co innego odkrywać coś dopiero z osobą, którą się kocha... Wspólnie. Żeby dla obu było to coś nowego.

Kłóciłyśmy się o wizje miłości.

Nie rozumiałam, że miłość może nie wystarczyć. Nadal nie rozumiem.

Dzwonek telefonu wyrywa mnie z dziwnego letargu, musiałam przysnąć. Zimno mi, zdrętwiały mi nogi, ale wyskakuję jak z procy w kierunku dzwoniącego potwora. Nareszcie! Marina! Głos w słuchawce jest odrobinę stłumiony, zniekształcony, ale to niewątpliwie głos mojej ukochanej. Mówię jej, jak bardzo się martwiłam jej milczeniem, jak strasznie za nią tęsknię, opowiadam, co robiłam od momentu jej wyjazdu. Po chwili zdaję sobie sprawę, że mówię tylko ja. Marina nie odzywa się. O co chodzi?

W końcu Marina się odzywa. Przeprasza, ale jest zmęczona. Napisze do mnie jutro.

Coś jest nie tak.

1 XII

Wczoraj nie zasnęłam chyba ani nawet na minutę. Czasem żałuję, że nie mam żadnych tabletek nasennych. Takie noce strasznie mnie męczą, nie fizycznie, chociaż rano zamykają mi się oczy. Nie, to nie jest takie złe.

Najgorsze są myśli.

Myśli takie, że czasami aż się ich boję.

Myśli takie, że aż boją.

Czuję je w głowie, w każdym uderzeniu mojego serca, które bije jak oszalałe. Coś mi uderza, pulsuje nawet w żołądku i w gardle. Strasznie głupie uczucie. I myśl, żeby to już się skończyło, żeby zasnąć, żeby odpłynąć w nieświadomość, bez żadnych wizji i marzeń sennych.

Nie wiem, co mi jest. Jeśli można zwariować z miłości, to chyba mam pierwsze symptomy. Po raz pierwszy jestem zła za to uczucie. Nie chcę go. Żałuję, że w ogóle poznałam Marinę. Zaczynam jej mieć to za złe... I sobie też. Żałuję, że jestem taka, jaka jestem, że nie jestem inna, mniej skomplikowana... Po prostu normalna.

Nie chcę taka być.

W ogóle nie chcę być.

W żadnym sensie.

Przez całą noc zmuszałam się, żeby nie pisać. Nie chciałam, żeby te wszystkie poplątane myśli ujrzały światło dzienne. Zastanawiałam się, czy nie wyjść. Wszystko chyba byłoby lepsze od pozostania w domu. Ale na dworze było tak zimno... Zadowoliliam się spacerem po mieszkaniu.

Spacer w klatce.

Czy można to nazwać „spacerem”?

Nie rozumiem. Niczego nie rozumiem. Siedzę przed monitorem. Litery i słowa tańczą mi przed oczami. Marina bardzo mnie kocha, ale... nie możemy być razem. Odezwie się za jakiś czas, kiedy wszystko przemyśli.

Nie możemy być razem.

Nie możemy.

O co chodzi?

Przed kilkoma dniami snułyśmy plany na przyszłość, byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie, trzymałam w ramionach moją Marinę, która teraz mówi mi, że wszystko skończone.

To musi być żart.

Na pewno.

Ogarnia mnie paniczny śmiech. Śmieję się tak, że prawie się duszę, nie potrafię złapać tchu.

Skoro się śmieję, to dlaczego na stół kapią łzy?

Nie rób mi tego, Marina.

Nie rób mi tego, bo niczego nie rozumiem...

5 XII

Do tej pory niczego nie rozumiem i chyba to jest najgorsze. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek mój świat zacznie znowu przybierać kształty. Choćby nawet niewyraźne. Czy kiedykolwiek zacznie znowu nabierać kolorów? Mogą to nawet być pastele, bardzo delikatne, blade, ale potrzebuję kolorów w moim świecie. Potrzebuję anioła. Takiego, który czasem powie mi do słuchu, powie, że trzeba się wziąć w garść, trzeba żyć. Takiego, który czasem kopnie w tyłek.

Kto powiedział, że anioł nie może kopnąć?

Czy kiedykolwiek ludzie i zdarzenia mojego obecnego życia stworzą w nim rusztowanie na tyle mocne, aby dało się zbudować na nim NADZIEJĘ?